

OFICJALNY PREQUEL FILMU ALITA: BATTLE ANGEL

MIASTO ZŁOMU

# ALITA

BATTLE ANGEL



PAT CADIGAN

# ALITA BATTLE ANGEL

**MIASTO ZŁOMU**

OFICJALNY PREQUEL FILMU

PRZEŁOŻYŁ MICHAŁ JÓŹWIAK

 Insignis

Tytuł oryginału  
*Alita: Battle Angel – Iron City*

Alita: Battle Angel TM & © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation.  
All rights reserved.

First published by Titan Books  
A division of Titan Publishing Group Ltd, 144 Southwark Street, London SE1 0UP

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorów i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody posiadacza praw. Niniejsza publikacja nie może być rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie lub okładce innej niż ta, w której została opublikowana, oraz bez podobnego zastrzeżenia nałożonego na kolejnego nabywcę.

Przekład  
Michał Józwiak

Redakcja  
Monika Skowron

Korekta  
Piotr Budak

Skład  
Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej  
Aleksandra Pieńkosz

Polska edycja:  
Insignis Media, Kraków 2018  
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN wersji pełnej 978-83-66071-74-2



Insignis Media  
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków  
tel. +48 (12) 636 01 90  
[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)  
[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)  
[@insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media)  
[@insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media)  
Snapchat: insignis\_media

Yvonne Navarro,  
która ułożyła plan działania.  
Nie podołałabym bez Ciebie

oraz

Amandzie Hemingway vel Jan Siegel.  
Nie wiem, od czego zacząć  
wymienianie tego,  
czego nie zrobiłabym bez Ciebie

\*\*\*

I jak zawsze jednemu prawdziwemu  
Chrisowi Fowlerowi,  
którego kocham ponad wszystko we wszechświecie

# PROLOG

Jak ujął pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku generał William Tecumseh Sherman, „wojna to piekło”. Na przestrzeni setek lat, które minęły od chwili, kiedy armia Sheridana spaliła do gołej ziemi Atlantę w stanie Georgia, wiele osób głośno i wyraźnie się z nim zgodziło.

Wszystkim jednak umknęło, że wojna ma charakter tymczasowy. Bywają wojny krótkie i długie, które są nie do zniesienia, ale wszystkie bez wyjątku dobiegają końca.

Nie można tego powiedzieć o piekle.

Piekło nie ma końca. Nie jest tymczasowe. Trwa wiecznie, a zasiedlają je zagubione dusze uwięzione w przemijającym szaleństwie wojny, rzucone na pastwę losu po podpisaniu pokoju.

Czas ma w zwyczaju mijać, a wraz z jego upływem w pamięci społeczeństwa zacierają się wspomnienia. Wydarzenia przeistaczają się w wypaczone legendy, zmutowany rezultat wielu pokoleń gry w głuchy telefon. Winston Churchill zwrócił uwagę, że historię piszą zwycięzcy. Brak nam jednak narzędzi pozwalających na bieżąco i rzetelnie dokumentować zdarzenia, a to sprawia, że grzebiemy historię wraz z ludźmi, którzy ją stworzyli. Zastępujemy ją anegdotami, jakie zrzędzeniem losu utkwily nam w głowie. A ludzie każdego dnia walczący o przetrwanie nie pamiętają wiele. Tylko ci o pełnych brzuchach i silnym poczuciu bezpieczeństwa pozwalają sobie na luksus spoglądania w przeszłość. Ci, którym los nie pobłogosławił, widzą w historii wyłącznie to, do czego doszło, zanim przybyli.

W ten sposób dobiegła końca historia człowieka na Ziemi.

Większość zawsze zakładała, że koniec ludzkiej historii zbiegnie się z końcem czasu, z wyczerpaniem, wybuchem czy może zgaśnięciem wszechświata, ewentualnie z objawieniem się bóstwa, które dokona sądu nad naszym gatunkiem. Do wybuchu jednak nie doszło. Zamiast niego po świecie rozszedł się jęk tak cichy, że nikt go nie usłyszał. Historia dobiegła końca z bardzo prostego powodu: po Wojnie przestaliśmy ją pisać.

Przed Wojną istniało wiele kultur, które dzięki wymianie naukowej i technologicznej dokonywały rzeczy niesamowitych. Najbardziej imponującym spośród osiągnięć były podniebne miasta, dwanaście lśniących metropolii unoszących się nad różnymi punktami świata. Ludzie widzieli w nich dowód, że nasz gatunek wspiął się na wyżyny ewolucji, może nawet doznał oświecenia. Po raz pierwszy w dziejach człowieka mieliśmy latające ośrodki miejskie. Ich mieszkańcy cieszyli się wielkimi przywilejami i wygodą, a ci, którym przyszło żyć pod spodem, spoglądali w niebo z poczuciem dumy i nadziei.

Potem zaś wybuchła Wielka Wojna: bezlitosna, brutalna i śmiercionośna jak każda inna. Pochłonęła miliardy ofiar, starła z powierzchni świata wszystko, co dobre, i zburzyła metropolie – wszystkie poza jedną – które stanowiły dla wielu ukoronowanie ludzkich starań. Zdziesiątkowana i zrozpaczona ludzkość, skupiona na walce o przetrwanie, nie marnowała czasu na dokumentowanie historii. Liczyły się konkrety: wybuchła wojna; wróg zaatakował, a ludzie bronili się ze wszystkich sił. Część straciła życie, inni dorobek, pozostali wszelką nadzieję. Co jeszcze trzeba było wiedzieć?

Ci, którzy ocaleli na powierzchni, zebrali się w cieniu Zalemu – jedyne miasta wciąż unoszące się w powietrzu. Tam naprędce sklecieli coś na podobieństwo cywilizacji – budynki ze złomu i gruzu oraz społeczność opartą na strzępach dawnych ideałów i porządku. Wytworzyła się hierarchia. Ci, którzy umieli odnaleźć się w nowych warunkach, znaleźli się na szczycie, a pozostali zawzięcie walczyli o najatrakcyjniejsze pozycje na niższych szczeblach drabiny.

Witaj w Piekło.

\*\*\*

Aby Piekło mogło być prawdziwie przerażające, potrzebuje widowni. Kogoś, kto będzie je obserwował, rozumiejąc, co widzi, i dozna oświecenia albo przynajmniej poczuje, że dobrze się bawi. Ale nie pozostanie biernym obserwatorem – technologia sprzed Wojny wprowadziła interaktywność do wielu form rozrywki. Nie było powodu, by to zmieniać.

Widownia była niewielka. Nic dziwnego – populacja Zalemu nie mogła być liczna, żeby zbyt szybko nie wyczerpać zasobów miasta. Miało to tę dodatkową zaletę, że zapewniało mieszkańcom wysoki standard życia. Miasto zmieniło się po Wojnie, rzecz jasna. Nic nie zostało takie samo. Ale większość zmian posiadało charakter filozoficzny.

Kiedy nastąpił koniec działań wojennych, mieszkańcy Zalemu dostrzegli wartość silnego przywództwa i jasnej hierarchii społecznej. Wszyscy mieli nadzieję, że nie zaznają kolejnego konfliktu zbrojnego przez bardzo długi czas, ale na wypadek, gdyby stało się inaczej, ugruntowana silna władza o wyraźnym autorytecie miała sprawić, że obywatele nie zostaną zakładnikami przykrych okoliczności.

W gruncie rzeczy autorytarne przywództwo miało teraz kluczowe znaczenie dla przetrwania ludzkości. Beztroskie czasy obfitości, kiedy na niebie unosił się tuzin miast prowadzących politykę otwartych drzwi, odeszły do historii. Nie zmieniło się – i nigdy się nie zmieni – całkowite uzależnienie Zalemu od wsparcia z powierzchni Ziemi.

Spółeczność naziemna nie miała nic przeciwko – ba, wręcz pragnęła zaspokajać potrzeby ostatniego latającego miasta. Zalem symbolizował szczyt osiągnięć człowieka i dowodził, że pewnego dnia ludzkość być może raz jeszcze wzniesie się na wyżyny możliwości.

Jednak póki co bramy miasta musiały pozostać zamknięte. Aeronautyka stała się dziedziną zapomnianą – zresztą brak możliwości podróżowania pomiędzy Zalem a powierzchnią dobrze służył stabilności obu stron. Rzecz w tym, że

wszyscy musieli się zgodzić na taki układ – i zjednoczyć pod jedną władzą. Najlepszym kandydatem na nadzorcę Zalemu oraz naziemnej społeczności, którą z czasem zaczęto nazywać Miastem Złomu, był ktoś, kto mógł dosłownie patrzeć na wszystkich z góry. Władzę wziął więc w swoje ręce przywódca Zalemu, który powołał kilku wybrańców, by służyli jako jego przedstawiciele na ziemi.

Przywódca ten był bardzo stary, starszy, niż większość ludzi sądziła, i o wiele starszy, niż ktokolwiek sobie wyobrażał. O wiele za stary, by ekscytowała go rzecz tak banalna jak władza nad ziemią i niebiosami. Władza była nudna, kiedy nie czerpało się z niej przyjemności. Długowieczność przywódcy zrobiła z niego mistrza zaspokajania własnych potrzeb, a wiedział, że nadzorowanie obu miast nie da mu satysfakcji. Musiał zrobić coś, by zostać obserwatorem *in situ*, nie rezygnując z wygod zapewnianych przez latające miasto.

W ten to sposób Piekło stało się formą interaktywnej rozrywki, mimo że stopa obserwatora ani razu nie postąpiła na powierzchnię.

\*\*\*

Za to historia przestała mieć znaczenie. Ważne było to, co stało się poprzedniego dnia, dwa dni wcześniej albo w poprzednim tygodniu. Dawniejsze dzieje wyparowały. Jasne, odbyła się jakaś Wielka Wojna przeciwko jakiemuś wrogowi, ale co z tego? Nikt nie pamiętał, kto walczył ani dlaczego. To było trzysta lat temu. Po co zawracać sobie tym głowę?



# ROZDZIAŁ 1

Dobrze, Sarito, teraz proszę, żebyś się na chwilę rozluźniła – powiedział szczupły, blady mężczyzna do pacjentki leżącej na stole. Była kobietą w średnim wieku o okrągłej, serdecznej twarzy okolonej ciemnoszarymi lokami. Poniżej obojczyka miała... w gruncie rzeczy nic więcej. W każdym razie nic, z czym przyszła na świat. Była jednym z cyborgów po pełnej wymianie, blady mężczyzna regularnie naprawiał je w swojej klinice. Podjęła decyzję o PW już za młodu – z pewnością jeden z zarządców Fabryki dał jej do zrozumienia, że to najlepszy sposób na szybkie wspięcie się po szczeblach kariery. Tak jakby ktokolwiek zatrudniony w Fabryce miał szansę na lepsze życie.

Mężczyzna trzymał rękę kobiety na podpórce ustawionej prostopadle do jej ciała, jej dłoń spoczywała na tacy. Ciało, na które wymieniła to otrzymane od natury, służyło jej niezawodnie przez wiele lat, ale raczej krócej, niż jej kiedyś obiecywano. Od kilku miesięcy pojawiała się w klinice co najmniej raz w tygodniu, żeby wymienić taką czy inną część. Nie była jedynym cyborgiem w Mieście Złomu cierpiącym z powodu tandetnego wykonania. Mężczyzna o bladej karnacji pomagał osobom jej pokroju, od kiedy tu trafił.

Na początku klinika stanowiła rodzinny interes. W międzyczasie jednak mężczyzna przestał być i mężem, i ojcem, a przez to coraz trudniej mu było nie przejmować się smutnymi realiami życia w Mieście Złomu. Przykre myśli chodziły mu po głowie nie tylko, kiedy zajmował się pacjentami w klinice, ale i w drugiej pracy, którą wykonywał po nocach.

– Okej. Wygodnie? – spytał. – Dobrze. Teraz proszę, żebyś pomyślała o swojej

prawej dłoni.

– Której? – spytała.

Z drugiej strony sali dobiegł głośny śmiech. Mężczyzna właściwie zapomniał o chłopaku, który siedział na jednym z odrestaurowanych foteli dentystycznych. Odwrócił się i pokazał dzieciakowi niecierpliwym gestem dłoni, żeby się uciszył, chociaż sam też mimowolnie zachichotał.

– Sarito, o ile dobrze wiem, masz tylko jedną.

– No niby tak, ale... – Kobieta wykrzywiła usta w grymasie. – Najpierw przysłała mi do głowy moja stara dłoń, z krwi i kości. Nie ta prawdziwa.

– Obie są prawdziwe – wyjaśnił jej mężczyzna, starając się przybrać ton brzmiący jednocześnie pocieszająco i stanowczo. – Pamiętasz, jak ci tłumaczyłem, że we wnętrzu umysłu masz coś na kształt reprodukcji swojego ciała? Zatem z punktu widzenia twojego umysłu twoja dłoń jest twoją, bez względu na inne okoliczności. Prawdę mówiąc, to nawet lepiej, żebyś wyobrażała sobie tę biologiczną. Właśnie o to chodzi, żeby twój mózg myślał, że urodziłaś się z tą, którą teraz masz.

– Ale skoro nerwy są połączone, to nie powinien tak myśleć sam z siebie? – spytała kobieta.

– Potrzebowałbym dłuższej chwili, żeby to wyjaśnić. A nie wydaje mi się, żebyś mogła opuszczać tyle godzin w pracy. W każdym razie czasami, nawet kiedy wszystko powinno działać idealnie, trzeba trochę oszukać umysł, popchnąć go w dobrym kierunku – odpowiedział mężczyzna.

Pomógł jej wstać.

– No i o to właśnie chodzi – powiedział radośnie. – Jak wrażenia?

– Zupełnie naturalnie – odparła, wciąż stukając palcami o tacę. – Żadnej desynchronizacji. – Jej uśmiech nieco przygasł. – Mam nadzieję, że się utrzyma.

– Jeśli znowu będziesz miała kłopoty, po prostu przyjdź. – Błady mężczyzna się zawahał. Chciał jej powiedzieć, że nad czymś pracuje, i jeśli mu się uda, już żaden cyborg nie będzie musiał znosić pogorszenia funkcji motorycznych z powodu opóźnienia pomiędzy starszymi i nowszymi podzespołami. Dla jego pacjentki

byłby to powód do radości, zasługiwała na to. Nie wiedział jednak, ile czasu zajmie, zanim chip zacznie dobrze działać. Może jeszcze dwa tygodnie, może miesiąc, a może pół roku – jeśli oczywiście wynalazek nie wybuchnie mu prosto w twarz i nie trzeba będzie zaczynać od nowa.

A ona by czekała. Z początku cierpliwie, potem jednak zaczęłyby się niepokoić, podobnie jak ci, co usłyszeli od niej sensacyjną wieść. Rozniosłoby się, że nie potrafił dokonać natychmiastowego cudu ani wytłumaczyć dlaczego – w każdym razie nie w słowach zrozumiałych dla laików. W praktyce więc wszyscy mieliby kolejny powód do niezadowolenia.

Najokrutniejsze, co mógł zrobić tym ludziom, to zbyt szybko dać im zbyt wiele nadziei. Jeśli chciał być miły, mógł rozdawać lizaki, były prawdziwe, dostępne od zaraz, wszyscy klienci je uwielbiali. Wyjął jeden ze słoja stojącego na biurku i wręczył kobiecie. – Jeśli dopadnie cię nagła potrzeba – powiedział – mogę ci pokazać taką sztuczkę z pudełkiem i lustrem...

– Pokazał mi pan już, nie pamięta pan? – odpowiedziała kobieta-cyborg, chowając lizaka do kieszeni na piersi kostiumu roboczego. – Kiedy ta tutaj... – wyciągnęła lewą rękę i poruszyła palcami – ...się rozpadła, a nowa nie przychodziła i czułam się, jakby ktoś wykręcał mi palce, chociaż nie miałam ani jednego.

– Pomaga też na koordynację – dodał mężczyzna.

– Naprawdę? – spytał dzieciak na fotelu z odchylnym oparciem. – Lustro i pudełko?

Kobieta spojrzała na niego spode łba.

– A tobie co do tego, chłoptasiu? – Nagle odwróciła głowę z powrotem w stronę mężczyzny i zrobiła przeproszającą minę. – Sorry, doktorze.

Błądy mężczyzna się roześmiał.

– Oj, Sarito, nic się nie stało.

Wyprowadził ją z gabinetu i poszedł zawołać kolejnego pacjenta. Odkrył jednak, że rząd foteli w korytarzu służącym za poczekalnię był pusty.

Zmarszczył brwi i spróbował sobie przypomnieć, kogo wcześniej widział.

Może powinien polecić dzieciakowi, żeby zebrał nazwiska i zapisał je w notatniku.  
– Zwykle pilnował, żeby czekający nie czuli się lekceważeni.

Chociaż z drugiej strony, pomyślał, słysząc łupnięcie za plecami, może lepiej, że go nie angażował. Dzieciak maksymalnie odchylił oparcie, nie zapinając pasów, i zsunął się głową na podłogę.

– Hugo, ustaw tak, jak było – polecił mężczyzna. – Albo przynajmniej zrób coś, żeby ludzie nie musieli siedzieć głową w dół.

Dzieciak oblał się rumieńcem i doprowadził fotel do ładu, a następnie przeniósł się na krzesło przy biurku. Jego nowe siedzenie należało pierwotnie do byłej partnerki mężczyzny. Czy może, uściślając, byłej małżonki. Doktor włożył w zdobycie krzesła sporo wysiłku – jego eks domagała się dobrego podparcia odcinka lędźwiowego. Kiedy wreszcie je znalazł, usłyszał, że nabytek nie spełnia jej oczekiwań. Zresztą nic jej nie zadowalało. Nic nie równało się z rzeczami, które mieli, zanim trafili do Miasta Złomu.

Hugo zaczął jeździć w tę i z powrotem w poprzek gabinetu. Kółka krzesła terkotały. Błady mężczyzna mógłby dostrzec coś wymownego w tym, że siedemnastolatek wyglupiał się na krześle w gabinecie cyberchirurga w Mieście Złomu, zamiast robić cokolwiek innego. Znał jednak Hugo na tyle dobrze, by wiedzieć, że doskwiera mu coś więcej niż nuda. Chłopak wpadał do niego regularnie, a on bez względu na to, jak wiele miał pracy, nie potrafił się zmusić, żeby go przepędzić. Nie chciał być kolejną ze zbyt licznych osób, które zostawiły małego na pastwę losu.

– Nie nabierze mnie pan – oznajmił nagle Hugo.

– Ale o co chodzi? – spytał mężczyzna odrobinę zaniepokojonym tonem.

– Wiem, skąd pan ma to znamię – powiedział chłopak. Dotknął się w sam środek czoła. – To nie jest blizna po pryszczu ani po ospie, ani po kulce od łożyska, którą można oberwać oglądając motorballa na żywo. Pieprzyk też nie.

– No, gratuluje. – Mężczyzna usiadł przy stole do pracy po drugiej stronie pokoju i ściągnął pokrowiec z cybernetycznej ręki z częściowo rozmontowanym stawem barkowym. – Skoro nie ma więcej pacjentów, zajmę się na razie tym.

Chciałbym, żebyś mi za bardzo nie przeszkadzał, bo będę musiał trochę spokojnie pomyśleć.

– A co to? – spytał Hugo?

– Chip poprawiający sprawność.

Dzieciak zachichotał.

– A są chipy, które ją pogarszają?

– W tym mieście? Jest ich o wiele za dużo – odparł lekarz, ustawiając nad stawem kończyny lampę ze szkłem powiększającym.

– Założę się, że w Zalemie miał pan świętego spokoju po pachy – stwierdził Hugo. – Tam na pewno mają dźwiękoszczelne pomieszczenia i całą armię ochroniarzy, co dbają, żeby tacy smarkacze, jak ja panu nie przeszkadzali. Co pana napadło, żeby wyjechać?

Mężczyzna włączył jeden z otaczających go wyświetlaczy i zaczął śledzić wzrokiem odczyty przewijające się po ekranie.

– Widzi pan, to, że pan stamtąd pochodzi, to wiele wyjaśnia – kontynuował Hugo po krótkiej pauzie. – Bo, no wie pan, po Mieście Złomu kręci się sporo inteligentnych ludzi, sam zresztą głupi nie jestem. Trzeba mieć coś pod kopułą, żeby tu przeżyć. Ale nawet najbardziej rozbudowani tutejsi nie wiedzą tyle co pan. Nie są... – dzieciak zamilkł, szukając odpowiedniego słowa – ...wykształceni.

Blady mężczyzna przestał poprawiać ułożenie wiązki bardzo cienkich kabli przebiegającej bezpośrednio pod stawem barkowym i spojrzał na chłopaka spod zmarszczonych brwi. W pewnym sensie jego samoocena była trafna, Hugo nie był głupi. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo jest inteligentny, a to sprawiało, że mógł wpaść na pomysł, który przyjdzie mu przyplacić życiem.

– Tu, w Mieście, mało kto jest wykształcony – wyjaśnił dzieciak. – Jedyne powód, czemu zmuszają ludzi do chodzenia do szkoły, to żeby mogli pracować dla Fabryki, kiedy dorosną. Pszczółki robotnice muszą umieć czytać i pisać, i liczyć bez potknięć powyżej dziesięciu. Muszą...

– Hugo, czy tobie się zdarza zamilknąć? – powiedział mężczyzna i natychmiast tego pożałował, kiedy zobaczył przestraszoną minę dzieciaka. – Przepraszam, nie

chciałem... – Zawahał się. – Po prostu co chwila tracę wątek, a to jest naprawdę ważne. Może znacząco poprawić funkcjonowanie cyborgów, zwłaszcza PW-tów.

– Serio? Szkoda, że się pan nie sprowadził, zanim mój ojciec kopnął w kalendarz. Może dzięki panu pofunkcjonowałyby sobie lepiej w Fabryce kolejne dwadzieścia lat. – Dzieciak odepchnął się na krzesło i przejechał do stołu. – I co jest takiego super w tym chipie?

– Poprawi integrację pomiędzy częściami z różnych generacji. Zmniejszy liczbę odrzuceń i przyśpieszy leczenie. A to oznacza, że będzie można podawać mniej leków. Ma też inne potencjalne zalety. Mniej desynchronizacji, wahań i zakłócania sygnałów nerwowych.

Mężczyzna poczuł, że zapala się do tematu. Tak naprawdę po prostu głośno myślał, ale dużo przyjemniej było myśleć na głos, kiedy w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze, nawet dzieciak z ulicy, który pewnie rozumiał nie więcej niż dwa słowa na każde pięć wypowiedzianych.

– Widzisz, czasami w sytuacjach wymagających długotrwałego albo wzmożonego wysiłku cyborg zamierza pewien ruch... Coś drobnego, na przykład skinienie palcami, ale też większego jak wejście po schodach... I nagle nic się nie dzieje. To trwa nie więcej niż sekundę, nawet pół sekundy, ale może być wstrząsające, nawet przerażające, szczególnie jeśli cyborg wykonuje jakieś złożone zadanie.

A jeżeli ktoś w takim momencie jest zupełnie pochłonięty swoim zajęciem, może przeżyć naprawdę silny szok. Gdyby udało mi się sprawić, że nic nie będzie rozpraszało uwagi cyborgów, one osiągnęłyby płynność, a ja odszedłbym z tego świata szczęśliwy. – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Chociaż nie, żeby szczęśliwie umrzeć, musiałbym jeszcze wyeliminować niepewność i zacinanie się, choć problemy to właściwie zwykła desynchronizacja, tylko w dużo drobniejszej skali. Wykonujesz ruch, nic się nie dzieje, więc powtarzasz go. Co innego echo, czyli taka sytuacja, że jeden zamierzony ruch ciało wykonuje dwa razy albo więcej.

Problem... Tak ogólnie rzecz ujmując... Bierze się z prędkości impulsów w mózgu. Nawet najbardziej zaawansowane cybernetyczne ciała nie nadążają za

organicznymi nerwami. Prawie im się udaje, ale nie do końca. Od jakiegoś czasu staram się przyspieszyć działanie cyborgów i nie mam na myśli tylko szybszego poruszania się. Niestety póki co głównie osiągam większe tempo ruchu. – Zamierzał kontynuować, ale postanowił zlitować się nad dzieciakiem, który i tak wykazał się, nie zasypiając.

Hugo przez dłuższą chwilę nic nie mówił. A potem stwierdził:

– Widzi pan, o to mi właśnie chodziło. W całym Mieście nie ma gdzie się czegoś takiego nauczyć.

– Gdybyś chciał, mógłbyś się uczyć ode mnie – powiedział mężczyzna.

– Ta, jasne. Doktor Hugo. Wyobraża pan sobie? Po to pan opuścił Zalem, żeby szkolić dzieciaki z ulicy na lekarzy? Nie łyknę takiej ściemy. I tak nie chce mi się wierzyć, że siedzi pan tutaj i naprawia cyborgi. Dlaczego nie został pan na górze? Przecież tam mógł pan mieć wszystko. Czemu przeniósł się pan w takie okropne miejsce?

Blady mężczyzna już zaczynał się zastanawiać, jak wymigać się od odpowiedzi, kiedy wybawił go dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi kliniki. – Jest i mój następny pacjent – powiedział. – Zrób coś dla mnie i go przyprowadź, dobrze?

– Jasne, doktorze – odparł Hugo. – Ale od razu coś panu powiem. Nie chcę zostać pana sekretarką.

– Są gorsze zajęcia.

Hugo się roześmiał.

– Mam już o wiele lepsze.

\*\*\*

Popołudniem jak zwykle zrobił się większy ruch. Kiedy ostatni pacjent opuszczał gabinet, blady mężczyzna był tak zmęczony, że nie miał siły go odprowadzić. Opadł na odrestaurowany fotel dentystyczny, na którym wcześniej wygłupiał się

Hugo, i oparł stopy na podnóżku. Kiedy Hugo spytał, czy ma jeszcze coś zrobić przed wyjściem, mężczyzna odgonił go machnięciem ręki.

– Okej – odparł Hugo. – Do zobaczenia jutro!

*Chyba że zobaczę cię pierwszy*, odpowiedział w myślach blady mężczyzna.

\*\*\*

Doktor Dyson Ido – wykształcony cyberchirurg czuwający nad mieszkańcami Miasta Złomu, dobry Samarytanin i przyjaciel biednych dzieciaków mających niebezpiecznie dużo oleju w głowie – upomniął się w myślach, że naprawdę powinien zatrudnić kogoś do pomocy. Choćby pielęgniarkę. Za dochody z drugiego zawodu, którym się parał, mógłby sobie pozwolić na dobrego pomocnika. Niestety kursu lekarskiego dla Hugo nie dałoby się kupić za żadne pieniądze. Trzeba było mieć olbrzymie szczęście, by zostać wybranym przez Fabrykę do dalszego kształcenia. Większość, jak Hugo, musiała sobie radzić w miejskim tyglu rządzącym się prawami darwinizmu społecznego.

Mimo to Ido wciąż się łudził, że obudzi coś na podobieństwo intelektualizmu w tym biednym dzieciaku, który widział w lekarzu głównie kupca na różne gadżety. I przydatne źródło wiedzy na temat Zalemu, o co maglował go cały czas.

Ido tłumaczył się przed samym sobą w ten sposób, że na tle większości dzieciaków biegających po Mieście Złomu Hugo wyróżniał się wyjątkowym rozsądkiem. Miał paczkę przyjaciół – ekipę, z którą spędzał czas, grał w motorballa i ścigał się na żyrocyklach. Od czasu do czasu zbliżał się z jakąś dziewczyną, ale żadna nie zainteresowała go sobą na dłużej. Myśli Hugo krążyły wokół czegoś innego. Rozmawiał o Zalemie tak często, że Ido czasami zastanawiał się, czy młody nie ma fiksacji. Obsesje nigdy dobrze się nie kończyły.

Gorączka Zalemu dopadała na jakiś czas większość młodych ludzi w Mieście Złomu. Młodzież uwielbiała marzyć, że pokona system i dostanie się do ostatniego i najwspanialszego latającego miasta, jedyne, którego wrogowi nie udało się



stracić. Młodość polegała wszak na wierze, że jeśli chciało się czegoś dostatecznie mocno, jeśli było się gotowym zrobić wszystko, to na gruncie całego tego wysiłku, wszelkiej motywacji, mogło wyrosnąć magiczne pnącze, po którym można wspiąć się na samą górę, do Zalemu. A tam mieszkańcy świadomi twojej determinacji i siły woli powitają cię jak bohatera.

Większość ludzi prędzej czy później wyrastała z Zalemu – im później, tym z większymi oporami. Ido jednak rozumiał niechęć do rozstania się z marzeniem o latającym mieście. To tak jakby pogodzić się, że nie ma sensu liczyć na nic lepszego niż nudne codzienne życie, jak gdyby odwracać się plecami do Nieba.

Ido nie mógł powstrzymać myśli, że istnienie Miasta Złomu dowodziło tego, jak wielka różnica istniała pomiędzy osobami, które porzucały marzenia, a tymi, którzy budzili się w rzeczywistości zarządzanej przez wszechmocną siłę porzucającą marzenia w ich imieniu.

Co więcej, nie dotyczyło to wyłącznie Miasta. Ten sam proces odbywał się w Zalemie. Większość jego mieszkańców nie miała o niczym zielonego pojęcia. Kiedy posiadało się wszystko, co przychodziło człowiekowi do głowy, nie było potrzeby marzyć.

Chyba że nie było się ideałem.

\*\*\*

Jego córka miała być idealna. Rodowód, jak wszyscy mieszkańcy Zalemu, miała bez skazy, a Dyson i Chiren żyli zgodnie z zasadami, nie pozwalając sobie na słabości ani dekadencję.

I taką ją widział – najpiękniejsze stworzenie w ich pięknym latającym świecie. Jej choroby nie można było nazwać skazą. Zalemscy genetycy coś przegapili, nie udało im się tego poprawić. Ido w ogóle to nie obchodziło. Nic nie mogło zmienić tego, jak odbierał swoje dziecko.

Jeśli coś miało skazę, to raczej zalemska koncepcja ideału.

A konkretnie mówiąc, wizja, której hołdował Nova, człowiek u steru latającego miasta. Chromowane gogle zakrywające jego oczy dawały mu ponoć nadludzką zdolność postrzegania, pozwalały widzieć światło o długościach fali wykraczających poza możliwości normalnego wzroku. Ido jednak był zdania, że wzrok Novy musiał być bardzo przeciętny, skoro nie pozwalał mu dostrzec perfekcji córki lekarza.

To Nova eksmitował ich z Zalemu. Przysłał do ich domu chłopców na posyłki, od nich usłyszeli, że muszą opuścić miasto. To była bardzo trudna decyzja – oznajmili przepraszającym tonem, prężąc się w wymuskanych mundurach – ale nie ma innej możliwości, nic nie dało się zrobić. Ido i Chiren stworzyli coś tak wadliwego, że nie nadawało się do normalnego życia. Dziewczyna wymagała cybernetycznych usprawnień, żeby wykonywać czynności, z którymi zwykle osoby radzili sobie sami. W Zalemie coś takiego było niedopuszczalne. Latające miasto mieli zamieszkiwać ludzie lepszej kategorii. Inaczej nie było różnicy pomiędzy niebem a ziemią i równie dobrze można było wpuścić niedomytą hołotę na górę i pozwolić jej zdeptać wszystko brudnymi buciorami. A tego nikt nie chciał. Ido i Chiren na pewno rozumieli, jakie to ważne, żeby Zalem pozostał takim, jakim miał być. Szczególnie że był jedynym latającym miastem, które się ostało.

Upokorzenie i wściekłość nareszcie uświadomiły Ido, dlaczego na co dzień nie widywał fizycznych defektów, niepełnosprawności ani nietypowych cech charakteru, czemu cała uprzywilejowana populacja Zalemu miała tak zaskakująco zbliżony sposób postrzegania świata. Z chwilą, kiedy to pojął, zaczął się prawie cieszyć na myśl o opuszczeniu miasta. Najpierw jednak zażądał, by Nova pofatygował się osobiście do ich domu i powiedział prosto w twarz wszystko, co kazał im przekazać – jemu, Chiren, ich córce. Żeby zobaczył, że nie są nazwiskami skreślanymi z listy, ale żywymi ludźmi, których skazuje na wygnanie.

Chiren była kompletnie zdruzgotana, ale jej serce nie zamarzło od razu – z początku zachowała dość ludzkich odruchów, by przekonać Ido, że ich córka ucierpi jeszcze bardziej, jeśli zalemski autokrata powie jej w cztery oczy, że nie zasługuje na miejsce w jego mieście. Nova nie zgodził się z nimi spotkać, co

w ostatecznym rozrachunku okazało się jedynym, maleńkim przejawem łaski z jego strony.

Sposób, w jaki opuścili miasto, był kolejnym źródłem poniżenia. Loty statkami powietrznymi cięższymi od powietrza były zabronione i karane śmiercią. Wyrok wykonywały naziemne roboty żandarmerii zwane centurionami. Centurionowie istnieli głównie po to, by dbać, żeby ludzie urodzeni na ziemi nie próbowali – dosłownie – wznieść się ponad swoje pochodzenie. Równie niedopuszczalne było jednak, żeby rezydenci Zalemu – także dosłownie – zniżali się do poziomu pospólstwa. Gdyby tak się działo, mieszkańcy ziemi zaczęliby się domagać wizyt na górze, co doprowadziłoby do kompletnego załamania porządku społecznego. Przez ostatnie trzysta lat na świecie panowały stabilizacja i pokój – żadnych wojen, żadnych zamieszek, żadnych problemów. Tylko szalenie ryzykowałby naruszenie *status quo*.

Tunele zaopatrzeniowe łączące naziemne centra wysyłkowe ze stacjami odbiorczymi na Zalemie służyły wyłącznie transportowi towarów. Podróżowały nimi tylko w jedną stronę dostawy pożywienia i produktów naziemnego przemysłu. Jeszcze się nie zdarzyło, by cokolwiek zjechało którymś z nich na ziemię. Zalem nie istniał po to, by dostarczać cokolwiek mieszkającym w jego cieniu.

Wszystko, co wędrowało ku dołowi, odbywało tę podróż przez postrzępiony lej zsyphu zwisającego pod dyskiem Zalemu. Dawniej zsyph był dłuższy, stanowił jednak zbyt wielką pokusę dla śmiałków z Miasta Złomu i musiał zostać skrócony. Tę wersję w każdym razie znała większość ludzi. Z pamięci społeczeństwa ulotniły się pozostałe historie na ten temat. Więcej wiedzieli tylko posiadacze obszernego wykształcenia dostępnego mieszkańcom Zalemu.

Inna sprawa, że nie miało to znaczenia. W ostatecznym rozrachunku liczyło się tylko to, że zsyph zawsze służył do depozycji odpadów i stanowił jedyną drogę, którą Ido, Chiren i ich córka mogli trafić na ziemię.

Nova pozwolił im skonstruować kapsułę, dzięki której mieli przeżyć lądowanie bez większego szwanku. Miała nie nadawać się do ponownego użytku i być tylko na tyle duża, aby pomieścić ich trójkę. Otrzymali zakaz zabierania przedmiotów,

które mogłyby zdradzić zbyt wiele na temat Zalemu – jak wyglądał, ilu miał mieszkańców, co posiadała ich rodzina. Lepiej, żeby ci na ziemi musieli sobie wyobrazić, o ile przyjemniej żyje się w latającym mieście. Gdyby znali prawdę, z niezadowolenia mogliby zrobić coś mało rozsądnego.

Tak, naprawdę szkoda, że musieli zostawić wózek inwalidzki córki, ale mogli przecież zbudować nowy z materiałów zastanych na miejscu. Miasto Złomu otrzymało nazwę całkiem zasłużenie – było pełne surowców do ponownego wykorzystania. Jego rezydenci nauczyli się bardzo skutecznie znajdować nowe zastosowania dla odpadów z Zalemu.

Lądowanie, w przeciwieństwie do tego, czego kazali im się spodziewać zalemscy biurokraci, było dość brutalne. Ido jednak zadbał o odpowiednią amortyzację, szczególnie dla córki, która dzięki temu uniknęła poważnych urazów.

Na koniec poniżyło ich samo miejsce, gdzie wylądowali. Ido i Chiren byli świadomi, co ich czeka, ale nic nie mogło ich przygotować na widok, który ukazał się ich oczom po otwarciu włazu bezpieczeństwa. Zalem wyrzucił ich ze śmieciami – jak śmieci.

A potem, jakby los chciał ich odrzeć ze wszelkich złudzeń, z góry poleciało na nich jeszcze więcej odpadków. Część wpadła do środka przez otwarty wąż. Chiren wpatrzyła się z obrzydzoną miną w kawałki plastiku, drutu i pogniętego metalu, strzępy tkanin i wnętrza złomowanych urządzeń. W następnej sekundzie wyrwała się z profilowanego fotela, wzięła córkę w ramiona i wygramoliła się na zewnątrz, przeżywając atak paniki.

Ido podążył za nią. Zamierzał ją ostrzec, żeby poczekała – gdyby coś jeszcze na nich spadło, mogłoby ich zabić. Jednak przedzierając się przez odrealniony, zdradziecki krajobraz uformowany ze złomu i odpadków całych pokoleń, wypatrzył niewielką miskę, porysowaną, ale całą. Odruchowo ja poniósł – pierwszy element wyposażenia ich nowego domu. Nagle jednak zdał sobie sprawę, dlaczego Chiren tak zareagowała. Przeraziła ją myśl, że zobaczy coś, co rozpozna. Ido rzucił naczynie z powrotem na ziemię.

\*\*\*

Córka była stosunkowo młoda, więc Ido miał nadzieję, że bez większego trudu dostosuje się do nowego życia. Nie ulegało wątpliwości, że ich warunki się pogorszyły. Jednak dzieci, nawet niepełnosprawne, zawsze były po prostu dziećmi – nie wiedziały, czy są bogate, czy biedne. Od czasu do czasu młoda pytała, dlaczego nie mieli czegoś, co pamiętała z Zalemu, po czym radośnie i bez narzekania przyjmowała do wiadomości odpowiedź Ido, że w Mieście Złomu po prostu nie było pewnych przedmiotów. Cieszył się tym, jak reagowała, bo Chiren narzekała za całą trójkę.

Ido robił, co mógł, by ze względu na córkę nie tracić dobrego nastroju. Wmawiał sobie, że choroba nie postępuje na jego oczach. Dopiero kiedy Chiren rzuciła w niego miękkim, prawie pleśniejącym pomidorem, zdał sobie sprawę, jak nisko upadli. Najlepsze jedzenie wędrowało do Zalemu, a tu jadło się tylko to, co nie sprostało standardom latającego miasta.

Od pacjentów kliniki dowiedzieli się o istnieniu czarnego rynku. Ido zszokowało, jak szybko zaczęli z niego korzystać równie naturalnie, co z normalnego rynku oferującego jedzenie. Mimo to prawdopodobnie musieliby zamknąć klinikę i znaleźć wolne miejsce pod autostradą, gdyby nie odkryli motorballa. Czy może to motorball odkrył ich, kiedy po mieście rozeszła się wieść, że pojawiła się para cyberchirurgów, którzy dokonywali cudów za pomocą odrobiny taśmy izolacyjnej, miedzianego drutu i śliny?

Była to dobrze płatna praca. Może nie aż tak, by przywrócić standard życia choćby trochę zbliżony do dawnego, ale niczego im nie brakowało. Ido zaczął pracować nad przedsięwzięciem mogącym odmienić życie córki.

Jego małej A...

Ido miał jej imię na ustach, kiedy otworzył oczy. We wnętrzu kliniki panowały ciemność i cisza. Zasnął na fotelu. Powinien wstać, zjeść coś i wyjść. Potrzebował pieniędzy, których mogło dostarczyć wyłącznie jego nocne zajęcie.

Ale ktoś tłukł w drzwi wejściowe i raz za razem wciskał dzwonek. To ten

dźwięk go obudził, zdał sobie sprawę Ido. Ktoś miał pilną sprawę i nie zamierzał dać za wygraną. Ido zwlókł się z fotela, przeciągnął i potykając się o własne nogi, podszedł do drzwi.

To był pilny przypadek, owszem, ale innego rodzaju niż te zajmujące go na co dzień.

– Jezu, Hugo, co ci się stało? – spytał, pomagając chłopakowi usiąść na wózku inwalidzkim, stojącym przy wejściu.

Hugo wydał dźwięk, który z tą samą dozą prawdopodobieństwa mógł znaczyć: „proszę nie pytać”, co: „dostałem wpierdol”. Ido nie drażył tematu.

## ROZDZIAŁ 2

Kilka godzin wcześniej, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Dyson Ido odpływał w sen w fotelu dentystycznym, Hugo rozważał złamanie osobistej zasady, choć miała być nienaruszalna.

Wcześniej rozmyślał o Ido. Nie znał nikogo, kto pracowałby tak ciężko, a cyborgi z całego Miasta Złomu wychwalały go na każdym kroku. Nie było ani jednej osoby o podobnym poziomie wiedzy cybernetycznej, lekarza godzącego się leczyć osoby, które w danej chwili – albo w ogóle – nie miały możliwości zapłacić.

Cóż, była jeszcze jego żona – czy raczej była żona. Kiedy otworzyli klinikę, dzielili czas pomiędzy lecznicę a stadion, gdzie zajmowali się obsługą paladynów. Pewnie dzięki temu, co zarobili na motorballu, mogli nie zamykać przychodni. Potem jednak Ido zrezygnował z pracy przy zawodnikach. Jego żona pracowała na torze do dziś, ale odkąd się rozstali, nie pojawiała się w klinice i Hugo wątpił, żeby cokolwiek dawała za darmo. Hugo nie miał więc pojęcia, jakim cudem doktorowi udawało się nie zbankrutować. Prawie każdy sposób, by dobrze zarobić, był niebezpieczny albo nielegalny, a lekarz nie robił wrażenia kogoś, komu odpowiadałyby takie metody. Jasne, od dawna handlował trochę na czarnym rynku, ale to jak każdy. Przestrzeganie prawa było w Mieście Złomu prostą drogą, żeby umrzeć z głodu. Zasady wyznaczała Fabryka i były niesprawiedliwe.

Ci, którym zależało na czymś więcej niż przetrwaniu, zostali zmuszeni ustalić własne reguły. Prędzej czy później stawali w konflikcie z oficjalnym prawodawstwem, dlatego ważniejsze, żeby mieć osobisty kod i się go trzymać. Dane słowo było na wagę złota. Każdy, z kim robiło się interesy, musiał mieć

absolutną pewność, że do pewnych rzeczy się nie posuniesz, choćby nie wiem co.

Hugo dotychczas skrupulatnie dbał, by nie naruszyć własnego kodu. Różnił się jednak od większości chłopców w swoim wieku i o tym wiedział. Niewyraźnie, prawie podświadomie, ale wiedział. Bardzo szybko okoliczności sprawiły, że jego myśli przestały krążyć wokół spraw materialnych i skupiły się na takich kwestiach jak zaufanie i szczerść, wola i intencje, a nawet inspiracje i miłość. On sam, rzecz jasna, nie myślał o swoim życiu w takich kategoriach. Hugo nie poświęcał zbyt wiele czasu na abstrakcyjne rozważania.

Większość tego dnia spędził w klinice. Po części dlatego, że chciał się dowiedzieć, co Ido będzie skłonny kupić – poza serwami, znaczy się. Ido zawsze potrzebował więcej serw. Hugo miał jednak również inny cel: wyciągnąć z doktora informacje na temat Zalemu. Ido najwyraźniej widział w nim osobę zainteresowaną sprawami naukowymi i medycznymi, pragnącą zostać lekarzem albo kimś w tym rodzaju. Hugo nie chciał – zresztą nawet gdyby, głównie by z tego wynikało, bo ludzie przyuczeni do takich zawodów brali się z Fabryki. Nikt nie miał pojęcia, skąd bierze ich Fabryka, ale Hugo wiedział, że nie z Zalemu. Nie mieli znamienia na czole.

Kiedy dzieciak tak gdybał, zaczynały nasuwać się mu pytania. Jak to się stało, że Ido znalazł się na ziemi? Dlaczego nie starał się wrócić? Czemu w ogóle pozwolono im opuścić miasto i tak dalej, i tak dalej, na okrągło. Doktor starał się trzymać język za zębami, ale Hugo odnosił wrażenie, że jeszcze trochę i zmęczy rozmówcę. Kilka rzeczy już mu się wymknęło. Malec miał nadzieję, że jeśli będzie poruszał takie tematy jak jego superchip, który miał zintegrować coś tam nowego z czymś tam starym, lekarz w końcu rozgada się na tyle, żeby się z czegoś zwierzyć. Doktor wyraźnie chciał zrzucić kamień z serca – był sam jak palec. Pewnie wolałby pogadać z innym lekarzem, kimś podobnym do jego byłej żony, ale ostatecznie pewnie zaakceptuje każdego, komu będzie się chciało słuchać jego naukowej paplaniny.

W tej konkretnej chwili Hugo jednak rozmyślał nad czymś innym. Żałował, że najpierw nie oparł się głodowi, a potem nie wziął ananasowo-kokosowego shake'a,



mógłby przypiąć go do kierownicy żyra i popijać przez słomkę, jadąc do domu. Zamiast tego uparł się na falafela, a potem zaparkował przy kawiarni w miejscu, skąd miał doskonały widok na kobietę siedzącą samotnie przy jednym ze stolików rozstawionych na chodniku.

To, że się tam znalazła, bo naszła ją ochota na bardzo duże cappuccino, było zwykłym przypadkiem. Przypadkowo też akurat tego dnia postanowiła założyć bransoletkę. Przypadkiem również zobaczył, że obserwowana nosi ją na nadgarstku. Kobieta, o której mowa, była nieco przy kości, o ciemnobrązowej skórze, krótkich spiralnych lokach i dużych ciemnych oczach. Miała na sobie T-shirt z obrazkiem przedstawiającym kilka kotów oraz dżinsy wyblakłe prawie do białości. Zwyczajna osoba. Hugo nie potrafiłby powiedzieć, czy widział ją wcześniej.

Z kolei jej bransoletkę widział ostatnim razem u swojej matki, która dostała ją w prezencie od jego ojca i nosiła bez przerwy, nie zdejmując jej nawet na noc, aż do dnia, kiedy zmarła.

\*\*\*

W rodzinie Hugo prezenty były rzadkością. Jego ojciec starał się, jak mógł, ale jako szeregowy pracownik Fabryki nie dysponował fortuną, a kiedy niespodziewanie na świecie pojawił się Hugo, pieniędzy musiały pokryć jeszcze więcej wydatków. Rodzice byli zaskoczeni – oboje w średnim wieku, wyobrażali sobie, że kolejny raz pieluchy zobaczą dopiero na wnukach.

Hugo ani razu nie zwątpił, że go kochali. Ojciec nazywał go „miłą niespodzianką”, a starszy brat nie posiadał się z radości, że dostał młodszego braciszka, którym mógł się opiekować. Ich rodzina była szczęśliwa i jak wszystkie dzieci ze szczęśliwych domów Hugo nie wiedział, że są biedni. Dopiero później zdał sobie sprawę, że rodzice, a czasami nawet brat odejmowali sobie jedzenie od ust, żeby najmłodszy nie chodził spać głodny.

Mama od czasu do czasu wspominała, że poszuka sobie pracy, kiedy Hugo zacznie chodzić do szkoły, ale ojciec błagał ją, by tego nie robiła. *Pewnie też zrobisz sobie modyfikacje. Jedno z nas musi zostać w pełni człowiekiem, kochanie. Dla chłopców.*

Matka powtarzała, że nieważne jak wielką część ciała ojciec wymieni na cybernetyczną, będzie dla niej najbardziej ludzką osobą, jaką zna, ale mimo wszystko uszanowała jego życzenie. Starła się dorobić, piorąc i sprzątając, ale większość takich prac zlecano osobom wyposażonym w specjalne urządzenia i moduły, a nie kobietom dysponującym tylko dwiema rękami otrzymanymi od Matki Natury. Od czasu do czasu jednak wszystkie cyborgi były zajęte i dawały ludziom namiary na nią.

Prezenty, które stanowiły rzadkość, zwykle przyjmowały postać rzeczy przydatnych, potrzebnych. Nie ekstrawaganckich bzdur w rodzaju biżuterii. Ozdoby tylko pochłaniały oszczędności, a te lepiej było wydać na jedzenie. Mimo to pewnego wieczora po powrocie do domu ojciec Hugo wyciągnął sznurowany woreczek z ciemnozielonego aksamitu i położył go na stole kuchennym przed matką. Wpatrywała się w niego, jakby miał ją ugryźć, ignorując chłopaków, którzy zerwali się z miejsc i zaczęli krzyczeć „Otwórz! Otwórz!”.

Kiedy zobaczyła bransoletkę, jej twarz przybrała wyraz, który Hugo widział tylko kilka razy w życiu. Brat powiedział mu później, że przeczytał kiedyś w wierszu słowa dobrze oddające, jak wtedy wyglądała: „zaskoczona przez radość”. W życiu nie spodziewała się bransoletki i póki jej nie dostała, nie wiedziała, że chciała ją mieć.

Błyskotka była wykonana z kutej miedzi i miała szerokość mniej więcej pięciu centymetrów. Matka wzięła ją do ręki i obejrzała ze wszystkich stron. Pośrodku pasa metalu osadzony był ciemnozielony kamień tego samego koloru co woreczek, Hugo uznał to za bardzo fajne. Spytał, czy to szmaragd, i wszyscy wybuchli śmiechem.

Oczekiwał, że matka każe ojcu zwrócić prezent, bo nie mogli marnować pieniędzy na bezużyteczne ozdoby. Matka jednak nasunęła bransoletę na

nadgarstek i od tamtej chwili nosiła ją zawsze i wszędzie.

Brat doradził jej, żeby tak nie robiła, bo ktoś mógł ją obrabować. Uważał, że powinna ją schować w bezpiecznym miejscu. Matka odmówiła. *Bizuteria jest po to, żeby ją nosić, a nie chować*, powiedziała. Hugo też się niepokoił – nie był aż tak młody, by nie rozumieć, że w Mieście Złomu nie było bezpiecznie. O dziwo mamie nic się nie stało. Twierdziła, że bransoletka przynosi jej szczęście, a Hugo czasami się zastanawiał, czy może ten niepozorny pasek miedzi ozdobiony ładnym kawałkiem szkła naprawdę posiadał moc odpędzania zła.

Nawet jeśli tak było, to moc nie objęła swoim działaniem jego ojca. Nie zniechęciła go do wymieniania kolejnych części ciała, aż prawie zupełnie się pozbył się skóry, mięśni i krwi.

Kiedy ojciec pierwszy raz wrócił do domu z cybernetyczną kończyną, Hugo uciekł przed nim i się rozplakał. Ojca zdumiała jego reakcja – myślał, że mechaniczna ręka wyda się synowi fascynująca, szczególnie kiedy zobaczy, jak się rozwija, wysuwa i obraca, i jak teleskopowe palce wyginają się we wszystkie strony.

Matka i brat powiedzieli mu, że zranił uczucia ojca. Brat spędził sporo czasu, starając się go przekonać. *Ludzie tracą ręce i nogi w wypadkach albo trzeba im je amputować, bo mają raka kości. Naprawdę uważasz, że nie powinni mieć prawa czymś ich zastąpić?*

Hugo nie wiedział, jak wyjaśnić, że ojciec nie stracił ręki, tylko przehandlował ją za coś, co nawet nie wyglądało jak ludzka część ciała. Przeprosił tatę, ale spod łóżka, skąd nie widział metalowego czegoś przytwierdzonego do jego barku.

Ojciec nie obraził się ani nie zezłościł. zaproponował, że w domu będzie zakrywał rękę, żeby Hugo mógł się spokojnie przyzwyczaić. Jakiś czas później malec podsłuchał, jak tata opowiada matce i bratu, że z małymi dziećmi nigdy nie wiadomo, co je może przestraszyć i dlaczego. Nie miało sensu tłumaczyć, że Hugo nie powinien się czegoś bać – zamiast tego powinni mu pokazać, że wciąż go kochają, i nie wszystko, co groźnie wygląda, naprawdę takie jest. Hugo bardzo się wzruszył, słysząc te słowa z ust ojca. To był ten człowiek, którego znał, kochał;

i jemu ufał. Nie rozumiał po prostu, dlaczego ten sam ojciec mógłby chcieć mieć mechaniczną rękę. Nie dość, że wyglądała przerażająco, to nie dało się z jej powodu normalnie przytulać.

W każdym razie ojciec zaczął zakrywać rękę w domu, a Hugo ze wszystkich sił starał się udawać, że mu nie przeszkadza. W rzeczywistości jednak przerażała go jeszcze bardziej, kiedy jej nie widział. Co robiła, kiedy ojciec nakrywał ją kocem albo rękawem swetra? Nawiedzały go koszmary, w których czekała, aż wszyscy pójdą spać, po czym odczepiała się od ciała ojca, zakradała się do pokoju Hugo i przywiązywała go do łóżka, a następnie odcinała jego rękę i zastępowała ją mechaniczną kopia siebie.

Po pewnym czasie koszmary zelżały – przez długi czas jednak Hugo udawał, że czuje się lepiej niż naprawdę było. Przestał się bać maszynerii wystającej z barku ojca, ale i tak jej nie lubił. W najlepszym razie było go stać na to, żeby tolerować jej obecność.

Nikt mu nie zdradził, kiedy ojciec wymienił nogi. W ogóle by się nie dowiedział, gdyby nie to, że pewnego ranka ojciec zapomniał zamknąć na zamek drzwi do łazienki. Hugo był już wtedy zbyt dojrzały, żeby uciekać i chować się pod łóżkiem, a nogi ojca bardziej przypominały ludzką część ciała niż jego ręka. Mimo to umysł Hugo na nowo opanowały koszmarnie myśli. Wyobrażał sobie, że mechaniczna ręka amputowała i zamieniła nogi ojca podczas snu, i nie potrafił sobie wytłumaczyć, że to niemożliwe.

Nie był też za stary na przerażające sny. W ich nowej wersji ojciec kazał mu wstawać, bo lada chwila spóźnią się do pracy w Fabryce. Hugo obracał się na bok i zauważał, że ojciec jest cały zrobiony z metalu, ma cztery mechaniczne ręce i dwie głowy. Widząc to, syn odrzucał kołdrę i odkrywał, że sam też ma metalowe ciało. Czasami miał osiem nóg jak pająk, innym razem jedno koło niczym żyro. Bywało, że ojciec zaczynał rozpadać się na kawałki, a kiedy Hugo zrywał się z łóżka, żeby mu pomóc, jego ciało też się sypało.

Pewnego dnia Hugo zdał sobie sprawę, że ojciec miał już mechaniczne nogi, kiedy podarował matce bransoletkę – mniej więcej wtedy zwrócił uwagę, że

zmienił się jego chód. Fabryka zapewne dała mu premię za to, że zgodził się zostać w większej części maszyną. W końcu tego właśnie mieli w Fabryce najwięcej – metalowych maszyn.

Rzecz w tym, że maszyny nie powinny umierać.

Czy nie dlatego ojciec wymienił całe ciało? Nie po to, żeby na zawsze pracować w Fabryce wraz z innymi maszynami? Czy kiedy jeden z fabrycznych robotów przewracał się na ziemię podczas pracy, przełożeni nie wzywali po prostu wsparcia technicznego albo mechanika, żeby naprawić to, co się zepsuło? Kiedy maszyna nawalala, wystarczyło wymienić uszkodzoną część, czy o co tam chodziło, i mechanizm wracał do pracy, prawda? Przedstawiciele Fabryki nie powinni przychodzić do domu i przekazywać rodzinie maszyny, że zmarła.

Brat musiał zabarykadować go w pokoju, żeby matka mogła porozmawiać z urzędnikami, nie ryzykując, że Hugo będzie wyzywał ich od kłamców i próbował pobić. Kiedy goście wyszli, dzieciak usiadł na schodach przed domem i uparcie czekał, aż ojciec wróci do domu, żeby mu opowiedzieć o kłamliwych dupkach z Fabryki, którzy się upierali, że wyzionął ducha.

Hugo nie pamiętał wiele z następnych tygodni. Brat ożenił się ze swoją dziewczyną, Naną. Nana spędzała wiele czasu z Hugo i jego matką, kiedy brat pracował – też w Fabryce, rzecz jasna, ale miał lepszą posadę niż ojciec. Hugo błagał go, żeby nie wymieniał żadnych części ciała na mechaniczne. Brat obiecał mu to i nie przeszkadzało mu, że Hugo czasami nalegał, żeby mu pokazał, co ma pod ubraniem.

Dwa i pół miesiąca później ich matka zmarła we śnie. Kiedy Hugo ją znalazł, wciąż miała na ręce bransoletkę. Niezły talizman – zawiódł ją właśnie wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała. Nie oczekiwał, że jeszcze kiedyś zobaczy błyskotkę, w gruncie rzeczy przez wiele lat ani razu o niej nie pomyślał.

A teraz miał ją przed oczami. Na nadgarstku jakiejś obcej kobiety nie mającej pojęcia, co nosi.

Hugo dokończył falafela, wrzucił zmiętą serwetkę do kosza na śmieci i sięgnął po żyro. Nie zastanawiając się, co robi, poprowadził go przez strefę zakazu

parkowania przed kawiarnią, aż stanął równolegle do kobiety, która właśnie zamawiała kolejne cappuccino. Począł, aż kelnerka wejdzie do środka i uruchomił silnik, po czym sięgnął w stronę kobiety. Zerwał bransoletkę z jej nadgarstka i odjechał.

*Przykro mi, pomyślał, nie oglądając się za siebie. Ale jeśli mam być szczery, to nie pasowała pani do stroju.*

\*\*\*

Hugo wiedział, że nikt nie będzie go gonił. Kobiecie nic się nie stało, a tania metalowa bransoletka nie była warta zachodu. Mimo to dla świętego spokoju kluczył alejkami i bocznymi uliczkami, gdzieniegdzie tak wąskimi, że musiał zsiąść i prowadzić żyro za kierownicę.

Pół godziny później znalazł się przy południowo-wschodniej krawędzi góry śmieci. Nie było to miejsce, gdzie normalnie nie spędzał tam wiele czasu. Nie widział też nikogo innego. Normalnie dałoby mu to do myślenia, by przenieść się gdzieś, gdzie było więcej ludzi i mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanie napadnięty. Inna sprawa, że kobietę z kawiarni otaczał tłum, a i tak miała teraz o jedną bransoletkę mniej.

Cóż, tak bywa. Przynajmniej nikt kobiety nie pobił. Dla niej ta bransoletka była tylko częścią garderoby, zapomni o błyskotce, kiedy tylko sprawi sobie nową. Może jeśli powtórzę to sobie dostatecznie wiele razy, pomyślał Hugo, to zapomnę, że przysiągłem nie okradać lekko zmodyfikowanych i w pełni organicznych ludzi. Jego zasada brzmiała, że traktować w ten sposób mógł tylko cyborgi po Pełnej Wymianie.

PW-ty były gadającymi głowami ujeżdżającymi metalowe ciała. Można je było dymać, bo nic im się nie działo. Wystarczyło zapodać takiemu kilka razy z paralizatora, żeby zwałił się na ziemię i pozwolił wymontować sobie cyberdzeń. Potem dawało się Fabryce anonimowy cynk – przyjeżdżali po rdzeń we wskazane

miejsce i podłączali go do aparatury podtrzymującej życie. W międzyczasie cięło się ciało i pędzlowało części, chyba że ktoś chciał całość i nie miał ochoty bawić się w konstruktora.

Dla PW-ta utrata ciała nie miała znaczenia, bo nie posiadał go od dawna – przehandlował je na maszynierię. Zawsze mógł zdobyć nowe części i przy odrobinie szczęścia przez dłuższy czas uniknąć kolejnego ataku. A nawet gdyby jeden czy drugi miał wyjątkowego pecha, co za różnica? I tak osobnicy składali się z samego metalu. Nie mieli prawdziwych ciał.

Hugo oparł stopy o kierownicę żyra i odchylił się na siedzeniu. Przez dłuższy czas obracał bransoletkę w palcach.

Wydawało mu się, że po śmierci mamy brat przekazał ozdobę Nanie, która nie chciała jej nosić, więc po prostu ją schowała. Nana i brat pozwolili mu zamieszkać ze sobą i przejęli rolę jego rodziców, co było trochę dziwne. Ale tylko trochę, bo przecież tworzyli rodzinę i tylko oni mu zostali.

Czekał, aż Nana i brat będą mieli dzieci, dla których mógłby zostać kimś w rodzaju starszego brata. Nie doczekał się jednak. Czasami zastanawiał się, czy zamierzali zrobić to samo, co jego rodzice: poczekać, aż starszy „potomek” dorośnie, a potem sprawić sobie „niespodziewaną przyjemność”.

Okazało się, że nic z tych rzeczy.

Brat dotrzymał obietnicy i nie zamontował sobie ani jednej cybermodyfikacji, ale też nie musiał. Fabryka wysłała go na studia z inżynierii ogólnej. Brat wyjaśnił mu to w ten sposób, że za każdym razem, kiedy chcieli zrobić coś nowego, jego zadanie polegało na tym, by pokazać im jak tego dokonać. Brzmiało to trochę dziwnie, ale pensję dostawał lepszą niż ojciec i nie musiał pracować tak ciężko. Czasami wzywano go, kiedy w Fabryce wystąpił jakiś problem, ale wtedy zawsze wypłacali mu premię. Nie zdarzało się to jednak zbyt często. Brat miał dla niego dużo więcej czasu niż ojciec.

Nana mówiła na nich „moi chłopcy”. Nie przeszkadzało jej, że spędzali całe godziny, spacerując po mieście. Czasami wychodzili razem grzebać w śmieciach. Poszukiwali najdziwniejszych rzeczy wyrzuconych przez mieszkańców Zalemu

i wymyślali szalone historie na temat tego, czym były i dlaczego trafiły do śmietnika. Od czasu do czasu szukali miejsc, skąd dało się dostrzec kontury budynków na krawędzi ośmiokilometrowego dysku Zalemu, i wyobrażali sobie, co robią mieszkańcy. Czy spoglądają w dół i zastanawiają się, jak wygląda codzienne życie tych na ziemi?

To były szczęśliwe czasy. Hugo nie wiedział nawet jak bardzo – w końcu był dzieckiem. Wiedział, że kiedyś dorośnie i znajdzie sobie pracę, ale nie miał powodu sądzić, że wszystko zupełnie się zmieni. Czasami wyobrażał sobie, że tak samo jak brat mógłby zostać inżynierem i mówić innym, jak robić różne rzeczy. Rzadko jednak wybiegał myślami tak daleko w przyszłość. Na co dzień wystarczała mu świadomość, że brat podziela jego fascynację Zalemem i jest supermądry, pomysłowy i tak wspaniale spędza się z nim czas.

Brat, niestety, był też inżynierem. Pewnego dnia zwierzył się Hugo, że nie wystarczają mu marzenia i historie. Nie chciał sobie wyobrażać, jak wygląda Zalem, zamierzał się dowiedzieć. Usilnie szukał więc sposobu, jak to osiągnąć. Zabrał Hugo do swojego warsztatu i pokazał mu, co wymyślił. To był początek końca.

Prawdę mówiąc, początek końca miał miejsce, zanim starszy brat zdradził swój sekret Hugo, czyli w chwili, gdy zaczął budować latającą maszynę. Hugo wiedział, że to bardzo nielegalne. Statki powietrzne cięższe od powietrza zagrażały autorytetowi Zalemu – każdy przyłapany na posiadaniu takiej maszyny, nawet jeśli w danej chwili nie była zdolna do lotu, podlegał karze śmierci. Łowcy głów mieli prawo zabić taką osobę, nawet nieściganą listem gończym; przysługiwała za to spora nagroda.

Jeśli jakimś cudem komuś udałoby się oderwać od ziemi, zestrzeliliby go centurioni. A gdyby wziął ze sobą członka rodziny albo kogokolwiek innego, lub ktoś przypadkiem stałby w pobliżu – cóż, tym osobom pozostawało życzyć powodzenia w kolejnym życiu.

Od wielu lat nikt nie próbował zrobić czegoś tak szalonego jak brat Hugo. Nawet ptaki omijały Miasto Złomu szerokim łukiem, bo systemy obronne Zalemu



nie rozróżniały maszyn od istot żywych. W rezultacie jedynym miejscem, gdzie ludzie mogli oglądać dziko żyjące ptaki, były najodleglejsze obszary Pustkowi. Naj, najodleglejsze. Wielu mieszkańców Miasta Złomu nie widziało żywej ptaszyny w locie.

Ale brat Hugo nie był idiotą, jakich w Mieście wielu. Potrafił zbudować maszynę wyposażoną w kamerę wideo i nadajnik. Jediną trudnością, którą napotkał, były zakłócenia. Kiedy się z nimi rozprawi – powiedział Hugo – poczeka na bezksiężycową noc i wyśle drona w powietrze. Kamerę wbudował w szkielet maszyny wykonany w dużej mierze z tektury. Elementów metalowych było tak niewiele, że nie wykryłyby ich żaden czujnik. Maszyna miała polecieć aż do samego Zalemu i nareszcie ujawnić, co tam się dzieje. Jednak póki co – ostrzegł go brat – to musiało zostać między nimi. Nikt nie mógł wiedzieć, nawet Nana. W każdym razie jeszcze nie teraz. Powiedzą jej później, kiedy będą gotowi do startu.

Słyszając to, Hugo poczuł lekki niepokój. Jak brat zamierzał utrzymać to w tajemnicy przed żoną? Dzieciak był prawie pewien, że ojcu udało się zachować przed matką tylko jedną tajemnicę, mianowicie że odkładał na bransoletkę, a to była sprawa zupełnie innej wagi. To kiedy ukrywali, że ojciec wymienił sobie nogi, bardziej przypominało tę sytuację. No ale ojciec nie złamał prawa.

Sprawa sprowadzała się do tego, że brat nie był jego ojcem, a w Nanie, choć nie łączyły ich więzy krwi, widział pełnoprawnego członka rodziny. Uważał, że nie powinni przed nią zatajać czegoś tak ważnego.

Uszanował jednak życzenie brata i nic nie powiedział, chociaż kilka razy cudem utrzymał język za zębami. Brat w tym czasie kontynuował pracę i udało mu się trochę wyciszyć silnik, który wciąż był głośniejszy, niż inżynier by chciał, ale materiały dostępne w Mieście Złomu nie pozwalały na nic więcej.

Później zaś pewnej nocy spadł deszcz i brat wpadł na rozwiązanie: zabezpieczy swojego drona przed wodą i wyśle go podczas ulewy, co zamaskuje hałas silnika. Pośle go pod sam Zalem z kamerą wyposażoną w noktowizor, a film odbierze, nastawiając odbiornik na odpowiednią częstotliwość.

Kiedy baterie zaczną się wyczerpywać, maszyna wzleci prosto w górę najwyżej

jak się da, żeby silne prądy powietrzne krążące na większych wysokościach zniosły ją z dala od Miasta Złomu, unicestwiając wszelki materiał dowodowy. Tylko oni dowiedzą się czegoś o Zalemie. Może pewnego dnia wykorzystają tę wiedzę na swoją korzyść, a może zabiorą ją ze sobą do grobu. Bez względu na okoliczności, poznają największą tajemnicę na świecie.

Hugo miał wrażenie, że ta noc nigdy nie nadejdzie, ale w końcu brat oznajmił, że szykują się odpowiednie warunki. Prognoza pogody zapowiadała całonocne opady, a przy okazji tak się przyjemnie złożyło, że był nów i zachmurzone niebo miało pozostać ciemne. Nareszcie – ku wielkiej uldze Hugo – brat oznajmił, że mogą zdradzić tajemnicę jego żonie.

Nanie jednak w ogóle nie spodobało się to, co usłyszała. Jej zdaniem był to najgłupszy pomysł wszech czasów. Powiedziała, że nie chce słyszeć o Zalemie, przecież nikt – w każdym razie w Mieście Złomu – też nic nie wie. Poza tym nie rozumiała, po co komu nielegalna wiedza.

Jej reakcja sprawiła, że Hugo poczuł się dziwnie. W pewnym sensie zaczął się bać, nabrał poczucia, że może nie powinni tego robić. Ale kiedy poruszył temat z bratem, usłyszał, że Nana nie rozumiała męża, bo nie była inżynierem. Miała artystyczną duszę – plotła biżuterię z koralami, którą sprzedawała na rynku za pośrednictwem przyjaciółki, i pisała wiersze oraz bajki o mówiących zwierzętach i elfach-robotach. Głowę Nany wypełniały niesamowite rzeczy, mogła tylko marzyć, że się spełnią, wyjaśnił mu brat. Nie potrafiła zrozumieć, że pewne sprawy, wydawałoby się niemożliwe, a w każdym razie zabronione do osiągnięcia, były w zasięgu ludzi. Hugo uważał, że brat poważnie lekceważy inteligencję Nany, ale mogli o tym porozmawiać później, po obejrzeniu nagrania z Zalem.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Późnym wieczorem, kiedy na niebie wreszcie zaczęły zbierać się chmury, Nana zniecierpliwiona wręczyła Hugo listę zakupów pełną produktów, które dało się dostać jedynie na rynkach po drugiej stronie miasta. Próbował ją przekonać, żeby poczekała do jutra, ale nie chciała ustąpić – powtarzała prosiącym tonem, że już zbyt długo odwlekała te sprawunki i bardzo by jej pomogło, gdyby to dla niej zrobił. Powiedziała też, że da mu coś bardzo fajnego

w nagrodę, jeśli jej pomoże.

Późnym popołudniem na ulicach panował duży ruch, a do straganów na rynku stały długie kolejki. Tu i ówdzie odstał swoje tylko po to, by dowiedzieć się od sprzedawcy, że dany towar właśnie się skończył, i dzieciak musi stanąć w innej kolejce, licząc na większe szczęście. Zanim wszystko kupił, zaczęło padać, a korki zrobiły się większe. Udało mu się wcisnąć do autobusu, który potrzebował dwudziestu minut, żeby przejechać półtorej przecznicy, po czym się zepsuł. Hugo czekał chwilę na kolejny, ale poddał się i ruszył piechotą. Nawet gdyby było go stać na taksówkę, nie znalazłby ani jednej. Taksówki w Mieście Złomu znikwały, kiedy zaczynało padać.

Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że co chwilę wpatruje się w cień Zalemu odcinający się na tle deszczowych chmur i upomniał się, żeby przestać. Gdyby ktoś z Fabryki zobaczył jego zachowanie na nagraniu z kamery bezpieczeństwa, mógłby zacząć się zastanawiać, czego szukał wzrokiem, i nabrać podejrzeń. Mógłby wysłać do nich centuriona, żeby zadał im kilka pytań albo nawet przeszukał dom. Centurion znalazłby maszynę brata i byłoby po wszystkim, sprawa zamknięta, dziękujemy i dobranoc.

Kiedy wreszcie dotarł do domu, Nana czekała na niego na zewnątrz w deszczu. Wystarczyło, że spojrzał na jej twarz, by upuścił torby i ruszył biegiem do drzwi, ale Nana była szybsza od niego. Chwyciła go w ramiona i przytrzymała mocno, mówiąc: *Nie możesz wejść, Hugo, przepraszam, przepraszam... Nie było innego sposobu. Przez niego wszyscy byśmy zginęli.*

Hugo bardzo chciał w to nie wierzyć. Zza drzwi wyłoniła się jednak dwójka mężczyzn z noszami, na których spoczywało w całości przykryte ciało. Towarzyszył im ociężały, potężny centurion i łowca głów z torbą na trofeum. Hugo starał się wmówić sobie, że w środku na pewno nie znajdowała się głowa jego brata.

Kiedy w końcu pozwolono im wejść z powrotem do domu, Hugo poszedł do pokoju na strychu, nawołując brata, i walił w zamknięte drzwi, domagając się, żeby ten go wpuścił. Nana nie kazała mu przestać ani go nie uciszała. Poczekała, aż się

zmęczy, po czym zniosła go do łóżka, a kiedy spał, starannie posprzątała pokój i wyszorowała podłogę, usuwając wszelkie ślady po istnieniu męża.

Następnego dnia poinformowała Hugo, że zostali sami we dwójkę, ale na jakiś czas są ustawieni. Nie musiała od razu iść do pracy. Słyszając to, Hugo pojął, że odebrała za głowę brata pokaźną nagrodę. Cóż, Fabryka nie wypłacała świadczeń rodzinom martwych przestępców, a fakt, że brat nie był sfrustrowanym robolem, tylko uprzywilejowanym inżynierem, uczyniła jego występki jeszcze bardziej karygodnym. Hugo podejrzewał jednak, że mimo to Nana otrzymała niewielką rekompensatę za szkody emocjonalne związane z wydaniem męża.

A może nie. *Przez niego wszyscy byśmy zginęli*, powiedziała, tuląc go do siebie, kiedy płakali w deszczu. Była do tego stopnia przekonana, że brat zostanie przyłapany, że wyciągnięcie ręki po pieniądze wydało jej się rozsądniejszym posunięciem.

Hugo nie zdziwiło, że chciała, by pozostali rodziną. Nie rozumiał tylko, dlaczego wydało jej się to możliwe. Początkowo planował odejść po miesiącu, ale szybko zdał sobie sprawę, że nie wytrzyma nawet tygodnia. Zabrał ze sobą trochę jedzenia i starych rzeczy brata, ale pozwolił jej zatrzymać pieniądze okupione krwią.

Zostawił lakoniczny liścik: *Nie próbuj mnie szukać*. Przeczynał, że może jej to nie zniechęci, ale chyba rozumiała, że nie żartuje, bo więcej jej nie widział. Kilka lat później zakradł się do dzielnicy, w której wtedy mieszkali, i odkrył, że ich dom zajmuje inna rodzina. Przeszło mu przez myśl, żeby wypytać sąsiadów, co się stało z Naną, ale nie rozpoznał żadnego z nich i doszedł do wniosku, że właściwie nie musi wiedzieć, czy jest szczęśliwa. Ani nawet czy żyje.

Sprawa zamknięta, resztę znacie. Dziękuję i dobranoc.

\*\*\*

– Ej, a może on jest i głupi, i głuchy?

Hugo uniósł wzrok znad bransoletki i zobaczył, że otacza go sześciu chłopaków. Siódmy podszedł i jak gdyby nigdy nic oparł się o kierownicę żyra. Wszyscy byli od niego o kilka lat starsi, kilkanaście centymetrów wyżsi i sporo masywniejsi. Koleś nachylający się nad nim nie był największy z grupy, ale jego ręce składały się z twardych mięśni obiecujących poważną krzywdę każdemu, kto nie zachowa należytej ostrożności, to znaczy znajdzie się w zasięgu jego wzroku.

Hugo zachował się zdecydowanie, wręcz żenująco, nieostroźnie. Każdy skrawek Miasta Złomu był pod czyjąś kontrolą. Hugo nie dość, że wtargnął na obcy teren, to zamiast po prostu przejechać na drugą stronę, co uszłoby mu na sucho, pogorszył swoją sytuację, pogrążając się w myślach do tego stopnia, że nawet nie zauważył ekipy, która przysłała mu powiedzieć, żeby spadał.

– Widzimy, że nie jesteś stąd – powiedział chłopak opierający się o kierownicę.  
– Bo jakbyś był, to byś wiedział, że to nasz kwadrat. Konkretnie tu, gdzie stoisz. Tu jest zakaz parkowania, a już na pewno dla takich gównianych wraków jak twoje żyro. Rujnujesz malowniczy krajobraz naszej kupy śmieci.

Chłopak się wyprostował i wyrwał bransoletkę spomiędzy palców Hugo.

– To pokryje część mandatu. Moi kumple pobiorą resztę. – Chłystek odsunął się i ktoś przewrócił żyro kopniakiem.

Hugo całe życie stronił od bójek – utrzymywał się przy życiu za pomocą sprytu, a nie pięści. Nauczył się dyplomatycznie wyplątywać z niebezpiecznych sytuacji, a kiedy język go zawodził, sięgał po plan B, to znaczy rzucał się do bardzo szybkiej ucieczki. Udział w bitkach bywał bolesny, nawet kiedy się wygrywało. Można było wyjść obronną ręką, ale przy okazji ją złamać. A złamana ręka poważnie utrudniała sprawę, kiedy twój przeciwnik i jego znajomi przychodzili się odegrać.

Niestety czasami nie dało się ani rozmawiać, ani uciekać, ani bić – pozostawała czwarta, najmniej atrakcyjna opcja: skulić się na ziemi i osłaniać bardziej wrażliwe części ciała, mając nadzieję, że napastnicy zachowają dość przytomności umysłu, by w porę się opamiętać.

Hugo miał wrażenie, że biją go godzinami, zanim przywódca przywołał ich do siebie. Ale oczywiście na odchodne ktoś musiał kopnąć go w nerki. Przez dzień czy

dwa będzie sikał krwią.

– Myślę, że kolo już zrozumiał, o co chodzi z zakazem parkowania, i nie będzie się więcej pchał, gdzie go nie chcą – oznajmił przywódca chłopaków. – Dajmy mu pięć minut, żeby się pozbierał, zapakował na tę kupę złomu i pojechał z powrotem do mamusi. Chyba czai, że za pięć minut wrócimy się upewnić, że zniknął. – Roześmiał się. – Hej, leszczu, miłej nocy. I dzięki za bransoletkę. Nie pasowała ci do ciuchów.

Poszli sobie, śmiejąc się.

Hugo poczekał, aż przestanie ich słyszeć, po czym odepchnął się rękami od ziemi i usiadł. Przeszywający ból po obu stronach klatki piersiowej sprawił, że wstrzymał oddech i delikatnie się obmacał, starając nie naciskać zbyt mocno. Doktor powiedział mu kiedyś, że poobijane żebra bolą bardziej niż połamane. Chyba że końcówka złamanego żgała w wątrobę albo śledzionę. Po której stronie była wątroba? Czy ból dokuczał inaczej, kiedy miało się przebity narząd?

Wziął powolny, głęboki i bolesny wdech. Potem z pewnym trudem ustawił pionowo żyro i pozbierał się z ziemi, co też sprawiło mu mnóstwo bóli. Na głowie miał rozcięcie, które obficie krwawiło – to normalne, twierdził doktor, powyżej poziomu szyi tkanki są silnie ukrwione, ale w ten sposób nie da wykrwawić się na śmierć, chyba że jest się hemofilikiem.

Poczuł ból, przerzucając nogę przez żyro, poczuł go też, zajmując siodełko. Pocieszał się, że nie jest tak źle, jutro będzie go bolało o wiele bardziej. Dostrzegł swoje odbicie w jednym z lusterek żyra i się wzdrygnął – jedno oko zrobiło się tak zapuchnięte, że prawie nie było go widać, a pęknięta dolna warga miała wielkości parówki. Poczuł nagły przypływ potężnej złości. Nie chciał wracać pokonany do domu, tylko znaleźć tych koleś i ich porozjeżdżać, zostawić każdemu ślad opony na ryju.

*Mhm... A armię centurionów skąd weźmiesz?* – spytał w myślach swoje odbicie.

Odpalił żyro. Gnojki nie uszkodziły Hugo na śmierć. Nie chcieli popełnić zabójstwa, tylko po prostu pokazać, jacy są silni. Chociaż nie mogli powiedzieć, że

cokolwiek im zrobił. Nie okradł ich...

*Nie. Okradłeś kogoś innego, jakąś Bogu ducha winną niezmodyfikowaną kobietę, która nic nie zrobiła twojej rodzinie. Przegiąłeś. Spotkało cię to, na co zasłużyłeś.*

Hugo głośno westchnął, ignorując ból. Jakby życie składało się wyłącznie z nauczek i ważnych lekcji. Nieprawda – to był zwykły dzień w Mieście Złomu, gdzie silni żerowali na słabych i każdy robił to, na co było go stać, by przetrwać. Jak Nana. Bratu na sto procent nie uszłoby płazem wysłanie drona do Zalemu, a ona jako jedyna z ich trójki miała dość oleju w głowie, żeby zdać sobie z tego sprawę. Kiedy pojęła, że nie wybije mu tego z głowy, zrobiła, co mogła, żeby uratować siebie i Hugo. Kochała męża, ale to nie oznaczało, że musiała za niego umrzeć.

Hugo jechał powoli boczną uliczką, krzywiąc się za każdym razem, gdy koła podskakiwały na nierównościach. W końcu znalazł wyjazd na główną drogę. Od tego momentu będzie poruszał się po gładziej nawierzchni, chociaż wolniej. Ruch był równie wielki, co wtedy, gdy wracał z rynku z zakupami Nany tamtego deszczowego dnia, a teraz nie miał siły, żeby kluczyć między samochodami i ciężarówkami, tak jak robił to zwykle.

Mówiąc krótko, miał zły dzień – właściwie to wyjątkowo okropny. Już nigdy nie pozwolić nikomu zbliżyć się na tyle, żeby dać zrobić sobie krzywdę, odnotował w pamięci. I bardziej uważać, co się wokół niego dzieje.

## ROZDZIAŁ 3

Zatrzymaj się tam – powiedział z tylnego siedzenia limuzyny elegancko ubrany ciemnoskóry mężczyzna. Nazywał się Vector. Samochód był jego własnością i Vector wpuszczał do niego wyłącznie tych, którzy wedle jego uznania zasługiwali na wdychanie klimatyzowanego powietrza wypełniającego wnętrze auta.

Postronnego obserwatora mógłby zaciekawić człowiek siedzący obok. Gamot nie wyglądał jak ktoś, kto spędzał czas w limuzynach. Nie przeszkadzało mu to być jednym z najbardziej wartościowych pracowników czy może raczej nieformalnych współpracowników Vectora. Charakter ich kooperacji powodował, że Vector wolał spotykać się z podwładnym w samochodzie. Poza tym długie, przetłuszczone, posiwiałe włosy, nalana twarz poorana starymi bliznami po trądziku, wytarte ubranie i brudne stopy w klapkach sprawiały, że Gamot naprawdę nie pasował do biura pracodawcy.

– O co chodzi, szefie? – spytał Gamot.

Jego twarz wrażała uprzejme zdziwienie. Wbrew swojej zebraczej aparycji manieri, przynajmniej w kontaktach z przełożonym, miał nienaganne.

– Wydawało mi się, że usłyszałem od ciebie komunikat „spóźnił się” – powiedział Vector, świadomie przyjmując poważną minę, której żaden z jego pracowników nie chciał widzieć na jego twarzy. – Konkretnie w zdaniu „Hugo z ekipą spóźnił się z dostawą”. Dobrze mówię?

– Tak, przykro mi – odparł Gamot przepraszająco. – Został poważnie pobity.

– W sensie Hugo?

Gamot przybrał jeszcze bardziej przepraszający wyraz twarzy.



– No. Widzi pan, kilka dni temu był wieczorem w południowej dzielnicy...

– A po cholere? – wtrącił Vector z irytacją. – Nie wysyłałem go tam. Na południu nie ma nic poza naćpanymi białymi gówniarzami.

– Nie wiem, szefie, chyba po prostu akurat tam był – powiedział Gamot. – Niedaleko wysypiska, więc możliwe, że szukał złomu i się zapodział. W każdym razie spuścili mu niezłe manto. Popękane żebra, wstrząs mózgu, jedno oko zupełnie zapuchnięte. Siedmiu na jednego, nie miał szans. Tak to załatwiają po tamtej stronie. Widziałem go dzień po. Dzieciak miał szczęście, mógł skończyć w śpiączce.

– Był w szpitalu? – spytał Vector chłodno.

– No, nie. Poszedł do Ido. Doktorek go poskładała, chociaż tak naprawdę nie jest...

Vector uciszył go niecierpliwym gestem dłoni.

– Jeśli nie pojechał do szpitala, to nie było z nim aż tak źle.

– Ido mu powiedział, że zamiast do niego powinien pojechać do szpitala...

– Nie pojechał, ale żyje, prawda? – Vector zrobił pauzę, a Gamot pokiwał głową. – W takim razie nie ma usprawiedliwienia. Nie można prowadzić interesów w taki sposób.

– Przepraszam, szefie – burknął Gamot, garbiąc się ponuro. – Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

– To nie ty jesteś mi winien przeprosiny.

Vector wciągnął powietrze. Miał przemożną ochotę spoliczkować Gamota grzbietem dłoni, a potem kazać rozpędzić limuzynę do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i wyrzucić go z wozu. Podejrzewał jednak, że Gamot źle to odbierze. Nie zrozumie, że Vector nie chciał ukarać jego. Poza tym ludzie reprezentujący go na ulicy nie powinni wiedzieć, że uważa ich za zamiennych. Tak będzie lepiej. Wszyscy wiedzieli za dużo, nawet jeśli większość nie zdawała sobie sprawy, że wie cokolwiek.

Poza tym Gamot był naprawdę dobry w tym, co robił. Nie należało zabijać posłańca, chyba że był niekompetentny.

Nie dało się zaprzeczyć, że ta sytuacja wytrąciła go z równowagi. Hugo jeszcze nigdy go nie zawiódł – zawsze był na czas, zdobywał wszystko, o co go proszono, i ani razu nie próbował opchnąć mu jakiegoś szmelcu, twierdząc, że to dobry sprzęt.

– Kiedy miało miejsce to słynne pobicie? – spytał Gamota po dłuższej chwili.

– Cztery czy pięć dni temu, coś w tym stylu.

– To najgorsze ma za sobą – odparł raźnie Vector. – Dzieciaki szybko wracają do zdrowia. Nie mają wyjścia. Znajdź go i przyprowadź tu. Muszę się z nim rozmówić.

– Załatwione, szefie. – Gamot sięgnął w stronę kłamki.

– Moment. – Vector go zatrzymał. – Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

– Zrobię wszystko – obiecał Gamot. Biła od niego prawie namacalna szczerłość.

– Zanim pojedziesz po Hugo, zajrzyj na rynek i poszukaj sprzedawcy o imieniu Mario. Powiedz, że cię przysłałem, bo masz kupić sobie buty. Nie obchodzi mnie, jak będą wyglądały, wybierz kolor i styl, ale mają mieć zakryte palce. Zajmij się tym jak najszybciej, miej je na nogach, kiedy stawisz się tu z Hugo, zresztą odtąd noś je już zawsze na sobie. – Vector poprawił się trochę na fotelu i nachylił w stronę Gamota. – Rozumiemy się?

– Jasne, szefie. – Gamot wpatrzył się w stopy Vectora, ewidentnie robiąc wszystko, żeby nie patrzeć na własne.

– Nie muszą wyglądać tak jak moje – usłyszał.

To zresztą byłoby niemożliwe. Vector odebrał swoją parę z dostawy dla Zalemu, wysyłając w jej miejsce krzywe brogi wykonane w Mieście. Zalem nie kwestionował zamiany. Może urzędnicy uznali buty za przejaw ulicznego szyku. Ludzie na górze byli pewnie tak samo głupi, jak ci tutaj.

– Już się za to biorę, szefie – oznajmił Gamot. – Mario, potem Hugo i od dzisiaj zawsze w butach.

– Możesz wyglądać, jakbyś mieszkał pod mostem, ale nie chcę, żebyś uszkodził sobie nogi – powiedział Vector.

– Ha, ha, oczywiście, szefie. Potrzebuje pan czegoś jeszcze? Późny lunch?

Churrosy?

– Nie, zostaw mi tylko co najmniej jednego gońca w zasięgu głosu. Ale żeby nie opierał się o limuzynę ani nie siedział na zderzaku.

– Załatwione – zapewnił go Gamot. – Pozostałe sprawy też.

Wysiadł z samochodu, a Vectora uderzyła prosto w twarz fala gorąca i wilgoci. Nakazał podkręcić klimatyzator i osuszacz powietrza, żeby nie utonąć, a kierowca wykonał polecenie, nie odpowiadając nawet „już, szefie”. Takich szoferów Vector lubił najbardziej – uważnych, posłusznych i milczących.

Nie miał pojęcia, jak długo zajmie Gamotowi znalezienie Hugo, ale nie przeszkadzało mu to. Mógł wykorzystać ten czas i zastanowić się nad pierwszym punktem swojej listy zadań do wykonania: nad genialną, seksowną i aktualnie samotną stroicielką.

Vector wyciągnął tablet i przejrzał kilka nagrań z boksów podczas poprzedniego wyścigu. Ta kobieta zbuduje dla niego czempionów, przy których Grewishka u szczytu formy będzie wyglądał jak dziecko – ludzie zupełnie zapomną o istnieniu tego wraka. Co więcej, od kiedy pani geniusz rozstała się z Dysonem Ido, miał ją wyłącznie dla siebie. Szkoda, że była trochę sztywna, choć nie miało to nic wspólnego z rozpadem jej małżeństwa. Od początku była chłodna jak dryfująca przez świat góra lodowa, nigdy nietopniejąca, nieoferująca nic poza rażącym po oczach intelektem... I odmrożeniami. Błękit jej oczu nie był jak niebo, lecz arktyczny lód. Vector nie raz widział, jak paladyni zamierają pod naporem jej spojrzenia.

Jeśli miał być szczery, to chciał zatrudnić i ją wraz z Ido na wyłączność i pełny etat, ale Ido nie był zainteresowany. Kiedy Chiren od niego odeszła, postanowił nie zajmować się więcej motorballem i zostawił na lodzie graczy, którzy przyzwyczaili się do jego wybitnych umiejętności. Teraz, żeby skorzystać z jego usług, musieli chodzić do tej syfnej kliniczki i czekać w kolejce razem z najsmutniejszymi, najędźniejszymi odpadami społeczeństwa.

Vector uważał, że Ido był świętoszkowatym dupkiem, który kreował się na anioła zbawiciela, a tak naprawdę zrobił niezłe świństwo. Niestety nie dało się

zmusić człowieka, żeby naprawiał twoich zawodników motorballowych. Najlepszym motywatorem, jak w większości dziedzin, było przekupstwo – ale to nie działało na cnotliwego Dysona Ido. Vector miał nadzieję, że kiedyś będzie miał okazję spytać Jego Świątobliwość, co takiego szlachetnego widział w tym, że zostawił na pastwę losu ludzi łudzających się, że mogą na niego liczyć. Chciał się dowiedzieć, jaka genialna logika nim kierowała.

Pewnie jednak będzie musiał obejść się smakiem, bo Doktor Zadufany w Sobie nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Nie przeszkadzało mu to – jeśli miał wybrać jedno z nich, wołał Chiren. Królowa Lodu prezentowała się dużo lepiej niż Ido. Długie, ciemne włosy, idealna cera, szczupłe, wysportowane ciało i ten uroczy fioletowy klejnot pośrodku czoła. Vector żałował tylko, że nie była trochę niższa, bo łatwiej mu było dominować osoby, nad którymi górował o co najmniej dziesięć centymetrów. Genialna pani doktor tymczasem prawie dorównywała mu wzrostem. Inna sprawa, że właśnie dzięki temu wyglądała tak świetnie w designerskich ciuchach. Jakby była stworzona do ich noszenia... I zrzucania na podłogę jego sypialni. Wtedy patrzyłaby już na niego z dołu.

Z dwojga złego wołał, żeby mieszkała pod jego dachem, choć czasem musiał znosić, jak wyrzuca mu swoje żale. Dawniej, kiedy mieszkała z Ido, tam wylewała swoją żołąć, a Vector musiał się martwić, że wytną mu jakiś numer. Od kiedy doktorek został sam, nie miało znaczenia, co mu podnosiło ciśnienie, bo i tak miał za niskie, żeby sikać pod wiatr.

Vector pozwolił sobie zachichotać, wyciągnął z barku butelkę doskonałej whisky zarezerwowanej dla Zalemu i nalał sobie na wysokość dwóch palców. Wołał pić bez celu niż wpatrywać się w nieudaczników z Miasta Złomu, którzy mijali limuzynę i szeptali między sobą na jej temat. Większość wiedziała, do kogo należy, i okazywała szacunek, obchodząc wóz w dostatecznej odległości, by nie podrapać karoserii, gdyby ktoś się potknął.

Ich twarze wyrażały przy tym stosowne poważanie, wręcz podziw, co Vector jak najbardziej pochwalał, choć nic nie mogło sprawić, żeby zaczął czuć do tych ludzi sympatię. Interesowało go wyłącznie to, by rozumieli, że on znajdował się na

szczyście łańcucha pokarmowego, a oni na dole. Nie mieli szans wkupić się w jego łaski na tyle, by zaprosił ich do swojego apartamentu na drinka i kolację, ale odpowiednim zachowaniem gwarantowali sobie, że nie skróci ich życia.

Dokończył whisky i już zamierzał nalać sobie znowu, kiedy Gamot zastukał w szybę. Vector sięgnął do konsoly i wcisnął przycisk otwierający drzwi, po czym Hugo wpadł do środka i wylądował u stóp szefa. Wyglądał bardzo kiepsko.

– Dziękuję – powiedział Vector. – Jak buty?

Gamot uniósł jedną nogę. Szare buty terenowe. Solidne. Mario najwyraźniej zareagował na widok stóp Gamota tak samo jak Vector. – Trochę mi w nich dziwnie – przyznał Gamot.

– Wracając do domu, zahacz jeszcze raz o Maria i kup sobie zapas skarpet.

– Nie widziałem, żeby miał.

– Nie wszystko leży na widoku – doradził mu Vector i wykonał dłonią gest, nakazując podwładnemu się ulotnić.

– To pan tu rządzi – odparł Gamot. – Miłego wieczoru.

Zanim Gamot wypowiedział pożegnanie, Vector zapomniał o jego istnieniu i skupił się na Hugo. Dzieciak zachował rozum i nie próbował przenieść się na kanapę bez pozwolenia. Dobrze, że chociaż o tym pamiętał, skoro nie potrafił już dostarczać zamówień na czas. Może lanie wywołało u niego tylko częściową amnezję.

– Co... ci... się... do cholery... stało? – zażądał wyjaśnienia. – Wpadłeś do blendera w barze Kansas? – Dzieciak otworzył usta, ale Vector uniósł dłoń. – Jeśli usłyszę od ciebie jakąś wymówkę, upiększę ci twarz i dodam kilka kolorów.

– Żebra też mam obite – stęknął cicho chłopak.

– A po kiego wała? – warknął Vector. – Matka cię nie nauczyła, żebyś nie dawał się łać?

W oczach chłopaka coś błysnęło, przez ułamek sekundy żarzyła się w nich czysta wściekłość. Potem jednak spuścił wzrok.

– Przepraszam – wymamrotał. – Powinienem być bardziej ostrożny.

– A żebyś, cholera, widział – zrugął go Vector. – Wkopałeś mnie. Moi paladyni

mieli nadzieję, że dostaną te części i ulepszenia przed następnym wyścigiem. A teraz nie mogą na to liczyć. Będą musieli jakoś sobie poradzić, o ile w ogóle wyjdą na tor. Jak myślisz, jak by zareagowali, gdybym im powiedział, że to przez twoje nieudacznictwo?

– Myślę, że uda mi się zdobyć niektóre części...

– No, super. To powiem chłopakom, że niektórych naprawimy. Tylko których? Zamknij się – dodał, zanim Hugo coś odpowiedział. – Naprawdę nie znasz nikogo, kto mógł cię zastąpić, kiedy doktorek składał ci żebra do kupy? Nawet ja mam ludzi, którzy mnie zastąpią w razie nagłej potrzeby, a zarządzam całym tym pierdolonym miastem! – Vector przesunął się nieco do przodu. – Weź się ogarnij, Hugo, do jasnej cholery, albo skreślę cię z listy zaufanych ludzi. A potem zadbam, żeby nikt więcej cię nie zatrudnił. Nikt cię nie weźmie, choćbyś chciał zbierać cięgi za darmo jak worek treningowy.

Vector zauważył, że dzieciak bierze głęboki oddech. Boże, czy on zamierzał płakać? Gdyby się rozryczał, Vector naprawdę musiałby mu zafundować kilka nowych siniaków. W półświatku obowiązywał zakaz płaczu.

– Wie pan... – odezwał się w końcu dzieciak. Głos miał opanowany. – Myślę, że mogę to panu wynagrodzić... – Uniósł wzrok na Vectora. – Tak trochę – dodał szybko. Oczy miał suche. – Tylko trochę.

– Ach, serio? – Vector spojrzał na niego z góry, jakby z wielkiej wysokości. – A co niby zrobisz? Z dupy sobie wyciągniesz moje spóźnione zamówienie?

– Mam cynk. Nikt inny o tym nie wie – odparł Hugo.

Vector przesunął się jeszcze trochę w przód.

– Lepiej, żeby mi się to spodobało.

Dzieciak zrobił smutną minę i się zawahał. Vector przysunął się jeszcze bardziej i nachylił się tak, że prawie zupełnie przesłaniał młodemu pole widzenia. Jeśli Hugo nie rozumiał, że musi w ciągu następnych kilku sekund przekazać mu interesującą informację, to był o wiele głupszy, niż wyglądał. Albo zbyt honorowy, żeby sprzedać czyjąś tajemnicę, choć mogło go to uratować. Ale Vector miał prawie zupełną pewność, że Hugo nie był ani głupkiem, ani samobójcą.

Po dłuższej chwili Hugo wziął głęboki oddech i powiedział:

– Dyson Ido pracuje nad jakimś układem dla cyborgów, który jego zdaniem będzie niwelował wszystkie konflikty pomiędzy starymi i nowymi częściami. Czyli koniec z wahaniem i desynchronizacją. A na dodatek ten chip przyspiesza działanie i wszystkie ruchy.

– Ach tak. – Vector pociągnął łyk whisky, żeby dzieciak nie dostrzegł, jakie wrażenie zrobiła na nim ta informacja. Kto wiedział, że Hugo potrafił być taki przydatny, kiedy ziemia paliła mu się pod nogami? – Mówiąc „pracuje”, masz na myśli, że wciąż próbuje, udało mu się, czy że jutro zaczyna masową produkcję?

Hugo znów się zawahał.

– Udało mu się. Na moje oko do produkcji jeszcze się nie zabiera, poza tym jeśli już, to będzie rozdawał to za darmo, jak wszystko. Większość cyborgów jedzie na naprawę starych częściach...

– Nie odzywaj się, kiedy myślę – pouczył go cicho Vector. – Czy ja dobrze rozumiem, co mi powiedziałaś? Dyson Ido wymyślił chip rozwiązujący problemy z kompatybilnością pomiędzy starym a nowym sprzętem i zamiast sprzedawać go ludziom, których na to stać, którzy naprawdę na to zasługują, zamierza oddawać chip za darmo?

Hugo otworzył usta, ale nic nie powiedział. Po prostu przytaknął.

Vector milczał, świdrując Hugo wzrokiem, aż ten zaczął się nerwowo wiercić. Niech się wije, pomyślał. Informacja, którą przekazał, trochę rekompensowała to, że nie wywiązał się z zadania. Vectora wściekło jednak, że gdyby Hugo dostarczył zamówienie na czas, istnienie chipa nadal pozostawałoby dla niego tajemnicą. Wynalazek zalałby rynek, zanim Vector mógłby temu zapobiec. A wtedy banda chodzących wraków bez sensu zużywająca powietrze zaczęłaby funkcjonować o wiele lepiej, niż miała do tego prawo.

– Co ci się naprawdę stało? – spytał Vector. – Chcę usłyszeć całą historię. Żeby człowiek dostał po mordzie, musi być jakiś powód, choćby najgłupszy.

Hugo opowiedział mu szybko o tym, jak ukradł bransoletkę kiedyś należącą do jego matki, i jak potem ekipa z południa zabrała mu błyskotkę oraz spuściła manto

za parkowanie przy wysypisku.

– No, muszę przyznać – stwierdził Vector, kiedy Hugo skończył – to była najdurniejsza, najbardziej żalosna historyjka, jaką słyszałem od paru dobrych lat.

Vector znów dostrzegł w oczach Hugo rozbłysk złości, który szybko ustąpił miejsca neutralnemu, posłusznemu spojrzeniu.

– Hugo, kiedy cię zatrudniłem, nie dopisałem przy twoim nazwisku: „dostępny, jeśli akurat nie płacze za mamusią”. Kiedy pracujesz dla mnie, nie obchodzi cię nic innego. Nie zajmujesz się jakimiś gównianymi sprawami w miejscach, które nie mają żadnego związku z twoimi zadaniami. A na południu nie ma niczego, absolutnie niczego, co miałyby związek z tym, co kazałem ci zrobić. Dociera to do ciebie?

Hugo jeszcze raz pokiwał głową.

– Jak chcesz bransoletkę, to sobie kup. Dość ci płacę. Chcesz się na nią gapić i wspominać stare dobre czasy? Od tego jest wolne. Nie masz wolnego, kiedy wykonujesz dla mnie zadanie. Rozumiemy się?

Kolejne przytaknięcie.

– Doskonale. A teraz spieprzaj stąd i załatw części, o które cię prosiłem. A jeśli jeszcze raz się spóźnisz, nie uratuje cię nawet najbardziej odlotowy cyberchip na świecie. No, dalej. Won!

Dzieciak zerwał się na czworaki i wyskoczył z samochodu tak nagle, jakby ktoś połaskotał go poganiaczem bydła. Vector nie obrócił głowy, nie przyjrzał się, jak młody ucieka. Może trzeba było trochę go obić, pomyślał, nakazując kierowcy, żeby ruszał w stronę domu. Jednak chciał tylko napędzić dzieciakowi stracha, a nie robić mu jeszcze większą krzywdę. I nie chodziło o to, że Hugo był miękki. Dzieciaki takie jak on nie reagowały dobrze na kary cielesne. Nie biły się, więc nie miały respektu dla siły fizycznej – jeśli już, to uciekały przed razami.

Poza tym to była jego pierwsza wpadka. Vector był przekonany, że prędzej piekło zamarznie, niż Hugo zawiedzie go jeszcze raz. Nie mówiąc o tym, że informacja, którą mu zdradził, była wartościowa jak cholera. W gruncie rzeczy może należało go za jakiś czas wynagrodzić, żeby dać mu do zrozumienia, jak



dobrze może wyjść na dzieleniu się ze swoim pracodawcą wszystkim, czego się dowie.

Vector wciąż był trochę zły na Hugo, że nie powiedział mu o chipie, póki nie został przyparty do muru, ale szef czuł, że powoli mu przechodzi. Musiał poświęcić swoją intelektualną energię sprawie cudownego chipa i opracować plan. Chowaniem urazy mógł się zająć później, jeśli dojdzie do wniosku, że będzie z tego pożytek.

\*\*\*

Hugo nie przestawał biec, aż zostawił limuzynę sześć przecznic za sobą, po czym na wszelki wypadek zszedł na niżej położoną ulicę ciągnącą się u stóp porzuconej grobli. Było praktycznie fizycznie niemożliwe, żeby limuzyna tu dotarła. Schował się w cieniu rzucanym przez kamienne schody prowadzące na wyższy poziom, spróbował złapać oddech.

Zachował się podle, zdradzając doktora w ten sposób. Vector wymyśli, jak ukraść chip, wykorzystać go do swoich celów – na pewno do motorballa i diabli wiedzą do czego jeszcze – i zupełnie odciąć się od Ido. To w końcu była żona doktora obsługiwała paladynów na torze. Pewnie rozgryzie działanie chipa, może nawet zbuduje lepszy. A potem skorzystają z niego wyłącznie ci, dla których cena ustalona przez Vectora nie będzie zaporowa. Dla cyborgów zatrudnionych w Fabryce będzie to marzenie równie nieosiągalne, co Zalem.

Niezależnie od tego, jak ta sprawa się rozegra, Hugo musiał zadbać, żeby doktor nie domyślił się, kto go wsypał. Powinien porozmawiać o tym z Vectorem – ale później, o wiele później, kiedy pracodawca będzie się czuł tak bogaty, że zapomni o spóźnionej dostawie.

Tak, jasne. A potem Vector zaprosi go na drinki do swojego wypasionego gabinetu. Będą rozmawiali o sprawach biznesowych, podziwiając widok z okna, może nawet szef zapyta go, czy nie zna jakichś dobrze zapowiadających się graczy

motorballa.

Vectorowi w życiu nie przyszłoby do głowy, żeby powiedzieć Ido ani komukolwiek innemu, skąd dowiedział się o chipie. Tajemnica Hugo będzie mogła bezpiecznie zżerać go od środka. Nikt nie musiał poznać prawdy, podobnie jak nikt nie wiedział, że dopuszczanie się zdrady dla ratowania własnego tyłka była u nich cechą rodzinną, dodatkowo nie występowała tylko u osób, z którymi Hugo łączyły więzy krwi.

## ROZDZIAŁ 4

Ido pracował, aż umysł ze zmęczenia odmówił mu posłuszeństwa. Następnie lekarz wziął latarkę i poszedł grzebać na wysypisku. Kiedy wrócił do domu, posegregował skromny łup na trzy kupki: „użyteczne”, „być może” i „raczej nie”. Potem rozdzielił przedmioty z trzeciej kategorii na dwie kolejne: „wątpliwe” i „nic z tego”. Tymczasem noc dobiegła końca i teraz siedział z kubkiem gorącej herbaty rumiankowej, wdychając unoszącą się parę i rozglądając się po klinice szeroko rozwartymi oczami przypominającymi wyschnięte jajka na twardo.

Zawsze mało spał. Denerwowało to Chiren, kiedy zaczęli razem mieszkać. Niepokoiła się, kiedy po przebudzeniu odkrywała, że jest sama w łóżku; mówiła mu o tym za każdym razem, kiedy go znalazła. Przepraszał wtedy i wracał z nią do sypialni. Czasami zostawał i przyglądał się, jak spała, aż niebo zaczynało się rozjaśniać i wreszcie sam odpływał.

Wielokrotnie jednak wstawał, kiedy tylko nabrał pewności, że zasnęła z powrotem, i szedł czytać albo dopracowywać takie czy inne ulepszenie. Piękni ludzie zamieszkujący Zalem uwielbiali się modyfikować. Potrzebowali jednak pozwolenia od Novy, a on nie do każdej petycji ustosunkowywał się pozytywnie – uważał, że w populacji wniebowziętych trzeba było z natury wyróżniać się, by zasługiwać na dalsze usprawnienia. Zalemczycy nie powinni potrzebować mechanicznych części, przecież i bez tego byli lepsi od smutnych, żalonych stworzeń mieszkających na ziemi.

Nova przewodził miastu podczas Wojny. Pozostałe latające metropolie upadły. Zalem wciąż unosił się w powietrzu – już to wydawało się dostatecznym powodem,

by pozwolić mu zostać u władzy.

Trzysta lat później plus minus kilka dziesięcioleci Nova wydał Ido i Chiren nakaz, by usunęli siebie oraz swoją wadliwą córkę z jego idealistycznej wizji Zalemu i udali się na ziemię, gdzie będą mogli dołączyć do pozostałych wynaturzeń, nieadekwatnych jakościowo towarów i zepsutych maszyn. Chiren przysłała go błagać, żeby zmienił decyzję.

Rozważając to z perspektywy czasu, Ido zastanawiał się, czy nie miała nadziei, że Nova ustąpi na tyle, by dać jej wybór pomiędzy pozostaniem samej w Zalemie a udaniem się na ziemię wraz z mężem i córką. Wiedział, że Nova nie przystałaby na to za żadne skarby. Miał jednak świadomość, co Chiren by wybrała.

Tak naprawdę wiedział to już wtedy, tylko nie dopuszczał do siebie tej myśli. Był absolutnie pewien albo tylko sobie wmawiał, że kobieta, która szukała go po mieszkaniu, kiedy budziła się sama w środku nocy, nie zdecydowałaby się zostać w Zalemie bez nich.

Nova powiedziała by Chiren, że dla matki dziecka ze stwierdzonymi niedoskonałościami po prostu nie było miejsca w jego mieście. Gdyby zgodził się udzielić jej audiencji. Czego nie zrobił.

Gdyby nie ich córka, Chiren prawdopodobnie spędziłaby pierwszy rok pobytu na ziemi w stanie zbliżonym do katatonicznego. Na szczęście ostało się w niej dość matczynego instynktu, by myśleć o dziecku, i dość współczucia, by wspólnie z mężem założyć klinikę. Znaleźli stary dom, opuszczony od dłuższego czasu. Na dolnej kondygnacji znajdował się kiedyś gabinet dentystyczny. Mimo wieku budynek miał stabilną konstrukcję. Wystarczyło włożyć w niego trochę pracy i uczucia, by zmienił się w rodzinny dom z kliniką na parterze.

Ido i Chiren zbudowali córce wózek inwalidzki, na którym ochoczo zasuwała. Chiren kształciła ją w domu, ale kiedy dziewczyna trochę podrosła, zaczęła poruszać temat chodzenia do szkoły z innymi dziećmi. Usłyszała od matki, że ma o tym zapomnieć – szkolny budynek nie był dostosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych. Ido nie miał pewności, czy to prawda, ale ustąpił Chiren, żeby odjąć jej powodów do narzekania.

Córeczka z kolei nie narzekała na nic. To, co dla nich było wygnaniem, dla niej stawało się przygodą. Lubiła pomagać w klinice, lubiła też samych pacjentów – traktowali ją o wiele sympatyczniej niż mieszkańcy Zalemu. Ido nie uświadamiał jej, że tutaj po prostu nikt nie uważał jej za zdefektowaną.

Jeśli zaś chodziło o Chiren, to Ido sądził, czy może raczej miał nadzieję, że żona w końcu dostrzeże zalety sytuacji. W dłuższej perspektywie ich córka mogła bardzo skorzystać na tym, że ludzie uważają ją za normalną, w każdym razie nie za nienormalną. Chiren jednak przerażało coraz bardziej towarzyskie zachowanie córki i jej chęć spędzania czasu z ludźmi, dla których ziemia od urodzenia była domem.

Całe szczęście, że czasami Chiren była zbyt zapracowana, by tonąć w smutku. Pacjenci niesamowicie doceniali istnienie kliniki, zwłaszcza że właściciele nie brali od nich więcej, niż oni byli w stanie zapłacić – nawet jeśli oznaczało to, że włodarze leczyli i naprawiali za darmo. Wdzięczność odbiorców pomocy przyjmowała postać, do której Chiren nie była przyzwyczajona. Ido zauważał, że czasami nawet chwytala ją za serce. Mimo to dla Chiren wciąż pozostawało zagadką, jakim cudem ludzie potrafią być tacy szczęśliwi, nie mając dostępu do tak oczywistych dla niej dóbr i komfortu.

A potem odkryli motorballa. Czy raczej motorball odkrył ich, kiedy jeden z pacjentów – paladyn, który został łowcą głów – zaczął rozpowiadać o parze nowych cyberchirurgów o niebywałych umiejętnościach. Z dnia na dzień Ido i Chiren, choć wcześniej ledwie wiąźali koniec z końcem, stali się prawie bogaci. Właściciele zespołów płacili im dobrze w kredytach, luksusach i przysługach, zapewniając dostęp do najlepszych materiałów i sprzętu. Motorball finansował klinikę tak dobrze, że Ido mógł wykorzystać nadwyżkę do swojego osobistego projektu: budowy nowego ciała dla córki.

Dziewczyna była szczęśliwa, ale chora, jej zdrowie podupadało z każdym mijającym dniem. Zanieczyszczone środowisko Miasta Złomu i kiepskiej jakości powietrze sprawiały, że trudno jej było oddychać. Klimat panował bardzo wilgotny. Popularny żart głosił, że w Mieście nie należało się zatrzymywać, bo

zaczynała człowieka obrastać pleśń, która oblepiała wszystko. Dziewczyna wymagała regularnych prześwietleń i inhalacji, by w jej płucach nie zaległy się mikroorganizmy.

Ido zdołał przekonać Chiren, że dobrze zrobią, poddając ciało córki pełnej wymianie. Chiren nie podobał się pomysł, by przerobić dziecko na cyborga, ale ostatecznie przyznała, że da to córce najlepsze szanse na... Cóż, jeśli nie normalne, to chociaż dłuższe życie.

Realizowali przedsięwzięcie wspólnie, a Ido widział, że w Chiren wkłada w nie serce. Kiedy zaczął wyrzynać kwieciste wzory na osłonach cybernetycznych rąk i nóg, jeden z niewielu razy w życiu zobaczył na twarzy żony szczerą, entuzjastyczny uśmiech.

Ido naprawdę sądził, że nakład pracy związanej z motorballem, kliniką i konstruowaniem nowego ciała dla córki zapewnił Chiren dość zajęć, by nie miała czasu nienawidzić swojego życia.

Chiren z kolei sprawiała wrażenie, jakby motorball podobał się jej jeszcze bardziej niż jemu. Uwielbiała podniecenie, które mu towarzyszyło, wyzwania związane z naprawianiem sprzętu zawodników podczas gry i widok jednego z jej paladynów zdobywającego zwycięski punkt. W rzeczywistości jednak robiła to wszystko wbrew sobie. Nie pogodziła się z żadnym aspektem ich nowego życia. Motorball pełnił w jej życiu tę samą rolę, co u innych alkohol i narkotyki – uśmierzał ból istnienia. I podobnie jak alkohol i narkotyki dawał jedynie tymczasowe wytchnienie. Ból wciąż w niej tkwił i wracał, kiedy tylko wyścig się kończył, a rozemocjonowani kibice rozchodzili się do domów.

Ido myślał, a właściwie miał nadzieję, że ukończenie ciała dla córki da żonie trochę satysfakcji. Być może Chiren potrzebowała widzieć, że ich skarb jest silny i zdrowy zamiast przykuty do wózka inwalidzkiego, aby zrozumieć, że życie na ziemi nie składało się tylko ze znienawidzonych elementów. Może nawet przypomniaby sobie, że w Zalemie za żadne skarby nie pozwolono by im pomóc córce w ten sposób. Może to zburzyłoby mur żalu, którym odgrodziła się od świata, i pozwoliłoby wniknąć do jej wnętrza odrobinie światła.

I kto wie, może tak by się stało, gdyby nie przez śmierdzące, wilgotne powietrze i zanieczyszczone otoczenie ich córeczka cały czas podupadała na zdrowiu. Kiedy skończyli budować ciało, była tak słaba, że mogło ją zabić już samo znieczulenie ogólne. Musieli jej pomóc odzyskać kondycję. Chociaż na tyle, żeby wytrzymała fizjologiczny wstrząs operacji i mogła wrócić po zabiegu do zdrowia. Ido zaczął się zaopatrywać na czarnym rynku w bardziej pożywne jedzenie i składniki do przygotowywania witamin i suplementów.

Chiren upierała się, że to na nic, że nic w ten sposób nie wskóra, a ich córka nigdy nie będzie dość silna. Ido jednak postawił na swoim i stał się cud nad cudami – pomogło. Ich córka nabierała sił wolniej, niż by chciał, ale sprawy posuwały się do przodu. Młoda nawet czuła się silniejsza, sama to powiedziała. Ido wiedział, że to nie była tylko moc sugestii – zaczęła przybierać na wadze, jej cera nabrała lepszego koloru.

A potem skończył im się czas.

Włamania do kliniki zdarzały się rzadko, ale jeśli już przytrafił się jakiś złodziej, to prawie zawsze jego celem były leki. Ido trzymał wszystko, co warto było ukraść, w sejfie wpuszczonym w podłogę piwnicy, więc zdesperowany cyborg-narkoman odszedł z pustymi rękami. Nie przeszkodziło mu to, rzecz jasna, zdemolować wnętrza.

Ido przeraził się, że zna tego mężczyznę. Był jednym z paladynów, pracowali nad nim z Chiren – młodym, silnym, z dobrym potencjałem do ulepszeń. Szybko zdrowiał i jeszcze szybciej oswajał się z nowym sprzętem. Do czasu. Od pewnego momentu jego wyniki zaczęły się pogarszać. Talent i ambicja nie wystarczały, by okiełznać konflikty pomiędzy nowymi a starymi podzespołami, tak samo niewystarczające okazały się leki poprawiające wydajność. W końcu nadszedł dzień, kiedy właściciel zespołu – wyjątkowy sukinsyn o imieniu Vector, który ubierał się w szyte na miarę garnitury, kradzione buty i złowrogi uśmiech – skreślił go z listy swoich zawodników.

Ido i Chiren wykonywali już wtedy sporo pracy dla Vectora. Płacił lepiej niż inni i miał dostęp do sprzętu i podzespołów, o których Ido sądził, że nie powinny

być osiągalne na ziemi. Mimo to Ido nie zgodził się podpisać z nim kontraktu na wyłączność. Vector nie był zwykłym drapieżcą, tylko chciwym krwiożercą. Miał w zwyczaju przyglądać się wszystkiemu w taki sposób, jakby oceniał, czy będzie smaczne. Dotyczyło to również Chiren. Kiedy pracowali razem w stadionowym boksie, Vector trzymał się z daleka, ale Ido wiedział, że nie wynikało to z szacunku dla małżeństwa – nie chciał po prostu ryzykować, że zrazi do siebie najlepszych serwisantów motorballowych w mieście.

Dla swoich zawodników – paladynów – Vector nie miał aż tyle wyrozumiałości. Wygrywali albo wylatywali. Tym, którzy stracili miejsce w zespole, przestawały przysługiwać najwyższej klasy opieka oraz leki poprawiające funkcjonowanie organizmu. Medykamenty te koordynowały współpracę pomiędzy mózgiem a cybernetycznym ciałem, wzmacniając i przyspieszając emisję sygnałów przez komórki nerwowe. Jednym z efektów ubocznych było poczucie nietykalności. Innym, mniej zbawiennym, uzależnienie fizyczne i psychiczne.

Cyborg, który włamał się do kliniki, zdążył sprzedać niektóre ze swoich podzespołów, żeby zdobyć pieniądze na nałóg. Jego lewa ręka była niechlujną składanką tanich zamienników części, kiedy Ido widział go po raz ostatni. Z prawej ręki została nieszczęśnikowi tylko połowa. Wyprzedził wszystko, co miało wartość.

Ido spróbował z nim porozmawiać, ułagodzić go na tyle, by zaaplikować mu środek uspokajający. Cyborg zdążył się jednak zorientować, że zostanie z niczym. Cisnął Ido na regał i popędził szukać innego miejsca, gdzie mógłby zdobyć to, czego potrzebował. Niestety córka Ido stała pomiędzy nim a drzwiami wyjściowymi.

Okazała się mało znaczącą przeszkodą.

\*\*\*

W dniach po wypadku Ido czuł się tak, jakby zapadł się w podmorski szlam –



powietrze wydawało mu się gęste, a świat rozmazany i bezbarwny. Leczeni przez doktora łowcy głów odwiedzali klinikę, obiecując, że dopadną gnojka, który zamordował jego córeczkę. Jeśli chciał, mogli przynieść jego głowę nabitą na pal. Ido odpowiadał im zgodnie z prawdą: kusiała go ta propozycja. Chiren zabarykadowała się w pokoju córki i odmawiała wszelkiego kontaktu, również – czy może przede wszystkim – z Ido.

Łowcy głów doradzili mu, żeby dał jej trochę czasu. Rodzice nie powinni grzebać dzieci, mówili, a matki zawsze przeżywały to gorzej od ojców, zawsze, bo to one nosiły dziecko w swoim ciele. Nie miało znaczenia, ile czasu minęło od narodzin – matkę i dziecko zawsze łączyła fizyczna więź.

Pomogło mu to najbardziej, lepiej niż wszystko, co kiedykolwiek usłyszał.

Chiren nie wyściubiła nosa z pokoju córki przez pięć bitych dni. Szóstego dnia rano zniknęła. Ido zaskoczyło tylko to, że nie usłyszał, jak wychodziła – był prawie pewien, że tej nocy nie spał ani chwili, ale najwyraźniej przysnęło mu się na dość długo, by przegapić odejście żony.

Zadawał sobie czasami pytanie, czy próbowałby ją zatrzymać. Nie wiedział. Nie miał nawet siły smucić się, że odeszła. Kiedy opuściło go odrętwienie, zaczął sromotnie tęsknić. Nie mógł jednak ręczyć za to, co wydostałoby się z jego ust, gdyby przyłapał ją na progu z walizką w ręce. Ale myśl, że przestanie nosić na barkach ciężar jej nieustającego żalu, sprawiła mu niesamowitą ulgę.

Chiren obwiniła go o śmierć córki. Nigdy nie powiedziała tego wprost – przez bardzo długi czas od tamtej nocy nie rozmawiała z nim w ogóle – ale wiedział, że tak uważała. Choć oboje zajmowali się owym byłym paladynem, musiała rzucić winę na niego. Było dla niej nie do pomyślenia, by wziąć na siebie choćby część odpowiedzialności. To musiała być jego wina, że pracowali na stadionie motorballowym, jego wina, że założyli wspólnie klinikę, jego wina, że nie znalazł sposobu, by odwieść Novę od postanowienia o wygnaniu. Gdyby był silniejszy, inteligentniejszy, bardziej uzdolniony, Zalem chciałby, żeby zostali, ich skarb wciąż by żył. A Chiren nie musiałaby spędzić ostatnich lat życia swojej córki przepełniona nienawiścią do własnej egzystencji.

Ido szczerze tęsknił za żoną. Życie w tym miejscu, gdzie korupcja była na porządku dziennym, a godnych zaufania ludzi ze świecą szukać, brutalniej obchodziło się z tymi, którzy musieli radzić sobie sami. Mimo to jakoś sobie radził. Może dlatego, że Miasto stało na fundamencie ze skrawków, odpadków i wraków, więc pasował do niego jak ulał.

Tęsknota za Chiren nie przytępiła ulgi wywołanej jej odejściem. Nie potrzebował pomocy żony, by obwiniać siebie za śmierć córki i wiedzieć, że to uczucie nigdy go nie opuści.

\*\*\*

Chiren nie znosiła swojego mieszkania.

Znienawidziła je od pierwszego wejrzenia, ale znajdowało się tylko kilka przecznic od stadionu motorballowego, co miało duże znaczenie, bo teraz musiała chodzić do miejsca pracy sama. Widziała też inną zaletę: nie musiała mieszkać z Ido. Nie czuła się tu jak w domu, ale też w całym Mieście Złomu nie było dla niej dobrego miejsca. Miasto było brzydkie i brudne. Powietrze śmierdziało, woda smakowała stęchlizną, a dni dzieliły się na złe i gorsze. Non stop jedno wielkie gównno, jak to ujmowały dzieciaki. One zresztą też nie były wiele warte. Prawie sami młodociani przestępcy, którzy dorosli za szybko i zmienili się w złodziei, naciągaczy i czarnorynkowych kombinatorów imających się wszystkiego, byle zarobić parę groszy. Wolała nie wiedzieć, na jakie cholerstwa wydawali te pieniądze.

Ich brudne twarze pojawiały się nawet na torze motorballowym. Kiedy jej wzrok pierwszy raz spoczął na urwisie o imieniu Hugo, przyszło jej do głowy, że może wkradł się na teren stadionu. Dzieciak jeszcze się nie golił, a stał w jej warsztacie z pudłem serw i pięcioma czy sześcioma płytkami drukowanymi. Zadzwoiła do Vectora z pytaniem, czy otworzył przedszkole.

Vector zszedł ze swojej luksusowej łóżki, żeby oficjalnie przedstawić jej Hugo

i przeprosić, że nie zrobił tego wcześniej.

– Kazałem Hugo pójść z nowymi częściami prosto do ciebie – mówił, podlizując się. – Założyłem, że będą ci potrzebne. Hugo powoli staje się moim numerem jeden, zdobywa rzadkie podzespoły i części, których zawsze mamy za mało. A chyba w naszym boksie nigdy nie padły słowa: „mamy za dużo serw”. Prawda?

Przytaknęła. Poczula się tak, jakby jednocześnie starał się ją udobruchać i skarcić.

– Hugo był uprzejmy, mam nadzieję? – Wyraz twarzy Vectora przeszedł z lizusowskiego w lizusowsko zmartwiony.

– Był, nic do niego nie mam – wyjaśniła Chiren. – Po prostu się zdziwiłam. Wydawało mi się, że dzieci bez opieki nie mogą przebywać w boksach.

Vector roześmiał się serdecznie.

– Droga pani doktor, Hugo jest chłopakiem, nie dzieckiem.

W następnej chwili Ido pojawił się z Claymorem, którego lewa ręka zwisała na kablu, a Vector się ulotnił, jak zwykle, gdy Ido był w pobliżu, chyba że miał coś do powiedzenia im obojgu. To Ido był winny temu napięciu. Widziała po spojrzeniu, jakim mierzył Vectora, że toleruje go wyłącznie ze względu na pracę, którą szef im dawał. Zdarzały się dni, kiedy tolerancja przychodziła mu z trudem.

Chiren spytała go, jak może odczuwać wrogość do kogoś, kto tak dobrze płaci. Tak dobrze, szczerze mówiąc, że praktycznie z własnej kieszeni finansował klinikę. Bez jego udziału musieliby zamknąć drzwi dawno temu. Ido wspomniał coś, że pozyskują pomoc dla ludzi z marginesu od osoby, przez którą biedacy żyli w takich warunkach, w jakich żyli. Chiren odpowiedziała mu, że przekonanie o własnej wyższości zawsze było jego najmniej atrakcyjną cechą.

Prywatnie uważała, że Ido był zazdrosny. Wcześniej nigdy nie zdradzał takich skłonności i nie patrzył zawistnie na dorobek i talent innych. To jednak było w Zalemie. W Mieście Złomu nawet święty poczułby się choć trochę zagrożony przez atrakcyjnego i w oczywisty sposób zamożnego mężczyznę ubierającego się w ręcznie szyte garnitury i buty z miękkiej skóry, poruszającego się po okolicy

opancerzoną limuzyną z szoferem. Vector zawsze wyglądał nieskazitelnie, zupełnie jak kiedyś ona i Ido.

Posługiwał się też ładnym językiem – w każdym razie jak na Miasto Złomu. Po pierwszej dłuższej rozmowie Chiren nabrała przekonania, że osiągnął wszystko ciężką pracą, opierając się na stosunkowo lichym formalnym wykształceniu i ponadprzeciętnej smykałce do ulicznych interesów. Zalem dawał jej inny punkt odniesienia, ale ludziom, którzy przyszli na świat w miejskim brudzie, Vector pewnie jawił się jako wyższa forma życia. To w każdym razie zdawał się wyrażać wzrok większości mieszkańców, kiedy na niego patrzyli. Chiren zaimponowało, do czego doszedł, korzystając z dostępnych środków.

Gdyby byli w Zalemie, Dyson Ido, którego znała i kochała, przewyższałby go pod każdym względem. Tu jednak Vector unaoczniał jej, jak bardzo Ido się zapaścił. W gruncie rzeczy już od dawna tracił w jej oczach. Może odnosił wrażenie, że to ona odsuwa się od niego, ale tak naprawdę było odwrotnie.

Co dzień pracowali razem w klinice, ale traktował ją wtedy jak powietrze – zamiast parą byli dwójką ludzi przebywających w tym samym miejscu. Godząc się z wygnaniem, Ido się poddał. Cała jego energia i magnetyzm wyparowały, nie pozostawiając po sobie nic, co mogło ich uchronić przed bezwładnym oddalaniem się od siebie. Nawet córka nie mogła ich uratować. Ido był tego całkowicie nieświadomy – w ogóle nie zauważył, co się dzieje.

Chiren wstała od podrapanego, przechylającego się stołu kuchennego – jednego z obskurnych, niewymownie żalonych elementów wyposażenia mieszkania – i zaparzyła sobie kolejną filiżankę herbaty, korzystając z torebek i butelkowanej wody, które Vector podarował ekipie technicznej po ostatnim wyścigu. Rzekomo tę samą herbatę wysyłali do Zalemu, a woda pochodziła z osobistej destylarni Vectora, ale Chiren w smaku wyczuwała coś dziwnego. Może przez to gówniane powietrze.

Otworzyła trochę szerzej okno, przy którym znajdował się stół, i włączyła stojący wiatrak. Trochę pomogło. Powietrze tego wieczora było okropnie wilgotne, nawet jak na tutejsze warunki. Wystawiła głowę za okno i wpatrzyła się w niebo –

nie w zasnuwające je chmury, tylko w przezierającą przez zachmurzenie ciemniejszą plamę, której źródłem był dysk latającego miasta. Pogoda na dole miała trzy główne ustawienia: zwykły deszcz, przed ulewą i po ulewie. Błękitne niebo pojawiała się okazjonalnie i nigdy na długo. Boże, tęskniła za Zalemem.

Nie mogła tego wybaczyć Dysonowi, nigdy nie będzie mogła. To on skłonił głowę i pokornie przyjął wyrok Novy, na dodatek dostarczony przez zwykłych urzędników! To on zbudował tę durną kapsułę, żeby mogli wylądować na kupie śmieci – zupełnie jakby do niej pasowali! To on uparł się, żeby otworzyli klinikę i pomagali radzącym sobie jeszcze gorzej od nich. Jakby ktokolwiek był w gorszej sytuacji! Nikt w tym zasranym mieście nie stracił tyle, co oni.

Ale czy Dyson chociaż spróbował odzyskać cokolwiek z ich dawnego życia? Oczywiście, że nie. Był zbyt zajęty spełnianiem się w roli świętego Ido, pełnieniem posługi tak zwanym ludziom, którym gorzej się powiodło. Wspominając to z obecnej perspektywy, trudno jej było ocenić, ile jeszcze wytrzymałaby z nim pod jednym dachem. Sprawiał wrażenie, jakby zadowalało go życie na pustkowiu bez grosza przy duszy, bycie nikim, nierobienie niczego wartego uwagi, chociaż wiedział, że ona jest nieszczęśliwa. Prawdopodobnie sądził, że wykazuje się cierpliwością; w rzeczywistości nie rozumiał różnicy pomiędzy cierpliwością a apatią.

Dobrze, że przynajmniej jego słynna bezsenność nie zakłócała jej odpoczynku. Pracowali ciągle tak ciężko, że była zbyt zmęczona na wszelką intymność czy też tłumaczenie, dlaczego nie ma na nic ochoty. Po raz pierwszy w życiu cieszyła się, że Ido nie przychodzi do łóżka.

A potem ich córka...

Chiren nabrała zwyczaju niemyślenia o tym. To było najgorsze, co mogło się przydarzyć rodzicowi, więc starała się nie rozdrapywać ran. Kiedy życie jej córki dobiegło końca, to samo stało się z jej życiem matki i żony. A mimo to wstawała z łóżka każdego dnia.

Ale nie z Ido, nie w domu, który kiedyś dzielili z córką, nie w klinice, gdzie młoda śmigła na wózkach, pomagając, rozkładając czyste narzędzia, sterylizując

użyte i zagadując pacjentów siedzących w poczekalni. Nie w miejscu, gdzie Dyson porozstawiał wszystkie te holozdjęcia, na których wyglądali jak naprawdę szczęśliwa rodzina.

Te migawki były takie absurdalne, nie do zniesienia – córka uśmiechnięta, bo nie знаła lepszego życia, Ido, palant z uśmiechem od ucha do ucha, jak zwykle. Nawet ją namówił, żeby się uśmiechnęła do kilku zdjęć – jakby nie brzydziło jej powietrze, które była zmuszona wdychać, jakby nie pałała nienawiścią do pyłu, który oblepiał jej buty, ubranie i życie. Jednak każdy, przyglądając się tym zdjęciom, pomyślałby, że są normalną, szczęśliwą rodziną z Miasta.

Tymczasem nie. Ani trochę.

Najbardziej ze wszystkich holozdjęć wkurzało ją to, które Ido przemycił z Zalemu. Portret ich trójki w zbliżeniu niezdradzający żadnego szczegółu z życia w latającym mieście. O ile, rzecz jasna, przymknęło się oko na to, że wszyscy troje byli czysti, ładnie ubrani i zauważalnie bogatsi, niż mieli szansę na ziemi.

Nienawidziła ujęcia najbardziej ze wszystkich, bo nie wyglądała wystarczająco szczęśliwie jak na zdjęcie zrobione w Zalemie. Ta kobieta z córką na kolanach obejmowana przez męża, ta kobieta była głupia, nieogarnięta, pusta. Przekonana, że na pewno nie spotka jej nic złego, mimo że bobas, którego trzymała, był wyraźnie chudszy i bledszy niż powinien. Zbyt ograniczona, żeby dostrzec nieszczęście, choć obejmowała je rękami.

A ten sukinsyn... Ido... Nie uśmiechał się tak szeroko jak na wielu zdjęciach zrobionych już w Mieście Złomu. Nie wyglądał na smutnego, bardziej na trochę zamyślnego. Jakby nie miał dość oleju w głowie, by pojmować, że znajdował się w najlepszym możliwym miejscu i powinien to doceniać.

Ido pewnie do dziś niczego się nie nauczył. Mogła się założyć, że właśnie szczerzył gębę, jakby w tym obskurnym, brudnym świecie był jakikolwiek powód do zadowolenia.

## ROZDZIAŁ 5

Siniaki prawie zeszły z twarzy Hugo. Kiedy ludzie, na niego patrzyli, nie krzywili się już ani nie pytali, czy spisał numer seryjny maszyny, która skopała mu dupsko.

Wciąż jednak nie zdradził swojej paczce, co się stało. Zataił to nawet przed Tanjim i Koyomi. Tanji od razu by się napalił, by zebrać całą ekipę i się odegrać, choć tamci byli o wiele więksi. Taki już był. Spędził na ulicy więcej czasu niż przyjaciele, w tym Hugo, i nie cofał się przed nikim ani przed niczym. Nie wdawał się w niepotrzebne bójki, ale nie bał się puścić pięści w ruch, kiedy nie miał innego wyboru. Zwykle wygrywał, a nawet gdy mu się nie udawało, zostawiał przeciwnikom bolesne pamiątki.

Tanji nauczył go kilku technik, które okazały się przydatne podczas gry w motorballa i do samoobrony. Tak naprawdę jednak w obu tych sferach Hugo wolał inną strategię: być szybszym od pozostałych. Jednak ta taktyka sprawdzała się wyłącznie, gdy zachowywał ostrożność, szczególnie przebywając na cudzym terytorium.

A przebywał. Znów. Minęło półtora tygodnia od incydentu i Hugo z wielką, niebywałą wręcz ostrożnością śledził koleśki, którzy skopali mu tyłek i oddalili się z bransoletką jego matki. W tej konkretnej chwili czekał, trzymając żyro, przy wylocie pewnej uliczki, i przyglądał się, jak kręcą się po czymś, co przypominało rynek, a przynajmniej jego południowy odpowiednik. Na widok tego miejsca ucieszył się, że mieszka w centrum.

Rynek nie był tak naprawdę mały, ale panował wielki ścisk, stragany stały prawie jeden na drugim, jakby zarządcy południowej dzielnicy nie chcieli dać

sprzedawcom więcej miejsca, niż było to niezbędnie konieczne, i uważali, że i tak robią im przysługę. Wymuszona bliskość sprawiała, że ludzie z trudnością zachowywali cierpliwość.

W strefie gastronomicznej nie było takiego wyboru jak w centrum. Falafel wyglądał smacznie, ale kobieta za ladą nieustannie darła się na dzieciaka, który przygotowywał dla niej składniki. Najgorszy – przynajmniej z perspektywy Hugo – był brak ulicznych muzyków. Gdyby ktoś coś grał, atmosfera może zrobiłaby się trochę mniej ponura, nerwowa i ogólnie nieprzyjemna.

A może nie, pomyślał Hugo, obserwując, jak jeden ze śledzonych chłopaków napastuje pewną kobietę. Popełniła ten błąd, że znalazła się w zasięgu jego ręki, szukając miejsca, żeby usiąść i zjeść kupioną przed chwilą kanapkę. Pozostali kwiczeli ze śmiechu i pohukiwali, przyglądając się, jak ofiara opędza się przed napastnikiem, a potem wstaje i wychodzi z rynku, ignorując nawoływania i cmokanie. Mijając Hugo, spojrzała na niego krzywo. Nie miał jej tego za złe. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat, była trochę puszysta, ubrana w fabryczny dres. Właśnie skończyła poranną zmianę w znajdującym się niedaleko centrum dystrybucyjnym, gdzie pakowała dostawy dla Zalemu, i nawet nie mogła spokojnie zjeść kanapki.

Miała cybernetyczne nogi – Hugo rozpoznał charakterystyczny chód. Ci z mechanicznymi kończynami dolnymi przymocowanymi do organicznego korpusu chodzili tak samo. Jak jego ojciec, póki nie wymienił kolejnych części ciała i nie zaczął poruszać się jak pozostałe maszyny.

Kobieta mogłaby zmiażdżyć tamtego chłopaka na papkę. Cybernetyczne nogi były tak silne, że mogłaby rozdeptać całą bandę, a gapie na rynku zaczęliby ją oklaskiwać niczym jednego z motorballowych bohaterów. Czyżby nie wiedziała, na co ją stać? Czy bała się zemsty?

Silni nie tylko zerowali na słabych, pomyślał Hugo. Dbali też, by pozostali nie mieli świadomości swojej siły.

Do bandy dołączyło dwóch chłopaków, Hugo ich nie poznawał. Byli tak samo duzi, może trochę starsi od ich nieustraszonego przywódcy. A może po prostu



bardziej doświadczeni. Mieli więcej blizn, usta jednego wypełniały krzywe, dawno połamane zęby. Hugo zdziwiło, że odruchowo trochę ich żałował. Biedne gnojki – nie miały w życiu nic sensowniejszego, pozostawało im wykonywanie poleceń jakiegoś oprycha. Tanji wyśmiałyby go, że współczuł parze mięśniaków, od której też dostałby parę razy po mordzie, gdyby wtedy tam była.

Ekipa wytoczyła się z rynku w kierunku południowym, a Hugo ruszył równoległe do nich sąsiednią ulicą. Nawet podążając w tej odległości, narażał się. Nie miał wątpliwości, co powiedziałyby Tanji: „Zwariowałeś, czy po prostu chcesz dać się zabić? Co powiem Vectorowi, jeśli znowu cię pobiją? Że nic nie można na to poradzić, jesteś skończonym masochistą?

Tanji w jego głowie był równie upierdliwy, co ten rzeczywisty, pomyślał smutno Hugo. Ale przyjaciel miał rację. Gdyby Vector dowiedział się, że Hugo robi właśnie to, czego mu zakazał, wywaliłby całą jego ekipę na zbity pysk. Nie obchodziłoby go, że odkąd chłopak raz się spóźnił, dostarczyli dwa zamówienia na czas.

Istniała nawet możliwość, że Tanji założyłby nową paczkę i zwerbował do niej pozostałych członków obecnej, zostawiając Hugo na pastwę losu. Ci, którzy próbowali radzić sobie sami – bez przyjaciół, rodziny czy kogoś innego, kogo obchodziło, co się z nimi stanie – zwykle szybko kończyli marnie.

W odróżnieniu od Hugo Tanji i Koyomi mieli rodziny. Prawdziwych krewnych: rodziców, ciocie, wujków, kuzynów. Tylko nie mieszkali z nimi. Koyomi posiadała tylu kuzynów, że była spokrewniona z połową mieszkańców miasta. Ktoś, kto miał rodzinę, nie rozumiał, jak czuje się człowiek bez żyjących krewnych lub właśnie pozbawiony jedynej pamiątki po matce, jakby nic nie znaczyła. Jakby sam nic nie znaczył.

Cóż, Hugo nie wiedział nawet, skąd właściwie pochodzili jego matka i ojciec. Nie usłyszał od nich o dziadkach, ciotkach ani wujkach nic poza tym, że nie żyją. A teraz rodzice też nie żyli. Hugo miał wrażenie, że równie dobrze mógł wyrosnąć z ziemi albo spaść z nieba.

Albo z Zalemu? Spojrzał tęsknie w stronę miasta unoszącego się nad jego

głową.

Marzenia.

\*\*\*

Ekipa z Południa wędrowała nieśpiesznie po dzielnicy trasą prowadzącą łukiem w kierunku południowo-zachodnim, po drodze gnębiła każdą napotkaną osobę. Hugo zdał sobie sprawę, że właśnie jest świadkiem wymuszania pieniędzy i tego, co wpadło gangowi w oko, w zamian za „ochronę” – płać, albo dostaniesz wpierdol. Niektórzy oddawali kredyty bez pytania. Czasami kupowali sobie tym spokój, częściej jednak chłopaki napastowali nieszczęśników dalej, żeby wyciągnąć więcej pieniędzy.

Ofiarą padło też kilka firm i sklepów – głównie małych spożywczaków, kawiarni, smutnych witryn ze sprzętem elektronicznym i złomem. Hugo zastanawiało, dlaczego ci ludzie godzą się na to. Dlaczego nikt nic nie robił, czemu nikt nie zorganizował pomocy?

Jakiej pomocy? Od łowcy głów? Oni ścigali tylko tych, za których wyznaczono nagrodę, a Fabryka nie miała czasu rozsyłać listów gończych za takimi drobnymi ciułaczami jak ci kolesie. Brak listu oznaczał brak nagrody, a brak nagrody – brak zainteresowanych łowców.

Chłopaki śledzeni przez Hugo szli przed siebie, aż dotarli do kawiarni z dużym ogródkiem cztery czy pięć przecznic od rynku. Wtargnęli do środka, wyganiając pozostałych klientów, i zaczęli obmacywać kelnerki. Byli tak aroganccy, pomyślał Hugo, że pewnie mógłby przejechać żyrem przez środek kawiarni i ani jeden nie zwróciłby na niego uwagi, w każdym razie nie od razu. Młody zaparkował za rogiem przy bocznej ścianie budynku, nakrył głowę kapturem i usiadł na krawężniku przed lokalem, skąd mógł niepostrzeżenie kontynuować obserwację.

Przywódca grupy był absolutnym narcyzem. Od ostatniego spotkania pofarbował końcówki włosów na złoto i dodał nowy motyw do tatuażu po prawej

stronie szyi. I, co Hugo zauważył po dłuższej chwili, miał na nadgarstku bransoletkę jego mamy.

Początkowo zaskoczyło go to. Założył, że chłystek sprezentuje błyskotkę dziewczynie albo sprzeda. Ale nie, ten koleś robił to wszystko, w tym prowadził gang, wyłącznie dla siebie. Zamierzał robić, na co tylko miał ochotę, dopóki ktoś go nie powstrzyma. I pewnie nawet sobie nie wyobrażał, że może do tego dojść. Zachowywał się jak robot, nawet nie jak cyborg – był robotem z mięsa i postępował tak, bo nie umiał inaczej.

Hugo uznał, że ma dość. Dość tej ekipy, dość Południa – w gruncie rzeczy miał też dość Miasta Złomu i wszystkich, którzy stali z założonymi rękami i pozwalali na ten syf, nieważne, czy padali ofiarą gangów, czy pracowali jak niewolnicy w Fabryce, kawałek po kawałku wymieniając ciała na maszyny, aż umierali, nie mając w sobie prawie nic z tego, co czyniło ich ludźmi.

## ROZDZIAŁ 6

Chciałem to zrobić już kilka miesięcy temu – powiedział Vector z miejsca po przeciwnej stronie małego stołu. Siedzieli w jego biurze tak absurdalnie wielkim i luksusowo wyposażonym, że prawie robiło niesmaczne wrażenie. – Ale wydało mi się to... Niestosowne. Nieokrzęsane. Jakbym miał wobec ciebie nie do końca godne zamiary.

Chiren spojrzała na niego znad krawędzi kieliszka wina i pozwoliła sobie na cień uśmiechu. Rozmawiał tak, jak w jego wyobrażeniach robili to ludzie z Zalemu. Chciał ją przekonać, że nie tylko ona posiadała dalece rozwinięty intelekt i czuła się wyrzutkiem otoczonym przez brud i niższe formy życia. Postarał się, by cały wieczór jak najbardziej przypominał Zalem – śnieżnobiały obrus, wino ewidentnie wykradzione z dostaw dla latającego miasta. Widząc to, ucieszyła się, że włożyła kremową tunikę i spodnie, które miała na sobie w dniu wygnania. Był to jedyny strój ocalały z jej utraconego życia i ubrała się w niego po raz pierwszy, odkąd trafiła na ziemię. Vector wiedział, że jej ubrania pochodzą z Zalemu i nie mogąc oderwać oczu, wodził wzrokiem po jej rękach, ramionach i klatce piersiowej z żarliwością wyrażającą w tym samym stopniu fascynację, co pożądanie.

– Naprawiam twoich paladynów od lat – powiedziała Chiren, biorąc łyk wina i starając się nim nie rozkoszować. Musiała zachować przytomność umysłu. Była owcą, jadła kolację z wilkiem udającym pasterza: nie mogła pozwolić sobie nawet na chwilę nieuwagi. – Przez cały ten czas traktowałeś mnie z szacunkiem. Nie mam powodu, by spodziewać się czegoś innego. *Oczekuj szacunku, oczekuj szacunku* –

odbijało się bezsensownie echem w jej umyśle, jakby już była pijana.

– Dostałem cię w pakiecie z mężem – powiedział Vector. – Parę bardzo uzdolnionych cyberchirurgów, która sprawiała, że moi paladyni zwyciężali, a z zarobionych pieniędzy finansowała usługi dla pokrzywdzonych przez los. W Mieście Złomu ich nie brakuje. Tak bardzo podziwiałem to, co robiliście, że nie śmiałem mieć Ido za złe jego... Braku serdeczności, nazwijmy to tak. Uznałem, że jego zachowanie wynika z przepracowania.

– To bardzo miło z twojej strony – odparła Chiren, spoglądając mu w oczy.

Mogła udawać szczerą, nie ma problemu.

Dwóch ubranych w garnitury chłopców na posyłki pojawiło się z przekąskami – pieczonym camembertem, czy jego odpowiednikiem w Mieście Złomu, i małymi krążkami grzanek z pieczywa czosnkowego. Chiren zauważyła, że Vector odczekał ułamek sekundy, by zobaczyć, jak się zachowa, po czym idealnie skopiował jej ruch. Pewnie dzięki tej strategii obserwacji i mimikry przetrwał tak długo.

– Od początku byłaś bardziej towarzyska – powiedział Vector. – Nieważne jak ciężko pracujesz, mało co wytrąca cię z równowagi. Sądzę, że to kwestia wrodzonego charakteru.

– To bardzo miłe z twojej strony – skwitowała jeszcze raz i pozwoliła sobie na uśmiech. – Ale moim zdaniem oznacza to tylko tyle, że nie było cię w pobliżu, kiedy wybuchałam.

Vector zachichotał.

– Skoro musiałś na kogoś naskoczyć, to z pewnością zasłużył. Tak naprawdę od dłuższego czasu chciałem zaprosić i ciebie, i Ido na kolację, żeby okazać wam wdzięczność. I podziw. Ale oboje byliście tacy zajęci, tacy zapracowani. Jeśli nie na torze, to w klinice. Nigdy nie mieliście czasu na krótki odpoczynek. Inna sprawa, że kolacja z szefem pewnie nie byłaby zbyt relaksująca. – Przerwał i spojrzał na nią wyczekująco.

– Cóż, to naprawdę jedyne, co robiliśmy razem – stwierdziła Chiren. – Mam na myśli pracę. W klinice, na stadionie. Ido nie umiał się wyłączyć. Od kiedy się poznaliśmy, chyba ani razu nie przespał więcej niż cztery godziny dziennie, często

nawet mniej. Budziłam się w środku nocy i znajdowałam go przy stole roboczym, jak dłubał w jakiejś płytce drukowanej albo chipie.

– Naprawdę? – Vector wpatrzył się w nią z większym skupieniem. – Jakiego rodzaju chipie?

Chiren już otwierała usta, żeby powiedzieć mu o układzie integrującym, który stał się obsesją Ido, ale służący akurat wrócili po puste talerze. Vector subtelnie uniósł palec, a Chiren pokiwała głową, sygnalizując, że rozumie. Zjadła camembert, nawet nie wiedząc kiedy. Minęło wiele czasu, odkąd miała w ustach coś równie dobrego.

– Przepraszam – powiedział Vector, kiedy chłopcy na posyłki zniknęli. – Ufam moim ludziom, ale staram się nie przeciążać ich informacjami wymagającymi dyskrecji. I tak ciężko pracują.

Chiren z pewnością ani razu nie zauważyła, by Vectora obchodziło, jak ciężko harują jego pracownicy.

– Jak już wspomniałam, to bardzo miłe z twojej strony – odparła.

Dwóch innych mężczyzn wniosło główne danie: stek z polędwicy wołowej dla niej i bardzo duży, bardzo krwisty stek z antrykotu dla niego, a do tego pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną i masłem oraz groszek. Masło było za żółte, groszek wyglądał, jakby mógł świecić w ciemności. Vector dodał barwnika do podprowadzonego jedzenia, żeby obrazowało jego wyobrażenia o wyrafinowanych zalemskich wiktuałach. Chiren wydało się to niedorzeczne i żałosne.

– Może być? – spytał Vector, wskazując jej stek skinieniem głowy. – Pomyślałem, że to ci powinno smakować. Chyba że wolisz antrykot? – Jego twarz przyjęła lekko przejęty wyraz. – Czy zupełnie źle cię oceniłem i jesteś wegetarianką?

– Absolutnie nie jestem wegetarianką, a z filetem trafiłeś idealnie – zapewniła go. – Ten fragment polędwicy nazywa się *filet mignon*, co znaczy delikatny filet, wykrawa się go z tylnej, węższej części jednego z podłużnych mięśni ciągnących się po obu stronach kręgosłupa. Mięśnie te są mało używane, dlatego mięso jest takie kruche.

Chiren uśmiechnęła się do ochroniarzy rozstawiających pozostałe talerze. Też byli odświętnie ubrani. Widząc to, zaczęła się zastanawiać, gdzie Vector znalazł garnitury pasujące na osoby z takimi ulepszeniami. Pewnie stroje wymagały wielu przeróbek. Chyba że zamówił je specjalnie dla nich. Jeśli tak, to znaczyło, że organizacja tej kolacji kosztowała go mnóstwo trudu i pieniędzy. Nie rozumiała jednak, czego chciał, poza oczywistym – miała nadzieję, że to coś istniało i będzie potrafiła mu to dać.

– Termin *filet mignon* pojawił się pierwszy raz w jakiejś historii z początku dwudziestego wieku – dodała Chiren, kiedy ochroniarze wymaszerowali z pokoju – ale nie pamiętam ani jej autora, ani tytułu.

– Może dolewka wina odświeży ci pamięć – stwierdził Vector, po czym napełnił ponownie jej kieliszek winem, na które w gruncie rzeczy nie miała ochoty.

Pili z kryształowych pucharów znalezionych rzekomo przez Vectora w Fabryce, gdzie ktoś ukrył je trzysta lat temu, przed Wojną. Chiren słyszała tę samą opowieść w odniesieniu do wielu innych rzeczy, ale w tym akurat przypadku mogła być prawdą.

Zmusiła się, żeby skupić wędrujące myśli na sytuacji, w której się znajdowała.

– Mam nadzieję, że mój wykład o steku nie przeciążył twoich ludzi – powiedziała.

– To pewnie była najbardziej kształcząca wypowiedź, jaką słyszeli od... – Vector udawał zastanowienie –...urodzenia. Nie miałem pojęcia, że tyle wiesz o rodzajach mięsa wołowego.

– Cóż, jakby na to nie patrzeć, jestem chirurgiem.

Vector zaskoczył ją, energicznie odchylając głowę i posyłając ryk śmiechu w stronę przeszklonego sufitu.

– O, trafiłaś w mój czuły punkt – oznajmił, kiedy się uspokoił.

Chiren odpowiedziała uśmiechem. Kusilo ją, żeby powiedzieć coś bardziej ciętego, ale postanowiła zostawić to na wypadek, gdyby ją zirytował. Maską kultury osobistej, za którą się krył, zaczęła się osuwać. Z każdą chwilą coraz bardziej patrzył na nią wzrokiem przypominający ten, jakim wpatrywał się w swój

stek. Podziwiał już nie tylko jej ubranie.

Musiała przyznać, że kolacja była przygotowana bardzo dobrze. Może nie tak, jak potrawy jadane w Zalemie, ale nie można im było wiele zarzucić. Powstawało pytanie, czy Vector trzymał w kuchni jakiegoś przykutego do ściany wygnanego szefa kuchni. Może kogoś, kogo Nova wyrzucił przez ogrodzenie dysku za to, że przypalił grzanki.

– To jest naprawdę pyszne – powiedziała Vectorowi. – Przekaż gratulacje kucharzowi.

Vector znów się roześmiał.

– Przekażę – powiedział, po czym spoważniał. – Tak bardzo mi zależało, żeby sprawić ci przyjemność, żeby wszystko wyszło idealnie. Zaslugujesz na wszystko, co najlepsze: najlepsze jedzenie, najlepsze ubrania. I własny pałac zamiast trzech obskurnych pokoi z widokiem na śmietnik.

A on był tym, który mógł mi to dać, pomyślała Chiren. Jedynym, w gruncie rzeczy. Upiła łyk wina, a Vector dopełnił jej kieliszek, kiedy tylko go odstawiła. Ochroniarze jak za dotknięciem magicznej różdżki pojawili się z kolejną butelką. Polali resztę pierwszej Vectorowi, po czym otworzyli nową, uzupełnili jej kieliszek i wyszli.

– Błagam, nie mów, że jesz tak co wieczór – powiedziała Chiren żartobliwym tonem.

– Nie. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał – odparł Vector odrobinę melancholijnie. – Mam tyle obowiązków, że rzadko udaje mi się znaleźć tyle czasu na posiłek. Poza tym czułbym się śmiesznie, robiąc coś takiego tylko dla siebie. – Zamilkł na chwilę i wpatrzył się zamyślonym wzrokiem w swój kieliszek. – Im starszy jestem, tym mniej mi odpowiada samotność. Aktywny umysł potrzebuje pobudzającego towarzystwa. Kogoś, z kim można porozmawiać. Naprawdę brakuje mi rozmów na tematy niezwiązane z interesami, motorballem i nadzorem, by wszyscy dobrze wykonywali swoje obowiązki. – Jego wzrok przeniósł się z kieliszka na nią. – Nawet sobie nie wyobrażam, jak ty musisz się czuć.

Chiren trochę zeszywniała. Jeśli zacznie mówić o jej córce, jeśli choćby



wypowie na głos jej imię, chluśnie mu winem w twarz.

– Jak mówiłem, chciałem się do ciebie odezwać od jakiegoś czasu – kontynuował – żebyś wiedziała, że myślę o tobie i bardzo ci współczuję z powodu okropnej tragedii, która cię spotkała.

Chiren utrzymała neutralny wyraz twarzy, ale jej palce zacisnęły się odrobinę mocniej na stópce kieliszka.

– Kiedy dowiedziałem się, że jesteś sama, jeszcze bardziej chciałem się odezwać, powiedzieć... – ucichł i zmarszczył brwi. – Prawdę mówiąc, to nie wiedziałem, co chciałem ci powiedzieć. Nadal nie wiem. Nie mam pojęcia, jak się czuje ktoś, kogo spotkało coś takiego. Bałem się, że powiem coś, przez co odejdiesz, tak jak Ido. Nie chciałem, żeby tak się stało. A przy tym nie miałem pojęcia, czy rozstaliście się na dobre, czy Ido może będzie chciał cię odzyskać...

– Nie będzie – powiedziała Chiren. – Ido jest tam, gdzie chce, i zajmuje się tym, czym chce. O ile dobrze mi wiadomo. Nie rozmawialiśmy, od kiedy odeszłam.

– Czyli to ty odeszłaś od niego – stwierdził Vector. Dolał jej wina; nawet nie zwróciła uwagi, że je wypila. – Bałem się, że cię wyrzucił. Nie ręczyłbym wtedy za siebie, mógłbym nie powstrzymać się i... porozmawiać z nim o jego złych manierach. Choć to nie moja sprawa.

– Nie, odeszłam z własnej woli – zapewniła go Chiren, siląc się na lekki ton. – Motorball dawał mi... Daje mi... Wszystko, czego potrzebuję. Pracę, przy której mogę zapomnieć o świecie. Jest... Cóż, praktycznie uratował mi życie.

– Cieszę się, że ci to pomogło. – Vector miał teraz na twarzy maskę współczucia. – Ale jeśli mam być szczery, to bardzo na tym skorzystałem. – Pauza. – Co brzmi prawie tak, jakbym bogacił się na twoim cierpieniu.

*Dzięki, że mówisz*, odparła Chiren w myślach, utrzymując neutralny wyraz twarzy. Wyrażenie „bogacić się na cierpieniu” trafnie opisywało sedno działalności Vectora. – Wcale nie – powiedziała w końcu.

*Ostatnia szansa, żeby uciec*, podpowiedział jej cicho głos z tyłu głowy. *Jeśli nie wyjdiesz teraz, możliwe że ugrzeźniesz tu do końca życia. A jeśli zaczniesz uciekać,*

*nie zatrzymuj się, aż nie dobiegniesz do kliniki. Dyson przyjmie cię z powrotem jakby nigdy nic, poza tym wciąż jesteś w wieku rozrodczym...*

Chiren stłamsiła tę myśl i odepchnęła ją od siebie najsilniej jak potrafiła. Sprowadzić dziecko na ten świat? Do tego brudu? Skazać niewinne stworzenie na pokrętą łaskę Miasta Złomu, przyglądać się, jak czysta dusza ulega skażeniu przez korupcję? I po co? Dla wyzutej z nadziei przyszłości, w najlepszym razie niewolnika Fabryki, w najgorszym źródła zarobku dla łowcy głów? Jak w ogóle mogła o tym pomyśleć?

Może zaczynała wariować. Ale nie upadła na głowę. Nie ruszy się stąd, dokończy ten niesamowity stek godny Zalemu, który znalazł się na jej talerzu dzięki staraniom najpotężniejszego człowieka na dole. Ów mężczyzna włożył wiele pracy w to, by ją usatysfakcjonować, a w każdym razie zaspokoić niektóre z jej apetytów. Nie zapomniał, rzecz jasna, o sobie, ale, do cholery, nigdzie indziej ani z nikim innym nie miała szans na więcej.

– Przepraszam, jestem pełna – powiedziała, kiedy połknęła ostatni kawałek steku. – Prawie nie tknęłam ziemniaków i przykro mi, że się zmarnuje, ale...

– Nieważne – oznajmił Vector i machnął dłonią. Chiren po raz pierwszy dostrzegła, że ma wymanikiurowane paznokcie. – Mój kucharz jest genialny. Nic się nie zmarnuje. – Uśmiechnął się. – To może przełożymy deser na później i teraz wypijemy tylko kawę?

– Jakbyś czytał mi w myślach – odparła Chiren, odczytując jego myśli.

Kusiło ją, by spytać, co planował na deser, ale uznała, że nie złapie dowcipu.

Kawę przyniesiono w srebrnym serwisie, na jego widok Chiren rozdziawiła usta. Widziała coś podobnego tylko raz w życiu, w mieszkaniu mężczyzny, który powiedział jej i Ido, że muszą opuścić Zalem.

– Chyba ci zaimponowałem – stwierdził Vector, obserwując jej minę. – Prawda? Wybacz, ale jestem z siebie dumny, że mi się udało.

– Nic już nie powinno mnie dziwić. W każdym razie nie po tym posiłku.

– Tak samo jak kryształowe kieliszki do wina znalazłem to w Fabryce. Ktoś ukrył ten serwis przed Wojną i nie wrócił po niego z powodów, które można sobie

łatwo wyobrazić. – Zadowolenie z siebie na twarzy Vectora przemieniło się w arogancję. Chiren podejrzewała, że nigdy nie musiał rozumieć, na czym polega różnica.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem – przyznała. – Tak niewiele ostało się sprzed Wojny. Te naczynia są niesamowite, prawdziwe dzieła sztuki.

– W takim razie przyjmij je w prezencie – oznajmił Vector. – Dzieło sztuki dla kobiety, która sama nim jest.

*Wiesz przecież dobrze, że to jest ostatni raz, kiedy tak się do ciebie odnosi – odezwał się głos w jej umyśle. – Robi to tylko po to, żeby zaciągnąć cię do...*

Uciszyła go. Nie mówił jej niczego, czego nie wiedziała.

\*\*\*

Kiedy tylko skończyli kawę, zaprowadził ją do swojej sypialni. Żadnego wyjaśnienia, żadnej sugestii. Po prostu był to kolejny punkt harmonogramu, przecież ani słowem nie wspomniała, że chciałaby wrócić do domu, więc doszli do porozumienia, jak założył.

Łóżko było gigantycznych rozmiarów, niemal tak wielkie jak salon w dziurze, którą nazywała domem. Nie śpieszył się, rozbierając ją – czekał cały wieczór, żeby dotknąć jej ubrań i ta magiczna chwila nareszcie nadeszła. Rozcierał materiał między opuszkami palców, napawając się miękkością i subtelnym połyskiem włókien mających w sobie coś metalicznego i coś z normalnej tkaniny, choć zrobiono je z czegoś zupełnie mu obcego.

Chciała zacząć go rozbierać, ale kazał jej wejść do łóżka i pomacać pościel. Produkt nanotkalni, które należały wyłącznie do niego, wyjaśnił, nie było takiej nawet w Zalemie. Nikt inny nie miał pościeli równie przyjemnej w dotyku.

A potem zjadł swój deser.

Chiren zakładała, że się zawiedzie, i Vector nie sprawił jej niespodzianki. Wiedział, co lubi i co teoretycznie lubiły kobiece ciała, a w każdym razie na co

powinny reagować. Skorzystał z niej z wprawą eksperta. To było takie bezosobowe, że zaczęła się zastanawiać, z kim właściwie był w tym łóżku. Może z wyimaginowaną osobą będącą kompozytem jego wcześniejszych doświadczeń.

A wszystko to bez słowa. Nie odezwał się do niej ani razu. Na początku, kiedy chciała coś powiedzieć, spojrzął jej wymownie w oczy i przyłożył palec do jej ust. Cii. Wsłuchiwała się w jego oddech i we własny, oraz w szept pościeli, i to wszystko.

Kiedy w końcu stoczył się z niej, wyglądał na zadowolonego i spełnionego – misja zakończona powodzeniem. Gdyby go zdekoncentrowała rozmowa, mogłoby mu zająć wieki, zanim wprowadziłby się z powrotem w odpowiedni nastrój.

W odróżnieniu do jej smutnego, ciasnego mieszkania jego sypialnia miała wysoki sufit. Na szczęście jej noga już nigdy nie postanie w tamtych trzech pokojach. Vector wysłał swoich posługaczy po jej rzeczy. Od tej chwili mieszkała tu, w apartamencie na szczycie Fabryki. Nie był to prawdziwy pałac, ale najbliższa rzecz, na jaką mogła liczyć za tego życia.

Tak samo to łóżko i ta cudownie miękka pościel były najprzyjemniejsze, w jakich będzie jej dane spać. Vector będzie ją ubierał w ręcznie szyte designerskie kostiumy, które ona będzie nosić, nawet obsługując paladynów na torze motorballowym. Tak długo, jak Chiren będzie budować czempionów, Vector zadba, by zachowała połysk, elegancję i sprawność jak wszystkie pozostałe przedmioty, które miał w posiadaniu. Będzie się jej żyło lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, odkąd wyrzucono ją z Zalemu.

Równie świetne co ubrania i pościel na łóżku będzie jedzenie. A seks będzie seksem. Ten człowiek nigdy nie okaże jej czułości, ale to nie miało znaczenia – była przekonana, że nie okazał jej jeszcze nikomu.

Cóż, nie przyszła tu po miłość ani świetny seks, ani nawet dobry seks. Vector miał do zaoferowania o wiele więcej. Nie bał się podkraść towarów z dostaw dla Zalemu, więc musiał mieć pewność, że biurokraci nie będą patrzeć mu na rękę. A to znaczyło, że miał wtyki w naprawdę ważnych miejscach. Znał ludzi, którzy być może będą wiedzieli, jak wydostać ją z tego brudu i dostarczyć z powrotem na

górze, gdzie powietrze było czyste i jasne.

Tylko w ten sposób można było uzasadnić tak beznadziejny seks.

## ROZDZIAŁ 7

Kiedy dystyngowana pani cyberchirurgka nareszcie udała się do domu, Vector wstał i założył jedwabną piżamę, a na nią szlafrok. Piżamę zdobiły biegnące w równych odstępach srebrne pasy, szlafrok był zaś barwy pierwszorzędnego shirazu. Ktoś mu kiedyś powiedział, że wyglądał w tym zestawie jak członek rodziny królewskiej z dawnych czasów, pan na włościach. Vector nie pamiętał już, która z rozlicznych kobiet przewijających się przez jego sypialnię uraczyła go tym spostrzegawczym opisem jego aparycji. Nie oczekiwał od swoich kochanek, że zapiszą mu się w pamięci. Z Chiren pozwolił sobie na wyjątek tylko dlatego, że była przydatna.

Ciekawiło go, jaka jest w łóżku, od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. W miarę, jak poznawał ją lepiej, zaczął formować w myślach pewne podejrzenia, które teraz się potwierdziły. Czyżby dawniej, tam, na górze, była zupełnie inną osobą, że Dyson Ido się w niej zakochał? Czy był jednym z tych żalonych głupków, którzy mieli określony typ? A może w Zalemie wszystkie takie były – neurotyczne, pretensjonalne i nieosiągalne. Nie zdziwiłby się.

Poświęcił chwilę, by przełączyć okno z trybu matowego na przezroczysty i rozejrzeć się po nocnej panoramie Miasta Złomu. Kiedy spojrzął na tkanę miejsca z tej perspektywy, prawie dał radę zapomnieć, że była zaledwie toaletą dla arystokratów mieszkających nad głowami mieszkańców.

No dobrze, może to zbyt ostre określenie. Raczej koszem na śmieci albo złomowiskiem. Vector trafił tu w bardzo młodym wieku, ale już wtedy zastanawiał się, jakim człowiekiem trzeba być, żeby budować miasto wokół góry odpadów

zrzuconej przez wyższą warstwę społeczeństwa.

Szybko się uczył, więc nie potrzebował wiele czasu, by poznać odpowiedź. Brzmiała tak samo jak dziś: trzeba być człowiekiem o duszy szakala albo hieny. Padlinożercą utrzymującym się przy życiu dzięki resztkom po lepszych, silniejszych zwierzętach.

Kim w takim razie był on?

Uśmiechnął się. Banalne pytanie.

*Ja, mała, jestem królem. Cesarzem, lordem dowódcą. A szakale i hieny czczą mnie niczym boga. Nie muszę sam zabijać tych, co próbują mnie wydymać – nasyłam na nich moich ludzi i przerabiam kości zuchwalców na wykałaczkę.*

Widok na Zalem z apartamentu Vectora częściowo obejmował zsyp śmieci. Na jego oczach wysypała się kolejna porcja odpadów.

*Więcej złota dla mnie. Cesarz potwierdza, że odebrał trybut. Dziękuję i dobranoc.*

Minęły trzy stulecia od zakończenia Wojny O Diabli Wiedzą Co i wciąż niewiele było wiadomo o mieście wśród chmur. Kobieta, która przed chwilą opuściła jego łóżko, nie chciała nic zdradzić, ale też nie musiała. Vector znał się na ludziach i na życiu, i nie sądził, by sprawy na górze wyglądały dużo inaczej niż na dole. Jedyna różnica polegała na tym, że na górze mieli wszystko ładniejsze i nikt nie chodził głodny, chyba że chciał. Zdaniem Vectora miejsce, gdzie ludzie głodzili się, choć mieli wszystkiego pod dostatkiem, musiało być skorumpowane do cna.

Niewiele wiedział o Zalemie. Kontaktami z Vectorem zajmowali się głównie urzędnicy Fabryki, którzy wyglądali na tak wątych, że nie rzucali cienia, chociaż może po prostu tacy się wydawali na wyświetlaczu holonadajnika. Informowali go, czego Zalem chce – więcej awokado, nie tak dużo grejpfrutów, większych ogórków. Ale Vector doskonale wiedział, że nie oni tym wszystkim kierują.

Faceta, który rządził Zalemem, zobaczył po raz pierwszy niedługo po tym, jak przejął panowanie nad Miastem Złomu. W czym *nota bene* władca Zalemowi mu pomógł. Później już kontaktowali się stosunkowo rzadko, choć Vector wiedział, że tamten go obserwuje i podoba mu się to, co widzi. Vector nie dość, że o tym

wiedział, to również wyczuwał, szczególnie odkąd zgodził się, by ludzie z Fabryki zainstalowali mu chip identyfikacyjny. Chip oszczędzał mu dużo czasu i zachodu. Był niczym klucz uniwersalny do wszystkich zamków, które miały znaczenie. W pewnym sensie był kluczem dosłownie, bo dzięki niemu nie musiał nosić kart dostępu ani pamiętać kodów do drzwi.

Co więcej, Vector miał dzięki chipowi połączenie z władcą Zalem, którego nazywał w myślach obserwatorem, chociaż od pewnego czasu wiedział, że tamten ma na imię Nova. Pierwszy raz zobaczył go na swoim ekranie podczas telekonferencji dotyczącej kwartalnych wyników produkcji. Obserwator siedział z boku, nie odzywając się, ale Vector wiedział, z kim ma do czynienia. Łatwo zgadnąć dlaczego – należeli do tego samego rodzaju ludzi. Vector słyszał, że obserwator zajmował stanowisko od bardzo, bardzo dawna – niewyobrażalnie dawna, jeśli wierzyć historiom na jego temat. Może czekał na kogoś takiego jak Vector, kogoś, kto będzie widział sprawy tak samo, słyszał to samo i czuł, czy szykują się duże zmiany. I umiał zadziałać, kiedy nadejdą.

Chociaż, jeśli Vector miał być szczery, uważał, że obserwator ma łatwiej. Kiedy wydawał rozkaz, wszyscy potulnie go wypełniali, by się nie rozstać z przyjemnym stylem życia. To, co przytrafiło się dystyngowanej cyberchirurgce leżącej w łóżku za jego plecami, było najczarniejszym koszmarem poddanych obserwatora.

Kiedy myślał o tym w ten sposób, Vector prawie współczuł mieszkańcom Zalem. Nie potrafiłby jednak zmusić się do jakiegokolwiek empatii wobec ludzi, którzy z przyjemnością służyli w Niebie, kiedy o wiele lepiej było rządzić w Piekło.

Odwrócił się i spojrzał na dystyngowaną panią cyberchirurgkę... Nie, chwila: jego dystyngowaną panią cyberchirurgkę. Należała teraz do niego, zupełnie tak samo jak ten widok na miasto, apartament i wszystko inne, co raczył uważać za swoje. Miasto Złomu pod każdym względem było jego. Ze swojego apartamentu na najwyższym piętrze Fabryki kierował wszystkim – każdym przedstawieniem, od najmniejszego do największego, od motorballa po rynki. Nic nie działało się bez jego



przyzwolenia. I tak miało zostać, bo wiedział, jak zadbać, by wszystko sprawnie funkcjonowało. W pewnym sensie tutaj, na ziemi, było to proste – wystarczyło zapewnić dość chleba i igrzysk. Igrzyska pozwalały ludziom zapomnieć, że potrzebują więcej chleba. Nieustający zalew rozrywek sprawiał, że po pewnym czasie ludzie zaczęli wybierać zabawę zamiast jedzenia.

Chleb był drogi, za to igrzyska można było urządzać z byle czego. Nawet z góry śmieci.

\*\*\*

Było dobrze po pierwszej rano, kiedy nadzorczyńi południowego centrum dystrybucyjnego Fabryki zadzwoniła powiedzieć, że podprowadziła kolejną skrzynię śliwek z transportu świeżych owoców do Zalemu. W ich miejsce dołożyła zielone jabłka i zamieniła odpowiednie pozycje w liście przewozowym oraz formularzu zamówienia, by wyglądało, że to ktoś na górze miał ciągoty do jabłek. Miała jednak załatwić coś jeszcze i jej się nie udało. Brakowało winogron odmiany Concord i miało ich nie być jeszcze dwa miesiące.

– Jaki znowu mają problem? – spytał Vector rozdrażnionym głosem. – Pamiętam, jak mówiłaś, że nareszcie uzyskali szczep, który owocuje niezależnie od pory roku.

– No, zasadniczo tak – odparła nadzorczyńi.

Miała na imię Frida, przekroczyła trzydziestkę i zajmowała wysokie miejsce na liście osób, na które można liczyć. Nie była piękna w tradycyjnym znaczeniu, ale miała w sobie coś, co sprawiało, że Vector uważał ją za wyjątkowo atrakcyjną. Do tego stopnia, że prawie popełnił błąd i poszedł z nią do łóżka, co zrujnowałoby ją w roli pracownicy.

– Te ich winogrona ładnie rosną – wyjaśniła Frida. – Ale na razie nie ma pomysłu na to, żeby dojrzewały szybciej, a smakowały tak samo. Próbowałam tych szybkich i w ogóle nie mają smaku. Nawet nie pachną jak concordy. Bardziej jak...

Właściwie to nic. Nawet nie jak trawa. Tak że na razie musimy czekać.

– I oni nazywają siebie naukowcami – stwierdził Vector głosem ociekającym pogardą. – No ale geniusze z Zalemu nie mają dość jaj, żeby narzekać. Ja nie wiem, jakim cudem utrzymują się przy życiu.

– Nikt nie rozkazał im umrzeć – odparła Frida.

Jej słowa zaskoczyły go na tyle, że roześmiał się, choć był niezadowolony. – Pewnie masz rację – powiedział, a zanim się rozłączył, przypomniał jej jeszcze, by informowała go o wszystkim na bieżąco.

*Boże, dlaczego ona nie mogła być dystygowaną panią cyberchirurgką?*, pomyślał w tej samej chwili, gdy telefon rozdzwonił się po raz kolejny.

Tym razem po drugiej stronie słuchawki usłyszał Myrtle, która zarządzała jednym z boksów na stadionie motorballowym. Tego wieczora nie było meczu, tylko sesja treningowa dla rezerwowych graczy. Myrtle przekazała mu, że kończą im się części zamienne, na dzisiejszy trening miało starczyć, ale na jutrzejszy już nie.

– Na tę chwilę mamy same resztki – powiedziała zmęczonym głosem, ale brzmiała tak zawsze, nawet kiedy była wyspana. – Potrzebujemy tonę różnych rzeczy i albo dostaniemy nowe na jutro, albo będziemy musieli się nauczyć robić serwy z tektury i taśmy klejącej. Poza tym tektura też się skończyła.

Vector stęknął.

– Zrób listę, wydrukuj ze trzydzieści kopii i rozdaj najlepszym zbieraczom, w tym temu, jak mu tam, temu dzieciakowi, którego ekipa ciągle kręci się pod stadionem.

– Hugo? – spytała Myrtle.

– Mnie nie pytaj, nie jestem twoją sekretarką – warknął Vector. – Po prostu weź się za to. Jeśli jutro drużyna się posypie, to urwę łeb tobie. – Udało mu się nie zmiażdżyć ekranu telefonu, kiedy się rozłączał, po czym usiadł prosto i wpatrzył się w aparat. – No dalej, dzwoń – wymamrotał.

Na dźwięk dzwonka aż podskoczył. Tym razem usłyszał głos Gamota, który dzwonił z baru Kansas. Jeden z paladynów Vectora połamał większość mebli, po

czym zwiął, zostawiając po sobie totalną demolkę, właściciela na skraju apopleksji i niezapłacony rachunek.

– Kto to był? – spytał Vector znużonym tonem.

– Wheelstein – powiedział Gamot.

– Wszystko poniszczył! – wrzasnął właściciel z drugiego planu. Vector rozpoznawał jego głos, słyszał go w tle wielu rozmów telefonicznych.

– Powiedz właścicielowi, że Wheelstein już dla mnie nie gra, właśnie wywaliłem go z drużyny – polecił Vector. – A to oznacza, że sam odpowiada za wyrządzone szkody.

Słuchał, jak Gamot przekazuje wiadomość właścicielowi.

– Czy wygląda, jakby miał dostać wylewu? – spytał Vector Gamota, kiedy nastąpiła cisza.

– No, zdecydowanie – odparł Gamot tak, jakby oceniał skutek przekazanej informacji. Gamot był bardzo opanowany. Naprawdę szkoda, że ubierał się, jakby mieszkał pod mostem. – Dobra, daj go.

Po chwili w słuchawce odezwał się napięty głos barmana.

– Halo?

– Jak przed chwilą wyjaśnił mój współpracownik, Wheelstein nie należy już do mnie – oznajmił Vector bez zająknięcia – co, przykro mi to mówić, oznacza, że nie jest ubezpieczony. – Poczekał aż ciśnienie krwi właściciela baru osiągnie poziom trzysta na dwieście, po czym dodał: – Mimo to... W geście dobrej woli, jako że mnóstwo moich ludzi chodzi do pańskiego baru, wezmę na siebie połowę kosztów, jeśli prześle mi pan rachunek.

Właściciel wydał z siebie zduszone stęknienie, które mogło znaczyć: „dobrze”.

Gamot przejął telefon.

– Wszystko załatwione?

– Tak – odparł Vector. – A teraz wynoś się stamtąd, zanim gość wpadnie na pomysł, żebyś zadzwonił jeszcze raz, bo chce więcej pieniędzy.

Rozłączył się i zadzwonił ponownie do Myrtle, żeby kazać jej wyrzucić Wheelsteina i przygotować dokumenty z wczorajszą datą.

– Jasne, szefie – potwierdziła. – A co z tym całym burdelem w jego szafce? Miał lekkiego świra i zbierał różne fanty.

– Jadalne? – spytał Vector.

– Jezu, nie. – W zmęczonym głosie Myrtle pojawiła się nuta niedowierzania.

– To zrób z tym to, co robicie z rzeczami, których nie da się zjeść.

– A... – Myrtle brzmiała, jakby była trochę speszona. – Okej.

Vector się rozłączył i zanotował w myślach, żeby zapłacić właścicielowi baru tylko ćwierć kwoty z rachunku, który mu przyśle, co wyniesie mniej więcej połowę rzeczywistych kosztów. Właściciele barów co rusz próbowali go kantować. Następna sprawa.

Usiadł za biurkiem i czekał. Minuta upłynęła w ciszy, potem następna. Zerknął na zegarek. Po wpół do trzeciej. Godzina głupstw, czasami nazywana godziną samobójców, kiedy miasto zwykle spowijała cisza utrzymująca się do piątej, piątej trzydzieści.

Vector obrócił fotel i wyjrzał przez wielkie okna. Dawały najlepszy widok na Zalem. Kiedy sprawił sobie to biurko, ustawił je przodem do okien, po czym zdał sobie sprawę, że będzie musiał siedzieć plecami do obu drzwi. Nie czuł się z tym bezpiecznie.

Z kolei umieszczając Zalem za sobą, czuł się nie tylko tak, jakby tamten świat należał do niego, ale nawet jak gdyby dawał mu wsparcie. Zważywszy na układ Vectora z Fabryką, nie było to dalekie od prawdy.

Podczas kolacji Chiren nie potrafiła wytrzymać ani dwóch minut, nie spoglądając za okno, a Vector wiedział, że to nie Miasto Złomu przyciąga jej wzrok. Był też pewien, że Chiren nie ma pojęcia, jak bardzo widać jej tęsknotę. Pragnęła wrócić do domu. Biedactwo. Trudno było mieć jej to za złe. Zważając, do czego była przyzwyczajona, w Mieście Złomu pewnie czuła się jak w slumsie. Nie będzie mu łatwo pokazać jej, że mieszkanie na ziemi nie musiało wcale oznaczać życia w brudzie. Ręcznie szyte designerskie ubrania, wyrefinowane jedzenie i apartament zawróciłyby w głowie każdej kobiecie. Chiren tęskniła jednak za domem.

Inna sprawa, że mógł to wykorzystać na swoją korzyść, pomyślał nagle. Jeśli będzie sądziła, że pomoże jej wrócić do Zalemu w zamian za przerabianie paladynów w potencjalnych mistrzów i przekuwanie ich w autentycznych zwycięzców, całkiem możliwe, że zacznie się bardziej starać. Albo dużo bardziej.

Nie byłaby pierwszą osobą, której obiecał podróż do Zalemu. Zawsze udawało mu się znaleźć pretekst, przykładowo naruszenie kontraktu, dzięki czemu mógł odmówić wywiązania się ze swojej połowy obietnicy. W przypadku Chiren nie musiałby się tym przejmować bardzo długo. Tymczasem zarzynałaby się dla niego, i to z przyjemnością. Prawdopodobnie nawet nie musiałby jej płacić inaczej niż w ubraniach, jedzeniu, miejscu do spania... A, i w uczuciu udawanym dostatecznie często, by pomyślała, że jest prawdziwe. Gdyby musiał, zmusiłby się nawet, żeby powiedzieć: „kocham cię”, chociaż wątpił, by do tego doszło.

Chiren była tak zgorzkniała i skupiona na sobie, że nie zdziwiłby się, gdyby potrzebowała kilku dziesięcioleci, aby go przejrzeć.

Cholera, jak ktoś tak genialny i obdarzony taką inteligencją jak ona mógł być tak zaślepiiony i głupi? Straciła dziecko, tak, ale tu chodziło o coś więcej. Gdyby jej córka wciąż żyła, Chiren też uzalałaby się nad sobą, bo nie mieszkała w Zalemie.

Podejrzewał, że gdyby rezydowała na górze z żywą córką, i tak znalazłaby powód do niezadowolenia. Może do tego jej służył Dyson Ido. Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak zakładała.

Szczęśliwy zbieg okoliczności, pomyślał Vector, uśmiechając się z twarzą zwróconą w stronę cienia Zalemu na nocnym niebie.

\*\*\*

Wysoko w górze, nad chmurami, mężczyzna opierający się o balustradę na samym skraju dysku też się uśmiechnął. Podobało mu się widowisko.

## ROZDZIAŁ 8

Ido miał nadzieję, że to będzie jedna z tych rzadkich nocy, kiedy okaże się dość zmęczony, żeby zasnąć. Zamknął klinikę trzy godziny później niż zwykle, chciał pomóc wszystkim potrzebującym, których rozdzielił na trzy kategorie: „nagły przypadek!”, „koniecznie dzisiaj” i „*mañana*”. Chiren z pewnością nie pomogła, odchodząc. Nie podsunęła mu nawet nazwiska kogoś, kto mógłby ją zastąpić. Jeśli nie znajdzie szybko osoby do pomocy, możliwe, że będzie musiał wcisnąć Hugo w uniform pielęgniarza.

Inna sprawa, że nie widział swojego niepokornego gościa od tamtej nocy, kiedy pojawił się zбитy na kwaśne jabłko. Opatrzył i polecił, żeby następnego dnia wrócił na kontrolę, ale Hugo nie przyszedł. Cóż, był dzieckiem. Pewnie coś błyszczącego odwróciło jego uwagę. Albo może zirytował kogoś jeszcze i znów oberwał. Ido miał nadzieję, że nie, ale nie zaskoczyłoby go to.

Kiedy jego przesadnie długi dzień pracy dobiegł końca, rozważył, czy nie przejść się na złomowisko i zobaczyć, czy z Zalemu spadło coś przydatnego. Potem jednak sprawdził stan swojego konta i to podpowiedziało mu, że będzie musiał spędzić trochę czasu na drugim etacie.

Młot raketowy czekał w walizce przygotowany do użycia. Ido zawsze chował go bardzo starannie, nawet kiedy był bardzo zmęczony: rozbierał na części, które po kolei czyścił i sprawdzał pod kątem pęknięć i zużycia, upewniał się, że układ sterujący stabilnie działa, że młot ma dość paliwa i żadna z malutkich dysz, które dawały mu moc, kiedy najbardziej jej potrzebował, nie jest zablokowana, bo w przeciwnym razie zamiast broni Ido miałby w rękach wymyślny kij. Zamknął

walizkę, wszedł do gabinetu po rękawice i przypomniał sobie, że zostawił je w kieszeni prochowca. Odwracając się, dostrzegł swoje odbicie w lustrze.

Cholera, wyglądał bezdusznie. Trudno uwierzyć, że mężczyzna, którego miał przed sobą, był lekarzem. Jeśli już, to robił wrażenie kogoś, kto zabija dla pieniędzy i nie poświęca ani chwili, by zastanowić się, co robi.

Co było tylko po części prawdą, bo nie robił nic bez zastanowienia.

Chwilę później wciągnął na siebie ciemny płaszcz i rękawice, zsunął nisko rondo kapelusza, przełączył okulary w tryb noktowizyjny i ruszył do windy, ciągnąc za sobą walizkę z młotem. Nie będzie jedynym łowcą na mieście – nigdy nie był – ale celów nigdy nie brakowało.

Miał szczęście – wpadło mu dwóch, jeden po drugim, całkiem dochodowych. Próbowali walczyć, ale Ido miał już sporo wprawy. Z pomocą młota raketowego skasował pierwszego w dziesięć minut, a drugiego w piętnaście, wliczając czas potrzebny na odpiłowanie głów. Za oboma wysłano list gończy po serii włamań do domów, w której łącznie zginęło pięć osób. Ido udał się z głowami do Fabryki i po okazaniu ich przy stosownym okienku zainkasował za swoją pracę na nocnej zmianie pięćdziesiąt tysięcy kredytów. Dość, by utrzymać klinikę przez kolejny tydzień, jeśli Bóg da, a rzeka nie wzbierze.

Jasne. Bóg ostatnimi czasy dawał wyłącznie znaki, że ma wszystko gdzieś, a rzeka przez ciągłe ulewy wezbrała tak bardzo, że sięgała do połowy wałów przeciwpowodziowych i mało brakowało, by znów zaczęła się przelewać w okolicach mostu. Ido przesłał fabrycznym biurokratom wiadomość, że muszą lepiej zdrenować wschodnią część miasta – odkąd pokryli wielkie połacie terenu betonem i asfaltem, cała woda spływała bezpośrednio do rzeki. Wydawać by się mogło, że ludzie mieszkający całe życie w tym klimacie nie będą robić takich głupot. W odpowiedzi otrzymał standardowy e-mail z podziękowaniem za wkład. Ciekawiło go, czy Miasto zatrudniało chociaż jednego inżyniera budownictwa lądowego.

Ido wrócił z fabrycznego ośrodka wypłat obolały i wykończony po walkach, które stoczył. Miał nadzieję, że wykorzystał dość energii, by paść jak kamień

i przespać kilka godzin. Od drugiego celu otrzymał solidny cios pięścią w żebra, jutro będzie cierpiał, ale miał to gdzieś. Jedyne, czego chciał, to żeby dziś dobiegło końca, by pomiędzy obecnym wieczorem a jutrzejszym porankiem zaistniała jakaś przerwa.

Duch chciał, ale bezsenność była silniejsza, a ciało ucierpiało niejako przez przypadek. Doktor Dyson Ido potrafił uleczyć każdego, tylko nie siebie.

Krótko po tym, jak otworzyli wspólnie klinikę, Chiren zaproponowała, że poda mu łagodny środek uspokajający. Ido kategorycznie odmówił. Bał się, że lek go nie uśpi, tylko odurzy. Zamiast spać, będzie na nogach i na haju, i to mu się spodoba tak bardzo, że w końcu dorobi się problemu o wiele gorszego niż bezsenność. Bezsenność, choć miała wiele wad, nic nie kosztowała.

Chiren przyjęła to bez dyskusji – widziała równie wielu uzależnionych byłych paladynów, co on. Wszystkie leki, których branie sprawiało przyjemność, trzymali w piwnicy w sejfie z alarmem, dostawali wiadomość po każdym otwarciu drzwiczek. Dzięki temu żadne z nich nie mogło ulec pokusie bez wiedzy drugiego. Ido był przekonany, że Chiren nie potrzebowała dodatkowych środków bezpieczeństwa, bo uzależnienie wynikało z utraty samokontroli, a żona nigdy by sobie na to nie pozwoliła. W każdym razie nie dla głupiego haju.

Ido wyciszył alarm na swoim telefonie, ale nie wyłączył go zupełnie. Wciąż, za każdym razem, gdy otwierał sejf, jego telefon wysyłał wiadomość na jej, a ten ją odrzucał. Możliwe, że tymczasem pozbyła się tamtego aparatu albo zakopała go w szufladzie albo szafie, żeby zachować numer. Bo był jej. Chiren miała nienaruszalną zasadę: jeśli coś do niej należało, to na zawsze.

Poza nim.

Czasami autentycznie rozważał, czy nie zadzwonić na jej stary numer, żeby się dowiedzieć, kto – jeśli w ogóle – odbierze. Nie zrobił tego jednak. Istniało prawdopodobieństwo, niewielkie, ale zawsze, że odbierze Vector, a Ido nie wiedział, jak się zachowa, jeśli usłyszy głos tego przyznanego skurwysyna w słuchawce telefonu, który należał do Chiren, kiedy jeszcze byli razem. Mógł zacząć krzyczeć, rwać sobie włosy z głowy, załamać się albo rozpłakać, mógł



ekspłodować mu mózg. Ido mógł się też po prostu rozłączyć, nie odzywając się w ogóle. Nieważne, jak by zareagował, i tak zdradziłby Vectorowi, że tamten zaszedł mu za skórę, a to była ostatnia rzecz, której chciał. Vector wygrał, jak zawsze. Na pewno jednak nie usłyszy tego od niego, choćby nie wiadomo ile paradował w limuzynie i obwoływał się królem świata z apartamentu na szczycie Fabryki.

Przynajmniej Ido nie musiał już pracować dla tego gnoja. Już nigdy nie będzie przesiadywał po nocach, składając do kupy paladynów i przyglądając się, jak Vector ich odwiedza, rzekomo po to, żeby powiedzieć: „świetna robota, możecie oczekiwać premii”, chociaż zależało mu tylko na jednym: na kształtnym tyłku Chiren. Gapił się na niego, jakby miał pod nosem stek, a sam od trzech dni nie jadł, oczywiście działo się tylko wtedy, gdy Chiren tego nie widziała. Niestety Ido nie mógł liczyć na tę uprzejmość z jego strony.

Cóż, Chiren była teraz wolna. Ido zastanawiał się, czy Vector już ją zajął, czy zamierzał poświęcić kilka dni na udawane zaloty. Doszedł do wniosku, że raczej to pierwsze – Vector nie zwlekałby z rezerwacją jej usług dla swoich zawodników. Zapewne zrobiłby to szybciej, gdyby nie chciał odczekać chwili, którą uznał za stosowną, w obliczu „tej tragedii”, jak określił śmierć ich córki.

Ido miał wrażenie, że jeśli Vector kiedykolwiek posłuży się przy nim imieniem córki, przyładuje mu z młota raketowego prosto w gębę. Ciekawe, czy po tym nadal będzie taki ugładzony.

Do cholery, musiał się skupić na czymś, co nie dotyczyło Vectora ani Chiren.

*Zamknij się, powiedział do siebie w myślach, i weź się do roboty.*

Na największym stole roboczym miał wyłożone cztery cybernetyczne ręce. Większość komponentów w każdej z nich była tej z samej generacji albo z dostatecznie zbliżonych, by użytkownik nie cierpiał z powodu wahania i desynchronizacji. Ido znalazł sposób, aby nowsze części lepiej współpracowały ze starszymi, ale niektóre były po prostu za stare. W niektórych przypadkach udawało mu się niejako nabrać stare podzespoły, by myślały, że są nowsze, resetował po prostu część przerwań. Była to nowa umiejętność, posiadał ją stosunkowo niedawno.

Doktor Dyson Ido, cyberchirurg, z naciskiem na cyber.

Układ, nad którym pracował, miał sprawić, że wszystkie te kombinacje i sztuczki staną się niepotrzebne. Taką miał nadzieję. W chwili obecnej chip był zainstalowany w podwójnej ręce, ulepszał ją dla pewnego muzyka. Hector grał – przepięknie – na wiekowej gitarze z dwoma gryfami, pewnego dnia jednak jego ręka przestała poprawnie reagować na sygnały sterujące chwytami na gryfie.

– Wiem, doktorze, że to nie sprawa życia i śmierci, i może wszystkim będzie obojętne, jeśli przestanę całymi dniami grać muzykę klasyczną na rynku. Ale to jest jakiś sposób, żeby się utrzymać. Mój sposób. A poza tym, co to za życie bez muzyki, równie dobrze mogę się zabić już teraz.

– Bez muzyki każdy chciałby się zabić – powiedział mu Ido.

Naprawdę tak uważał. Poza tym odprężyła go praca nad czymś, co nie miało związku z Fabryką ani zabijaniem przestępców.

Podwójna ręka znajomego gitarzysty miała bardzo skomplikowaną budowę. Ktoś, kto ją zaprojektował, posiadał umiejętności o poziom wyższe niż przeciętny, wyczyny z kreatywności wyrobnik. Było to dzieło kogoś, kto znał się na muzyce i instrumentach. Kiedy jednak Ido spytał Hectora o pochodzenie jego modyfikacji, ten wyraźnie się speszył i udzielił wymijającej odpowiedzi. Ido nie naciskał. Mieszkańcy Miasta Złomu nie lubili zdradzać szczegółów, bo często źle się to kończyło. Coś o tym wiedział – sam niechętnie opowiadał o sobie. Poza tym wszystko, co musiał wiedzieć na temat ręki, miał przed oczami.

Jego układ sprawdzał się w końcu Hectora, ale tylko na krótką metę. Hector wyjaśnił, że grając, dużo improwizuje. Układ przyśpieszał sygnały z jego nerwów odrobinę za bardzo, jak wykazały testy; przez to elektronika grała na gitarze w większym stopniu niż człowiek. Szybki chip nie pasował do powolnych czynności. Ido wprowadził zmiany, które wyeliminowały większość konfliktów, ale i tak Hector musiał go czasami odwiedzać. Podczas tych wizyt grał na gitarze, a Ido go dostrajał, żeby jego ręce poruszały się dokładnie tak, jak chciał.

Sam chip wymagał jeszcze wiele pracy. Przyśpieszanie sygnałów nerwowych w taki sposób, by ruch cybernetycznych podzespołów wywoływał wrażenia

identyczne z poruszaniem organicznymi kończynami, brzmiało dobrze w teorii, ale w praktyce układ zbyt często wybiegał przed orkiestrę. Przewidywał kolejne sygnały w sekwencji, za każdym razem trochę szybciej niż poprzednio. To była dobra cecha u robota zaprogramowanego do powtarzalnych czynności. U cyborga będącego przecież człowiekiem potrafił wyprzedzać sygnały nerwowe tak bardzo, że przejmował kontrolę i odbierał możliwość samostanowienia.

Chiren pewnie oskarżyłaby go o to, że pozwala swojemu perfekcjonizmowi sabotować technologię, która byłaby jak najbardziej do przyjęcia, gdyby nie jego wygórowane standardy. – Lepsze jest wrogiem dobrego – pouczyła go więcej niż raz. Byłby bardziej skłonny przyznać jej rację w kwestiach sztuki, gdzie na każde pytanie mogło istnieć milion dobrych odpowiedzi albo ani jedna. Ido jednak całe życie kierował się zasadą, że istnieje fundamentalna różnica pomiędzy „dość dobrym” a „bardzo dobrym”. Godzenie się na to pierwsze, kiedy poświęcając czas i wysiłek, można było osiągnąć to drugie, uważał za, cóż, nie dość dobre.

Teraz Chiren mogła robić wszystko po swojemu. Dobre, dość dobre, jeszcze działające – ostateczna decyzja należała do niej i nikt nie będzie jej kwestionował. Od Vectora Chiren nie usłyszy nic poza poleceniem, żeby się pośpieszyła. Poza tym rozpieści ją do granic możliwości, organizując jej idealną pracownię pełną sprzętu i części podkradanych z ładunków zdążających do Zalemu. Będzie to robił do bólu ostentacyjnie, żeby unaocznic Ido, ile stracił, odmawiając pracy na stadionie.

Ido, jeśli miałby powiedzieć szczerze, naprawdę tęsknił za motorballem. Na początku nie był przekonany, czy chce pracować z potężnymi, opancerzonymi cyborgami, które rozczłonkowały się nawzajem, goniąc za śmieszoną mechaniczną piłką po pełnym zakrętów torze. Mieszkając w Zalemie, nie widział ani jednej transmisji z wyścigu. Coś jednak sprawiło, że motorball zafascynował go szybciej, niż był skłonny przyznać nawet przed sobą. Zakładał, że miało to związek z testosteronem. W Zalemie nie uprawiano żadnych sportów łączących niewiarygodną przemoc z olbrzymią prędkością, nie spędzano czasu na konkurencjach wywołujących u mężczyzn potrzebę walenia się pięściami we

własną klatkę piersiową i wyzywania wszystkich wokół.

Teoria testosteronu miała tę oczywistą słabość, że nie uwzględniała kobiet. Ani popularności motorballa wśród osób nie mających w zwyczaju posuwać się do przemocy fizycznej, bez względu na płeć.

Dla Chiren wyścigi były po prostu ucieczką od rzeczywistości. Dzięki nim przestawała myśleć o tym, gdzie nie mieszka i czego nie ma. Gdyby Vector znalazł sposób, jak zmieścić swoją limuzynę w stadionowym boksie, bez pytania przerobiłaby ją na kolejnego paladyna. Chiren była w tym naprawdę świetna – lepsza niż Ido. Podobało jej się w stadionowym szybkowarze, gdzie brakowało czasu na długie rozważania. Rola jedynej nadziei paladynów, bohaterki motorbalowych bohaterów odpowiadała jej dużo bardziej niż ta matki eksmitowanej z nieba za wydanie na świat wadliwego dziecka.

Ido zastanawiał się, do której potęgi podniosła swoją obsesję, od kiedy go zostawiła. Jak bardzo ulegała manii? Do czego się posuwała, żeby osiągnąć stan pozwalający jej zapomnieć, i co robiła później, by się uspokoić?

Już przy nim sprawiała wrażenie szalonej. Teraz na pewno zwariowała do kwadratu.

Cholera. Nie po to siadł do pracy, żeby rozmyślać o Chiren i Vectorze. Wyjął chip z podwójnej ręki gitarzysty i zainstalował w jego miejsce bardziej konwencjonalny sterownik, który nie będzie wyprzedzał muzyka. Uruchomił krótki program diagnostyczny tylko po to, żeby zobaczyć, jak interpretuje zapis nutowy. Widok palców wykonujących chwyt na niewidocznym gryfie był trochę dziwny, ale chyba wszystko działało jak należy.

Następna ręka spoczywająca na stole Ido posiadała dłoń wymienialną na szereg narzędzi chirurgicznych. Przygotowywał ją dla pielęgniarce, która ucierpiała w kolizji z ciężarówką. Kierowca chciał kobietę wyminąć, zamiast tego urwał jej lewą rękę na wysokości barku. Ofiara wypadku miała na imię Gerhad, Ido przelotnie ją znał, bo przysłała mu kilku pacjentów z oddziału ratunkowego. Nie tylko dlatego czuł do niej sympatię. Gerhad była doskonałą pielęgniarką – tylko najlepsi pracowali na jej oddziale – ale myślała, że wypadek zakończy jej karierę.

Pieniądzy, które zarabiała w szpitalu, nie starczyłoby nawet na protezę łokcia, więc pewnie oczy wyjdą jej z orbit, kiedy zobaczy, co dla niej wykombinował. Naprawdę mu zależało, żeby prezent trafił w jej gusta, bo chciał zaproponować jej pracę. Dzięki swoim zarobkom łowcy głów mógł ją skusić wyższą pensją niż ta, którą dostawała od szpitala.

Jego życie stałoby się o wiele łatwiejsze, gdyby miał wykwalifikowaną pomoc. Mógł przeszkolić Gerhad na pełnoprawną dyplomowaną pielęgniarkę, co pozwoliłoby jej przepisywać podstawowe leki i przygotowywać pacjentów do operacji. Wspólnymi siłami zdołaliby pomóc większej liczbie ludzi.

Taaak. Klinika Dysona Ido – miejsce, gdzie rozwiążą każdy problem, ostatnia deska ratunku dla ubogich cyborgów. Nie tylko ratowaliby życia, ale by je ulepszali. W tym celu musiał tylko złapać paru przestępców więcej, kiedy wychodził na nockę, zdać w okienku w Fabryce kilka dodatkowych głów. Doktor Dyson Ido, za dnia cyberchirurg ratujący ludzkie życie, nocą śmiercionośny łowca głów. Licencjonowany zabójca na usługach Fabryki. Co wybierasz? Skalpel czy młot? Operację czy śmierć? Pieniądzy nie zwracamy, zakupy nie podlegają reklamacji.

Ido schował głowę w dłoniach. Nie mógł sobie teraz na to pozwolić. Kiedy ostatni raz stracił panowanie nad sobą – tamtej nocy – skończyło się na tym, że prawie oszalał.

Nie panował nad emocjami, kiedy wmaszerował do Fabryki po licencję łowcy głów. Wyglądał wystarczająco spokojnie, by uznali go za normalnego, ale w Mieście Złomu słowo „normalny” miało nadzwyczaj szerokie i nieścisle znaczenie. Liczyło się to, że cybernetyczny urzędnik – deckman – nie miał do niego zastrzeżeń, a centurioni nie skierowali w jego stronę łuf broni. Najwyraźniej nie zwrócili uwagi, że w środku aż kipi i wystarczyłoby jedno krzywe spojrzenie, by rzucił się na kogoś i wyrzeszczał mu żal i wściekłość prosto w twarz. Może uznali, że taki epizod nie stanowiłby zagrożenia dla bezpieczeństwa Fabryki.

W praktyce pewnie nie miałyby znaczenia, nawet gdyby przyszedł zupełnie nagi, wysmarowany błotem, i podał się za Miss Universum. Miał wrażenie, że

Fabryka nie przejmowała się dziwakami, póki ukierunkowywali żądę mordy ku kryminalistom z wyznaczonymi nagrodami od głowy. Chociaż może się mylił. Może centurioni rozstrzelaliby go, gdyby zachował się w niedozwolony sposób. Ich zachowanie było nieprzewidywalne. Kierowali się zasadami, których mieszkańcy nie mieli znać.

Otrzymał w każdym razie licencję i pouczenie, by zapoznał się z komunikatem zapisanym drobnym drukiem na odwrocie, okazało się, że to Kodeks łowcy. Nic więcej nie potrzebował, by dołączyć do grona łowców głów działających w Mieście Złomu. Niektórzy byli porządnymi ludźmi, jak mistrz Clive Lee czy McTeague z jego piekielnymi ogarami. Innych, na przykład Zapana, który sprawiał wrażenie, jakby wydawał wszystkie zdobyte pieniądze na operacje plastyczne, cechowały okrucieństwo i agresja.

Resztę szeregów zapelniali głównie byli zawodnicy motorballa, co dało Ido odpowiedź na pytanie – choć nigdy wcześniej o tym nie pomyślał – co się działo z tymi, którzy się wypalili albo dostali wilczy bilet.

Kiedy jeszcze budowali z Chiren coraz większych i lepszych paladynów, Ido nie przyszło do głowy zastanawiać się nad losem graczy, którzy nie zrobili kariery. Teraz zrozumiał: jeśli nie kończyli na ulicy, sprzedając swoje podzespoły za wspomagacze – zresztą byli od nich uzależnieni – zdobywali pracę jako najemni mięśniacy w coraz popularniejszej branży ochroniarskiej. Największych szczęśliwców zatrudniał sam Vector. Albo brali się w garść i zostawali łowcami głów.

Ido był jednym z bardzo nielicznych mieszkańców Miasta Złomu, którzy posiadali autentyczną wiedzę historyczną. Nie tylko na temat Wojny, ale również tego, jak sprawy wyglądały przed nią, gdy cywilizacja była bardziej uporządkowana i uregulowana, a urzędnicy publiczni chronili słabszych, uniemożliwiając silniejszym, o ile było to możliwe, nadużywanie władzy. Czasami to się sprawdzało, czasami nie. Występowały różne problemy – bogaci mieli o wiele, wiele więcej od biednych, a korupcja sprawiała, że nie dało się temu zaradzić. System miał też pewne wady wynikające z jego konstrukcji. Biurokracja

spowalniała działanie wymiaru sprawiedliwości. Ludzie byli skazywani za przestępstwa, choć ich nie popełnili, i spędzali lata w zatłoczonych więzieniach, które opuszczali już jako kryminaliści... O ile nie zginęli za kratami.

System, który się ostał, był dużo prostszy. Za wszystkie przestępstwa wobec ludzi obowiązywała ta sama kara, wykonywał ją albo łowca głów, albo centurion. I po sprawie.

Nie licząc bardzo rzadkich wyjątków, łowcom wolno było eliminować wyłącznie osoby, za którymi został wysłany list gończy. Po potwierdzeniu tożsamości ofiary przez urzędnika Fabryki łowca mógł odebrać nagrodę i roztrwonić ją w miejscu, gdzie gromadzili się jemu podobni. Na przykład w barze Kansas. Najbardziej skomplikowana zasada mówiła o podbieraniu celów innym łowcom: było to kategorycznie zabronione przez Kodeks i karane egzekucją.

Temu sprawnemu mechanizmowi brakowało tylko zasad służących ochronie słabszych. W Mieście Złomu najlepiej było nie być słabym i utrzymywać kontakty z innymi ludźmi, którzy też słabiakami nie byli.

Jeśli zaś chodzi o to, co miał począć łowca głów, który odniósł poważne uszkodzenia albo obrażenia podczas walki z celem, odpowiedź była prosta: powinien udać się do kliniki doktora Ido i poczekać, aż on doprowadzi go do ładu. Nawet jeśli przestępca udało się uciec i łowca nie miał z czego zapłacić.

Sprawy potoczyły się w tę stronę stosunkowo niedawno, ale wpisywały się w ducha kliniki. Ido poznał w ten sposób wielu łowców, jeszcze zanim został jednym z nich. Montował utracone części ciała, zakładał nowe okablowanie przesyłające sygnały nerwowe, wymieniał klatki piersiowe i stawy biodrowe. Pacjenci byli mu wdzięczni i płacili na miarę swoich możliwości, czasami dając mu namiary na wyjątkowo dobrze płatne cele, które pomagały utrzymać klinikę.

Dyson Ido był niczym szampon dwa w jednym: uzdrowiacz cyborgów i zabójca przestępców. Z zawodu cyberchirurg i specjalista w zaprzeczaniu samemu sobie. „Po pierwsze nie szkodzić”. Rzecz w tym, że te słowa wcale nie należały do przysięgi Hipokratesa. Wybór między zabijaniem a leczeniem też nie.

*Cóż, mogło być gorzej*, pomyślał Ido, sięgając po trzecią rękę leżącą na stole.

Kolejna zasada życia w Mieście Złomu: nieważne, jak było źle, zawsze mogło być gorzej. Nieważne, jak nisko upadłeś, zawsze istniał co najmniej jeden poziom niżej. O ile, rzecz jasna, twoja głowa nie wylądowała w worku. Wtedy koniec z tobą. Z tej podłogi nie dało się już spaść.

Zobaczył oczyma wyobraźni córkę. Błądą, o ustach lekko sinych od wysiłku, którego wymagało poruszanie się po domu na wózku.

– Włączę silnik potem, tato. Chcę ćwiczyć mięśnie rąk. Zobacz, już mam większe bicepsy!

No tak, mogło być o wiele, wiele gorzej. Jego córkę ominęła wątpliwa przyjemność oglądania go w tym żalnym stanie. Gdyby wciąż żyła, nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy.

Oparł czoło o blat stołu i pozwolił sobie się załamać. Minęło kilka tygodni od poprzedniego razu – równie dobrze mógł mieć to już za sobą, wziąć się w garść i wrócić do pracy nad tymi cholernymi rękami.

Obudził się trzy godziny później i odkrył, że ściska jedną z cybernetycznych dłoni tak, jakby zależało od tego jego życie. Uniósł głowę i zwolnił uchwyt, powoli rozchylając palce. Gdzieś w tle pojawiła się świadomość, że żebra bolą go dużo bardziej niż wcześniej.

*Dzięki za pomocną dłoń, powiedział w myślach do cybernetycznej ręki. Kto wie, jak nisko bym upadł, gdyby nie ty.*



## ROZDZIAŁ 9

On żyje! – obwieścił Tanji, kiedy Hugo przysiadł się do niego i Koyomi przed kawiarnią Kawiarnia. – Ładniejszą masz już buźkę. Prawie jak człowiek.

– Dzięki – odparł Hugo. – Ty niestety nie.

Koyomi się roześmiała.

– Ooo, to ci pocisnął! – Przeciągnęła dłonią przez sterczące krótkie loki okalające twarz Tanjiego. – Ale chyba będziesz żył. Prawdziwy cud!

Tanji odepchnął jej rękę, ale bez przekonania. Jak długo jeszcze zamierzali tańczyć wokół siebie, zastanawiał się Hugo? Zaczynali go irytować.

Hugo usiadł na chodniku, a Koyomi wzięła go za ramiona i obróciła przodem do popołudniowego słońca.

– No, zdecydowanie lepiej – powiedziała, wpatrując się w jego oblicze. – Na pewno nie wyglądasz, jakbyś dostał po mordzie, bo nie chciałeś oddać kieszonkowego. – Zmarszczyła lekko brwi. – Powiesz nam wreszcie, co się naprawdę stało? Zazdrosny chłopak? Wkurzony cyborg?

Hugo się skrzywił.

– Coś głupszego – odparł, po czym się zawahał. Tanji i Koyomi byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Jeśli nie powie im, to komu? Nawet przed doktorem zataił pewne szczegóły, chociaż Ido go zabandażował, nie żądając wyjaśnienia, i chłopak był mu za to wdzięczny. O pewnych rzeczach nie chciał rozmawiać. Ale nie chciał też, żeby mu ciążyła kolejna tajemnica.

– Okej – powiedział po chwili. – Ale to zostaje między nami. Reszta ekipy nie musi wiedzieć.

Koyomi wykonała gest, jakby zamykała usta na klucz, a Tanji uniósł lewą dłoń, a prawą położył na sercu.

– Byłem w południowej dzielnicy... – zaczął Hugo.

– Celowo? – Koyomi zrobiła niedowierzającą minę. – Mózg wypłynął ci uszami czy coś?

– Jeśli chciałeś oberwać, mogłeś się zgłosić do mnie – powiedział Tanji. – Dałbym ci w mordę i zaoszczędził wycieczki. Chyba że miałeś ochotę dostać wszy. Bo nie wiem, czego jeszcze mogłeś szukać w południowej, tam mają tylko wciry, wszy i różne nieuleczalne choroby skóry.

Hugo westchnął ciężko.

– Dajcie znać, jak skończycie.

– Okej, chwila. – Tanji zmarszczył czoło, jakby poważnie się zastanawiał. – No, to wszystko. Jak u ciebie? – Pociągnął Koyomi za jeden z cienkich warkoczy.

– Ja też już. – Odwróciła głowę do Hugo. – To co mówiłeś?

Hugo opowiedział o bransoletce, nie wspominając jednak ani o tym, że mieszkał z bratem i Naną, ani o niedoszłym dronie. Przedstawił sprawę tak, jakby uciekł z domu po śmierci mamy. Tanji wiedział, że ojciec Hugo był PW-tem, ale Koyomi słyszała o tym pierwszy raz i bardzo się przejęła. Hugo przestraszył się, że dziewczyna się rozpłacze. Żadne nie przyczepiło się do niego za to, że zerwał bransoletkę z nadgarstka tamtej kobiety, co go zaskoczyło. Oczekiwał, że przynajmniej Tanji wyrazi opinię o ludziach, którzy kradli cudze rzeczy. Przyjaciel sprawiał jednak wrażenie, jakby to, co Hugo zrobił, było mu zupełnie obojętne.

– Wiem, nie powinienem się zapędzać na południe – dodał Hugo, kiedy skończył opowiadać. – Tak naprawdę to nie wiedziałem, gdzie jestem, poza tym, że przy wysypisku, a ono przecież jest wspólne.

– Ekipa z południa od jakiegoś czasu próbuje przejąć część wysypiska na własność – wyjaśnił Tanji. – Nie do ciebie pierwszego się przyczepili. Kolesie z zachodniej bili się z nimi kilka razy po tym, jak tamci przegonili jakąś ciotkę, czyjś kuzyna czy kogoś takiego.

Hugo się skrzywił.

– Aha, rany, to nie mogłeś mi powiedzieć? Bo jakbym wiedział, to bym bardziej uważał.

– Nie pytałeś – odparł spokojnie Tanji. – Ale skoro jesteś naszym nieustraszonym przywódcą i co tam jeszcze, to założyłem, że wiesz. Bo ty wszystko wiesz, prawda? Również to, co wyprawiają w południowej.

Hugo rzucił mu wymowne spojrzenie.

– Nie, od wiedzenia tego jesteś ty – odpowiedział, podkreślając słowo „ty”. – Ja jestem nieustraszonym przywódcą. Ty ponoć informujesz mnie o tym, co ważne.

– A, to przepraszam – powiedział Tanji. Jego twarz była bez wyrazu, ale Hugo widział, że robi się nerwowo. Przyjaciel czasami nie potrafił opanować emocji. Trzeba było wyczuć, kiedy ma dość.

– Hej, jaja sobie robię – zapewnił Hugo. – Dałem się dorwać, to na sto procent moja wina. Teraz mi głupio.

Tanji wyraźnie się rozluźnił.

– No, to było słabe. Dałeś się porobić jakimś dupowatym śmieciozercem z południowej i jeszcze ci zabrali bransoletkę mamy. Wiem, że nic ci nie zostało po starych. – Zrobił skrępowaną minę i włożył ręce do kieszeni.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Potem Hugo spytał:

– No?

– Co? – Oczy Tanjiego zwęziły się w szparki.

Hugo rozłożył ręce.

– Czekam na ripostę. Chyba że dajesz mi taryfę ulgową?

– No wiesz, twoja mama nie żyje – stwierdził Tanji, przyjmując nieco zażenowany i zaskoczony wyraz twarzy. – Nie robi się jaj z nieżyjącej mamy, każdy to wie. A ,czekaj, zapomniałem, jak na adoptowanego szczeniaka od McTeague’a świetnie sobie radzisz z chodzeniem na tylnych nogach.

– Lepiej – powiedział Hugo. – Przez chwilę się bałem, że zaczniesz gadać o swoich uczuciach.

– Ooo, musisz się wypłakać? – spytał Tanji.

– Matko, może znajdziecie jakieś ustronne miejsce czy coś! – Koyomi stanęła

pomiędzy i odepchnęła ich od siebie. – Albo niech jeden z was kupi mi mrożoną kawę w nagrodę za słuchanie tych bzdur. – Weszła do kawiarni, a chłopaki podążyli za nią.

\*\*\*

Cała trójka przeczekała resztę dnia, siedząc przy skraju baru, który ciągnął się wzdłuż okna w fasadzie. Miesiąc wcześniej Hugo doszedł do porozumienia z właścicielem, ponieważ zdobył trudne do znalezienia części ekspresu do kawy. Był to jakiś wymyślny model, właściciel z jakiegoś powodu się do niego przywiązał i nie chciał się go pozbywać. Hugo zlokalizował zamienne elementy i zaproponował niższą cenę w zamian za możliwość przesiadywania w lokalu. Właściciel się zgodził pod warunkiem, że nie będą odstraszać gości. Tanji najpierw uważał, że lepiej było wziąć pieniądze, ale zmienił zdanie, kiedy zrozumiał, że Hugo załatwił im miejscówkę, gdzie mogli chować się przed deszczem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poza tym Vector płacił im wystarczająco dużo.

Hugo *nota bene* był świeżo po kolejnym spotkaniu z pracodawcą na tylnej kanapie jego limuzyny. Poszło dużo lepiej niż poprzednie, choć Vector wciąż miał Hugo za złe tamto spóźnienie. – Człowiek tak zapracowany jak ja potrzebuje podwładnych, na których może polegać – wyjaśnił. – Dlatego kiedy ktoś mnie zawiedzie, traktuję to bardzo poważnie.

Hugo był pewien, że jeszcze długo będzie wysłuchiwał tych pouczeń. Dziś jednak Vector był wkurzony na coś o wiele bardziej niż na niego. Po ulicach krążył cyborg po pełnej wymianie, szef nie potrafił zdobyć jego specyfikacji. Powodem było to, że cyborg został zaprojektowany i zbudowany przez kobietę, nad którą Vector nie miał władzy. W mieście pojawiła się nowa cyberprojektantka i wyglądało na to, że jej model przewyższał wszystko, co znajdowało się w ofercie Vectora.

Nikt nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta nowa konstruktorka, ale nie miała oznakowanego czoła, więc nie spadła z Zalemu. Najbardziej precyzyjna informacja, jaką Vectorowi udało się uzyskać, brzmiała: „jest skądś z Pustkowi”.

Pustkowie leżały za okalającym Miasto Złomu obszarem służącym Fabryce za poligon doświadczalny. Obejmowały tereny, gdzie skażenie po Wojnie spadło do takiego poziomu, że odrodziły się łąki, lasy, a nawet pewne gatunki dzikich zwierząt, ale wciąż zagrażały ludziom, przynajmniej w opinii władz Zalemu. Nie znaczyło to, że Pustkowie były niezamieszkane. Po prostu nikt nie miał pewności, kto tam żył, w jakiej liczbie ani nawet gdzie konkretnie. Nikt też nie wiedział, w jakiej odległości od miasta Pustkowie się kończą i ustępują miejsca powojennej pustyni pokrywającej większość planety, jak zapewniała Fabryka. Jeśli cokolwiek żyło poza granicami cywilizacji, były to prawdopodobnie zmutowane stworzenia przemierzające śmiertelny krajobraz w poszukiwaniu ofiar, które mogłyby pożreć żywcem.

Co ciekawe, to nie Fabryka podsyciała spekulacje o morderczych stworach, chociaż nie robiła też nic, żeby je ukrócić. Strach przed nieznanym sprawiał, że ludziom rzadziej przychodziły do głowy dziwne pomysły i byli łatwiejsi do upilnowania. Tak naprawdę o tych, którzy opuszczali Miasto Złomu, wiadomo było tylko jedno: że nigdy nie wracali. I nikt nie sądził, by działa się tak dlatego, że po drugiej stronie znaleźli coś lepszego. Istniało coś lepszego, owszem, ale nie na Pustkowiach. To lepsze miejsce unosiło się w powietrzu, a Miasto Złomu egzystowało w jego cieniu.

Ludzie z innych stron przyjeżdżali czasem do Miasta, ale nie zdarzało się to często. Pojawiali się bez fanfar, niezauważeni przez nikogo poza Fabryką, która regulowała wszystkie aspekty życia w Mieście, i Vectora, który śledził każdego o nieznanym mu pochodzeniu, wychodząc z założenia, że nie ma czegoś takiego jak miła niespodzianka.

Pani cyberprojektantka pojawiła się dziesięć czy jedenaście miesięcy temu. Była nieco przysadzistą kobietą zbliżającą się do górnej granicy średniego wieku i wyglądała jak nauczycielka. Vector wiedział jednak, żeby nie ufać pozorom.

Przez pewien czas rzeczywiście uczyła – w prywatnej szkole podstawowej w północnej dzielnicy – ale mieszkała w dwupokojowej norze na pograniczu slumsów.

Sześć miesięcy później rzuciła pracę i zaczęła spędzać większość czasu w swoim zapyziałym mieszkanku. Vector poddał ją obserwacji, wykorzystując do tego specjalny zespół, którego istnienie było zupełną tajemnicą. Zwiadowcy donieśli, że kobieta uczy szczególnie uzdolnione dzieci z północnej dzielnicy, grupka przychodziła na zajęcia do jej mieszkania. Każdy inny szpieg zatrudniony przez Vectora mógłby uznać sprawę za zakończoną, jednak ten konkretny zespół miał pewne założenie: wszystko ma drugie dno.

Wreszcie po wielu dniach cierpliwej obserwacji i kilku niewykrytych włamaniach zespół poinformował Vectora, że nauczycielka jest inżynierką i projektantką cyborgów, zbudowała ciało do Pełnej Wymiany wyposażone w szereg usprawnień ośrodkowego układu nerwowego. Rzeczony cyborg zamierzał wziąć udział w najbliższej rundzie kwalifikacji do motorballa.

Vector nie był inżynierem, ale trochę zdążył się nauczyć. Oglądając schematy tajemniczej projektantki, w pierwszym odruchu odniósł wrażenie, że jej cyborg ma zbyt skomplikowaną budowę, by zachować funkcjonalność – do każdej części ciała prowadziło trzy razy więcej połączeń nerwowych, co w normalnych modelach. Wszystkie kable zbiegały się w kręgosłupie przeprojektowanym tak, że dla Vectora była to nowość.

To dlatego poinformował Hugo, że jego nowa stroicielka była pod wrażeniem. Kobieta musiała poświęcić lata prób i błędów, by stworzyć działający prototyp, jak stwierdziła Chiren. Zapewne wyjaśniało to, dlaczego cyberchirurg nie skonstruowała niczego podobnego. Dzięki Bogu nie musieli budować go od zera. Zaoszczędziło im to lata pracy.

Problem polegał na tym, że szanowna projektantka nie chciała sprzedać Vectorowi swojego dzieła ani podjąć dla niego pracy. Miała mocne plecy, sześć osób finansowało jej starania, nie wtrącając się w jej życie ani nie próbując jej rozkazywać. Nikt nie zmusił jej nawet, żeby się przenieśli do północnej dzielnicy.

Klika, która ją sponsorowała, najwyraźniej sądziła, że ich PW-et wymiecie podczas kwalifikacji. Może tak, a może wybuchnie już w drodze na linię startową, ale istniał tylko jeden sposób, by zapobiec niespodziankom, należało zrobić z nim porządek, zanim dotrze na stadion. Vector chciał dostać w swoje ręce jego kręgosłup wraz ze wszystkimi połączeniami i wszelkie inne elementy, które uda się z niego wydłubać. Ale przede wszystkim kręgosłup i rdzeń kręgowy.

Vector wyjaśnił, że kiedy już złapią cyborga, nie będą musieli się niepokoić o zemstę ze strony niedoszłych właścicieli. Posiadacze nie znaczyli wiele. Ubzdurali sobie, że przejmą palmę pierwszeństwa w motorballu, a potem wypchną Vectora z uprzywilejowanej pozycji w układzie z Fabryką. Rzecz w tym, że Fabryka nie chciała przekazywać sześciu osobom zadania, z którym obecnie radziła sobie jedna. Jeden mężczyzna, jedno słowo i życzenie stawało się rzeczywistością. Dowolne życzenie.

Hugo wolałby nie wiedzieć ani połowy tego, co usłyszał. Normalnie Vector mówił mu tylko, czego oczekuje, a chłopak w taki czy inny sposób spełniał jego życzenie. Ale skoro Hugo się spóźnił – tylko ten jeden raz – najwyraźniej Vector uznał za stosowne wyjaśnić, dlaczego zadanie, które zamierzał mu zlecić, jest ważne. *Może jeśli nie popełnię żadnego błędu, pomyślał młody, odzyskam stracone zaufanie i między nami znów będzie w porządku.*

Przynajmniej Vector nie rozwiązał drugiej umowy, którą zawarli. Jego szef nigdy nie dochrapałby się swojej obecnej pozycji, gdyby składał obietnice bez pokrycia. Skoro Fabryka wierzyła mu, Hugo też mógł. I już nigdy nie zawiedzie szefa.

Wyjaśniając sprawę Tanjiemu i Koyomi, Hugo zostawił pewne detale dla siebie. Tanji nudziłby się, słuchając całej historii, a Koyomi zaczęłaby wypytywać, jaki to wszystko miało związek z planowanym przez nich kolejnym zadaniem. Nie pominął jednej kwestii: obezwładnienie tego cyborga mogło sprawić więcej trudności niż zwykle. Tanji tylko wzruszył ramionami.

– Mam pełną baterię – stwierdził, poklepując rękaw, gdzie chował paralizator. – Będzie trzymała dwa dni, a nie wydaje mi się, żeby nam to tyle zajęło. Chyba że

prąd na niego nie działa.

– Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdził Hugo. – Zresztą chyba nawet doktor nie potrafiłby zrobić czegoś takiego.

– Naprawdę go lubisz, co? – zauważyła Koyomi. – W sensie doktora Ido. Ciągle u niego przesiadujesz.

– Ostatnio nie ciągle – przyznał się Hugo. – Nie widziałem się z nim, od kiedy poskładał mnie do kupy. I poszedłem do niego tylko dlatego, że nie chciałem czekać siedem godzin na oddziale ratunkowym z rozciętą wargą wielkości salami.

– Wielkości salami – powtórzył Tanji. – Nie uwierzę, póki nie zobaczę.

– Chcesz, żebym ci pokazał, tak? – spytał Hugo beznamiętnym głosem.

Koyomi przewróciła oczami.

– To kiedy ślub? Chcę wiedzieć, kiedy zacząć oszczędzać na prezent.

– Tanji chce salami – powiedział Hugo.

– A Hugo go nie ma – odparł Tanji.

– Wykończycie mnie – stęknęła Koyomi. – Pocałujcie się wreszcie, okej?

\*\*\*

Krótko po jedenastej całą trójką wysmyknęli się z kawiarni. Ruch na drogach zaczynał ustępować nocnemu spokojowi. Miasto Złomu było najcichsze w środku nocy, ale ani na chwilę nie zamierało zupełnie. Fabryka nie znała pojęcia snu – zawsze znalazła się dostawa, którą należało spakować i skontrolować, albo jakiś przedmiot wymagający przycięcia, zszycia, sklejenia, opieczutowania, wyrzeźbienia, pomalowania, wykucia, wypolerowania, złożenia, skontrolowania i wysłania na górę przez jeden z tuneli zaopatrzeniowych, które sięgały z Zalemu do rozrzuconych po Mieście centrów dystrybucyjnych i przypominały nogi wielkiego pajaka. Znajdując się odpowiednio blisko jednej z rur, można nawet było usłyszeć syk paczki pędzącej w górę.

Z kolei odgłos odpadków spadających z Zalemu słychać było z prawie każdego



miejsca w Mieście. Nawet w godzinach szczytu, kiedy Miasto Złomu wypełniała zbita masa silników, wyjątych klaksonów, krzyczących dzieci i ludzi zajmujących się swoim życiem, nikomu nie umykało, kiedy Zalem spuszczał wodę w toalecie.

Była to trochę przesadzona metafora, ale Hugo usłyszał, jak Ido mamrotał te słowa pod nosem, i utkwilo mu to w pamięci. Poza tym nawet jeśli w zalemskim zsywie śmieci nie było ekskrementów, ludzie mieszkający na ziemi i tak czuli się, jakby ktoś wylewał im ścieki na głowę.

Może mieszkańcy Zalemu uważali tak samo.

Myślenie o tym powodowało u Hugo przyływ siły woli. Urodził się w koszu na śmieci, ale to nie oznaczało, że musiał w nim pozostać. Innym mogło się wydawać, że takie są zasady. W takim razie on zamierzał wprowadzić swoje.

\*\*\*

– Co my tu robimy? – spytała Koyomi, zsiadając z tylnego siedzenia żyra Tanjiego. Znajdowali się w strefie wyładunkowej porzuconego magazynu za ruinami dawnej katedry. – Nie mówiłeś, że ten cyborg będzie gdzieś w slumsach czy coś takiego? To jest trzy czy cztery przecznice stąd.

– Tak – odpowiedział Hugo. – Ale na ulicy, gdzie będziemy mogli go załatwić, będzie dopiero za dwie godziny.

– Jak możesz być tego taki pewny? – spytała Koyomi.

– No właśnie – dodał Tanji. – Co jeśli będzie przed czasem? Albo po czasie? Masz harmonogram jego zajęć na resztę tygodnia?

Hugo spojrział na niego spode łba.

– Dostałem informację, gdzie będzie i kiedy. Nie wyjdzie na ulicę przed pierwszą rano. Ma dwie przecznice do przystanku, z którego odjeżdża nocny do północnej dzielnicy. Zgarniemy go w połowie drogi.

– A potem co? – spytał Tanji. – Zamierzasz rozebrać go na miejscu i machać do każdego, kto będzie się przyglądał? Czy może znasz jakieś opustoszałe ulice na

trasie autobusu?

– Mam dobre wieści – zdradził Hugo. – Dostaliśmy coś, co nam bardzo pomoże.

Zaprowadził ich na koniec rampy załadunkowej, gdzie stał jakiś nakryty kształt. Hugo ściągnął pokrowiec.

– O, super – skwitował kwaśno Tanji, krzyżując ręce na piersi. – Dostałeś pół ciężarówki. I co, zostawili ci w schowku pół kanapki? Kiedy dostaniesz drugą połowę?

– Weź, nie przesadzaj – doradziła mu Koyomi, obchodząc zielono-biały samochód dostawczy o wąskim nadwoziu. – Chudzielce dziwnie wyglądają, ale dobrze się nimi przeciska przez korki. O ile się nie zepsuje. – Tu popatrzyła na Hugo.

– Jeździ jak należy – potwierdził. – Czym się tu dostałem, waszym zdaniem?

– Tylko ty mogłeś kupić pół ciężarówki. – Tanji podskoczył na schodek szoferki i zerknął do środka przez okno od strony kierowcy. – Jest tylne siedzenie. Właściwie trudno, żeby nie było. Trzech w poprzek nie usiądzie.

– Najlepsza rzecz jest z tyłu. – Hugo poprowadził ich do tylnych drzwi i je otworzył. W bagażniku znajdowała się wyciągarka, z której zwisała gruba lina, a do podłogi przykręcone były kajdany, wyglądały na bardzo ciężkie. – Weźmiemy kołesia na hak, wciągniemy go do środka, a potem przypniemy i wywieziemy gdzieś, gdzie będzie się go dało spokojnie pokroić na kawałki. – Hugo wskazał palcem. – I jest dość miejsca na oba żyra.

– Masz gdzie trzymać tę lore, kiedy nie pracujemy? – spytał Tanji. – Nie wiem, może znasz kogoś, kto ma całą ciężarówkę?

– Nie musimy jej używać do każdej roboty – wyjaśnił Hugo. – Tylko do trudniejszych przypadków. Na przykład kiedy będziemy tylko we troje. A poza tym nikt nie mówi, że musimy ją wykorzystywać tylko do zleceń, za które nam płacą.

Tanji wydał krótki, prześmiewczy chichot.

– Czyli?

– No, nie wiem – stwierdził Hugo. – Może przejedźmy się na Pustkowie. Być

może znajdziemy tam coś, czego nie da się zapakować na żyro.

– Co na przykład? – Tanji znów się roześmiał. – Już wiem, o czy myślisz. Ale to auto jest za małe. To coś z jeziora nie weszłoby nawet do normalnej ciężarówki.

– Ale w środku jest tona mniejszych fantów – upierał się Hugo.

– Pod wodą. – Tanji wyglądał, jakby przerażała go ta myśl. – Jak chcesz nurkować za skarbem, to spoko, ale ja się wypisuję.

– Coś mogło wypłynąć na powierzchnię albo zostać na nabrzeżu – stwierdził Hugo. – Dawno tam nie byliśmy.

– Słuchaj, tak w ogóle to skąd ją wzięłeś? – spytała Koyomi.

– Od Vectora.

– Vector – niedowierzanie na twarzy Tanjiego przybrało na intensywności – dał ci ciężarówkę?

– Nie miałeś czasem na myśli pół ciężarówki? A poza tym nie do końca mi ją dał. Powiedział, że jeśli będzie mi potrzebna, mogę z niej korzystać.

– Pewnie znudziło mu się szukanie miejsca do parkowania – stwierdził Tanji.

– Co za różnica? Nie wystarczy, że mamy ją za darmo? – spytał spokojnie Hugo.

Tanji wzruszył ramionami.

– Masz rację. Czyli Vector załatwił nam dostawczaka. Mogę prowadzić?

\*\*\*

Cyborg się nie śpieszył. Wyszedł z kamienicy znajdującej się w połowie drogi pomiędzy dwoma przecznicami chwilę przed trzecią rano. Był większy, niż wynikało z opowieści Vectora. Ludzie próbujący swoich sił w motorballu zwykle byli ponadprzeciętnych rozmiarów, ale większość mimo wszystko nie miała ponad dwóch metrów wysokości, potężnych, przesadnie rozbudowanych barów i długich rąk wyglądających jak paczka mięśni. Jego widok skojarzył się Hugo z wczesnym Grewishką, zanim jego kariera potoczyła się w złym kierunku i otrzymał dożywotni

zakaz udziału w rozgrywkach.

Pewnie dlatego Vectorowi tak bardzo zależało na tym ciełe. SzeF był jednym z wielu, którzy stracili fortunę na ostatnim wyścigu Grewishki. Nie była to suma aż tak wielka, by został bez grosza, ale Vector nienawidził przegrywać. Hugo zastanawiał się czasami, co się stało z Grewishką, czy naprawdę, jak wszyscy twierdzili, zamieszkał w kanałach.

Zaparkowali w bocznej alejce dobre sto metrów od przystanku. Koyomi siedziała za kierownicą. Odwróciła głowę, żeby powiedzieć coś do Hugo, ten jednak ją uciszył i kazał jej się zamaskować. Posłusznie nasunęła gogle na oczy, przewiązała dolną połowę twarzy bandaną i naciągnęła na głowę kaptur kurtki. Hugo i Tanji zrobili to samo.

– Wyjechać już? – wyszeptwała. – Jest coraz bliżej...

Hugo znów ja uciszył.

– Poklepię drzwi. I nie pozwól ciężarówce zgasnąć za szybko!

Wymknęli się z Tanjim przez drzwi pasażera i obserwowali zbliżający się cel. Kiedy znalazł się jakieś trzy metry od nich, Hugo uderzył dwa razy dłonią w drzwi, a Koyomi gwałtownie wyjechała z uliczki, zagradzając drogę cyborgowi, który krzyknął z zaskoczenia.

– Cholera!

– Przepraszam! – zakwicziała Koyomi głosem małej dziewczynki.

– Weź, uważaj! – warknął cyborg.

Odgłos jego kroków zbliżał się ku tyłowi ciężarówki. Tanji szybko okrążył karoserię, żeby podkraść się od pleców. Hugo zaś poczekał, aż cyborg wyłoni się zza narożnika, i stanął mu na drodze.

Cyborg zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na niego z ogromnym zdziwieniem. Hugo poczuł takie samo zaskoczenie – koleś wyglądał na żywo o wiele młodziej, niż go opisywali. Miał nie więcej niż szesnaście lat. A może po prostu taki efekt wywoływały rude loki i piegowata cera, bo chłopak przecież był potężny – nie tylko wysoki, ale i barczysty. Być może powinni jednak zabrać na tę robotę dwie osoby więcej.

– A ty to niby kto, do cholery? – spytał cyborg.

Hugo uderzył go w kolano paralizatorem. Chłopak zwałił się na ziemię z krzykiem, co Tanji wykorzystał, żeby dźgnąć go w kark. Cyborg wił się na chodniku, miotając rękami i nogami. Próbował wołać o pomoc, ale z jego gardła wydobywało się tylko charczenie. Tanji się zawahał, po czym pchnął go jeszcze raz w to samo miejsce. Cyborg wpadł w potężne konwulsje, od których zadrżał cały chodnik, po czym pokonany zwiotczał.

Zaniepokojony Tanji przyłożył palec do szyi ofiary.

– Żyje – wyszeptał do Hugo.

Hugo przyklęknął i przyjrzał się twarzy chłopaka, a potem uniósł jedną z jego powiek.

– Wciągnijmy go na pakę – polecił.

– Też mi supercyborg – skwitował Tanji, otwierając tylne drzwi. – Miejmy nadzieję, że Vector nie zażąda zwrotu pieniędzy, jak się okaże, że jego wielkie odkrycie to kupa złomu.

\*\*\*

Hugo niepokoił się, że cyborg zacznie wracać do zmysłów, kiedy przypną go do podłogi ciężarówki, ale złapany pozostał bezwładny i nieprzytomny.

Niektóre cyborgi ani na chwilę nie traciły przytomności, ale tylko wyjątkowi twardziele. Adrenalina utrzymywała ich w pełnej gotowości, nawet gdy byli pijani albo na haju. Hugo nie znosił porywać takich typów, bo nie zamykali się ani na chwilę, kiedy odseparowywali ich od ciał. Bez ustanku przeklinali i opowiadali, na jakie sposoby cię zabiją, aż ledwo słyszało się własne myśli. Niektórzy kontynuowali swoje tyrady jeszcze w chwili, gdy wyrzucali ich rdzeń na pobocze. Hugo wyobrażał sobie, że nie przestawali złorzeczyć do momentu, gdy prefekci zbierali ich resztki i podłączali do aparatury podtrzymującej życie. Hugo zawsze przekazywał prefektom – anonimowo, rzecz jasna – informację, gdzie porzucili

rdzeń, ale czasami miał wrażenie, że prefekci sami znaleźliby ofiarę, kierując się w stronę nieustającego narzekania.

Dziś jednak prawie wolałby, żeby chłopak obrzucał go przekleństwami i inwektywami. Wyglądał, jakby nie żył. Młody i martwy. Ktokolwiek go zbudował, spieprzył sprawę. Może chodziło o te wszystkie dodatki, które według Vectora miał w kręgosłupie. Projektantka usprawniła cyborga, ale Hugo odnosił wrażenie, że zapomniała wyposażyć go w cechy potrzebne wojownikowi.

Do tego sposób, w jaki zareagował na widok Hugo – „A ty to niby kto, do cholery?” – jakby nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może go capnąć, jak gdyby nie wiedział nawet, że ludzie porywali cyborgi. Kiedy odcinali z Tanjim pierwszy zestaw połączeń pomiędzy ciałem a rdzeniem, Hugo nie potrafił stłumić w sobie współczucia dla chłopaka.

Uparł się zostawić rdzeń niedaleko dzielnicy rynkowej, żeby prefekci szybko go znaleźli. Tanji nie dyskutował, a Hugo rozpoznał po jego zachowaniu, że też mocno przeżył to, co się stało. Przyjaciel w życiu nie przyznałby się do słabości, a już na pewno nie przed Hugo, ale tym razem specjalnie kazał Koyomi trzymać wartę, żeby nie musiała brać udziału w procesie rozczłonkowania ciała. Skoro nawet Tanji czuło się nieswojo, to było naprawdę kiepsko.

\*\*\*

Miejsce, gdzie Vector kazał dostarczyć łup, okazało się starą przybudówką do budynku Fabryki. Kiedy podjechali pod wejście, Hugo przez chwilę się bał, że Vector uznał ich za niewygodnych świadków i wciągnął w zasadzkę. Okazało się jednak, że pracodawca przerobił fabryczny aneks na pierwszorzędne laboratorium swojej nowej faworyty, byłej żony doktora Ido.

Hugo pierwszy raz w życiu widział taki popis bogactwa i luksusu. Wnętrze było co najmniej czterokrotnie większe niż klinika doktora i o wiele hojniej wyposażone. Niektóre sprzęty wyglądały na ulepszone wersje urządzeń, którymi

posługiwał się Ido, innych jednak Hugo w ogóle nie poznawał. Narzędzia Chiren spoczywały w szklanych gablotach, jakby wtedy, gdy ich nie używała, należało je podziwiać. Miała nawet do dyspozycji pewną liczbę pracowników, choć wyglądali bardziej na mięśniaków niż pielęgniarzy. Sama Chiren zaś prezentowała się, jak gdyby za chwilę wychodziła na jedną z ekskluzywnych imprez Vectora. Hugo jeszcze nigdy nie widział stroicielki w szpilkach.

Normalnie Hugo po prostu zostawiłby zamówione części, pobrał wynagrodzenie i ruszył do domu. Tym razem jednak poczuł się w obowiązku opowiedzieć Vectorowi, jak nieogarnięty wydał mu się cyborg i jak łatwo było go obezwładnić.

Jego słowa bardzo zainteresowały Chiren, która kazała mu precyzyjnie opisać całe zajście i kilka razy prosiła go o powtórzenie konkretnych szczegółów dotyczących zachowania ofiary. Jej twarz wyrażała pełną koncentrację, a lodowate błękitne spojrzenie drażyło jego oczy, jakby próbowało wwiercić się po informacje prosto do jego mózgu. Kiedy jeszcze była z doktorem, Hugo widział ją kilka razy z pewnej odległości. Ich córka jeszcze wtedy żyła, ale już w tamtym okresie Chiren nie wyglądała osobę, której cokolwiek sprawiało radość.

Przepytywała go przez mniej więcej pół godziny. Potem Vector przekazał ekipie pieniądze i dołożył niewielką premię za „przydatne informacje”. Kiedy Hugo wreszcie dotarł do swojej kawalerki, zaczynało świtać. A potem coś mu się stało. Może chodziło o tę określoną robotę i to, że musiał odpowiedzieć Chiren na tyle pytań o cyborga, a może po prostu o to, że był na nogach od dwudziestu czterech godzin. Ale zalała go fala współczucia i wściekłości. Współczucia dla tych, którzy stawali się ofiarami, i wściekłości na tych, którzy na tym zarabiali.

Normalnie Hugo starał się nie rozmyślać o takich sprawach. Nie było sensu rwać sobie włosów z głowy – cokolwiek się działo, nie mógł na to nic poradzić. Zwycięstwem było już to, że jakoś się trzymał. Tym razem jednak był zbyt zmęczony, by się bronić przed przykrymi myślami.

Po chwili na szczęście przypomniał sobie o worku kredytów w kieszeni kurtki. Wyrzebał wgniecione metalowe pudełko zza luźnej deski w podłodze swojej

jedynej szafy. Było trochę bardziej niż do połowy pełne. Jeszcze nie miał dość na to, na co zbierał, ale zbliżał się do celu. Przesypał do środka większość wypłaty za dzisiejszą noc, zostawiając sobie absolutne minimum potrzebne do przeżycia następnego dnia i poczuł się trochę lepiej. Schował puszkę z powrotem.

Kiedy tylko się położył, zapadł w głęboki, ciemny sen.



## ROZDZIAŁ 10

Kobieta siedząca w wyściełanym pluszem fotelu po drugiej stronie gigantycznego biurka Vectora była piękna, kiedy miała ochotę. Vector bardzo się cieszył, że Soledad zdecydowała się być piękną w dzisiejsze popołudnie. Wolał, kiedy kobiety, z którymi utrzymywał kontakty, prezentowały się atrakcyjnie, szczególnie gdy odwiedzały go w zaciszu luksusowego biura. Nie wszyscy mieli okazję poznać piękną Soledad. W jej zawodzie popłacało nie wyróżniać się z tłumu.

Takich modeli jak ona już nie produkowano. Posiadanie plastycznej struktury twarzy było obecnie przestępstwem. Fabryka uznała jednak, że jej zdolność do zmiany wyglądu może być przydatna, i pozwoliła jej zachować atut pod warunkiem, że nie będzie wprowadzać ludzi w błąd bez autoryzacji.

Udało jej się wynegocjować taki układ, a to dowodziło, że nie była jedynie piękna, ale również inteligentna, co Vector bardzo szanował. Świat wiele wybaczał pięknym, jednak dopiero piękni i mądrzy mogli sobie pozwolić na absolutnie wszystko.

Soledad stanowiła jedną z najściślej pilnowanych tajemnic Vectora. Niemal wszyscy jego pracownicy sądzili, że jest woźną – to znaczy czymś niedorozwiniętym umysłowo krewnym zatrudnionym do pracy fizycznej za symboliczną płacę. Był to mniej dziwny układ, niż mogło się wydawać. Vector naprawdę zatrudniał kilka osób z niepełnosprawnością fizyczną albo umysłową w geście dobrej woli wobec ich bliskich. Poprawiało to jego wizerunek, jakby naprawdę miał dobre serce. Co ważniejsze, sprawiało, że rzeczeni bliscy czuli się jego dłużnikami i byli gotowi zrobić wszystko, czego od nich zażąda. Soledad

poruszała się między nimi niezauważona, obserwując, przysłuchując się i raportując to, co uznała za interesujące.

Była też bardzo uzdolnioną włamywaczką. Może istniały miejsca, do których nie potrafiłaby się dostać, a następnie ich przeszukać, nie zostawiając najmniejszego śladu, ale na pewno nie w Mieście Złomu. Kradła wyłącznie na zlecenie i zabierała tylko to, o co ją proszono.

Oznaczało to, że jest piękna, mądra i obdarzona silnym charakterem. Kombinacja ta zdarzała się w Mieście Złomu tak rzadko, że można ją było uznać za mityczną. Osoby w nią wyposażone zdarzały się rzadziej niż byli mieszkańcy Zalemu, których osobowość na dodatek budziła w Vectorze pewne zastrzeżenia. Bardzo się cieszył, że Soledad dla niego pracuje, chociaż był przy tym realistą. Służyła mu, bo tak jej kazała Fabryka. Na szczęście póki co wykonywała jego rozkazy.

Vector wstał, zostawił szklankę whisky na swoim miejscu i okrążył biurko. Nie był przekonany, czy stojąc nad kobietą, wywoła na niej jakiegokolwiek wrażenie, ale zawsze warto było przypomnieć pracownikom, że to on jest na szczycie drabiny.

– Czyli rozumiesz, że koniecznie musimy zdobyć ten chip, a Ido powinien jak najdłużej nie wiedzieć, że go mamy – powiedział. – Przykro mi, że nie posiadamy dokładnego zdjęcia, ale...

– Szkic, który przygotowała doktor Chiren, jest wystarczająco szczegółowy – odparła Soledad.

– Cieszę się, że Chiren mogła pomóc. Ta kobieta ma naprawdę tęgą głowę – stwierdził ze sztywną formalnością zwierzchnika chwającego najemną pomoc, którą dużo częściej musiał ganić. – Opieka nad moimi paladynami to wielka odpowiedzialność, na tym musiała skupić swoje wysiłki. Gdyby dni i tygodnie były dłuższe, na pewno sama opracowałaby już taki chip. Zresztą jestem pewien, że Dyson Ido wykorzystał mnóstwo jej pracy. Tak naprawdę proszę cię o odzyskanie własności, która prawomocnie należy do Chiren.

*Po co jej powiedziałem?*, pomyślał Vector, kiedy Soledad pokiwała głową.

– Jestem przekonana, że gdyby zapewnić doktor Chiren odpowiednio dużo

miejsca i czasu, mogłaby perfekcyjnie opanować każdą umiejętność. Nawet wlamywanie się – stwierdziła Soledad. – Chociaż wątpię, żeby miała ochotę.

*I co ona miała na myśli?*, zastanowiło Vectora. Odsunął tę myśl i powiedział:

– Dostałaś najnowsze raporty na temat harmonogramu Ido?

Soledad poklepała swój telefon.

– Szanowny doktor jest miłośnikiem rutyny. Ale mam plan na wypadek, gdyby pozwolił sobie na odrobinę szaleństwa. Zrobił coś niewpisującego się w schemat – dodała w odpowiedzi na nieco pytające spojrzenie zwierzchnika.

– Doskonale – odparł Vector. – Jesteś pewna, że nie wypijesz ze mną drinka, zanim wyjdiesz?

– Dziękuję, ale innym razem. – Soledad wstała, a Vector natychmiast podążył w jej ślady.

Przewyższał ją o kilkanaście centymetrów, ale czasami wydawała się wyższa.

– W takim razie, moja droga, nie będę cię zatrzymywał – powiedział szybko, żeby nie zdążyła wyjść z pokoju bez jego pozwolenia.

– I tak bym nie została – odpowiedziała Soledad. – Wpadłam przelotem na wypadek, gdybyś miał mi coś do przekazania. Zadzwoń, kiedy wykonam zadanie.

– Nie trzeba – powiedział, kiedy zaczęła się odwracać w stronę drzwi. – Po prostu przynieś mi chip.

Pokiwała głową.

– Jak sobie życzysz.

Vector wbił wzrok w plecy Soledad pewnym krokiem opuszczającej biuro. Nie podobały mu się uczucia, które w nim budziła. Wyjściu pięknej kobiety z jego miejsca pracy nie powinna towarzyszyć ulga.

\*\*\*

Zamykając klinikę, Ido zwrócił uwagę, że w barze z tacos z dużym ogródkiem po drugiej stronie ulicy zaczynał robić się ruch. Przez chwilę stał i przysłuchiwał się

wesołym głosem ludzi usiłujących przekrzyczeć telewizyjny skrót ostatniego wyścigu motorballowego.

Jedna z kelnerek zawołała do barmana, który wykrzyczał coś w odpowiedzi. Było za głośno, żeby Ido mógł wyłapać słowa, ale to, co powiedzieli, sprawiło, że wszyscy siedzący dookoła wybuchli dzikim śmiechem. Ido się uśmiechnął. Nieważne, gdzie byli i co się działo, ludzie pozostawali ludźmi – zawsze udawało im się znaleźć sposób, by dobrze się bawić, choćby przez chwilę. Ta myśl dodała mu otuchy. Może kiedy skończy grzebać w zalemskich odpadach, przed wyjściem do drugiej pracy zafunduje sobie kilka tacos.

\*\*\*

*Czyli tak wyglądał były mąż Chiren*, stwierdziła w myślach Soledad, wpatrując się, jak Ido rusza w stronę złomowiska. Po raz pierwszy widziała go na własne oczy. Na jej oko poruszał się prawie sprężystym krokiem – może przytrafiło mu się dziś coś miłego. Byłaby to dobra odmiana, bo z tego, co słyszała, udręczona dusza rzadko dawała mu wytchnienie. W każdym razie miało go nie być co najmniej godzinę.

Mogła zapłacić komuś, żeby go obserwował i wysłał jej wiadomość, kiedy doktor pójdzie w stronę domu, ale oznaczałoby to zaangażowanie kolejnego człowieka. Nie miało znaczenia, że zwiadowca nie znałby szczegółów operacji. Każda dodatkowa osoba powiązana z zadaniem zwiększała prawdopodobieństwo, że ktoś żądny zemsty wpadnie na jej trop. Nie dało się przewidzieć, kto i kiedy doda dwa do dwóch.

Nikt nie widział, jak Soledad opuszcza bar. Kiedy wyszła z biura Vectora, zmieniła układ cybernetycznych kości twarzy w taki sposób, by zewnętrzne kąciki jej oczu, podobnie jak kąciki ust, opadały. Smutną minę podkreślały pionowe bruzdy, opadające policzki i podwójny podbródek. Było to oblicze każdej starej kobiety, która spędziła większość życia, starając się być użyteczną i mając

świadomość, że nie usłyszy ani jednego słowa pochwały. Jej oblicze było teraz składanką twarzy różnych osób, dostatecznie rozpoznawalne, by nie budzić wątpliwości, i wystarczająco nieznajome, by nikt nie zatrzymywał na niej wzroku.

Mimo swoich lat Soledad wciąż fascynowało, jak łatwo było stać się niewidoczną. Zdarzało jej się stać bezpośrednio przed kimś, kto w ogóle jej nie zauważał.

Jeśli zaś chodziło o jej ubiór, to stosowała skuteczny i banalny system: wszystko, co nosiła, miało dwie użyteczne strony. Przewracanie ubrań na lewo czy prawo bolało dużo mniej niż rekonfiguracja kości twarzy.

\*\*\*

Ido mieszkał nad kliniką, w związku z czym budynek miał dwa osobne wejścia. Soledad doszła do wniosku, że bezpieczniej będzie użyć drzwi do części mieszkalnej. Mniejsze prawdopodobieństwo, że natknie się na pacjenta szukającego pomocy po godzinach pracy doktora.

Tę część miasta charakteryzował duży ruch. Odnosiło się wrażenie, że ulice nie pustoszeją ani na chwilę. Była to bardzo użyteczna okoliczność – obecność obcej kobiety na ganku Ido nie zwróciła niczyjej uwagi. W drzwiach Ido znajdował się klasyczny zamek na klucz, co zdaniem Soledad wpisywało się w wizerunek uroczego staroświeckiego ekscentryka. Poza tym obserwowany cel miał zbyt wysoką inteligencję, by korzystać z zamka elektronicznego, który można było łatwo unieszkodliwić, odcinając prąd.

W okresie szalonej młodości Soledad nauczyła się pokonywać prawie każdy rodzaj mechanicznego zamka, stosując cierpliwość i zręczne palce. Zdecydowanie łatwiej jednak było posłużyć się zestawem doskonałych wytrychów, szczególnie gdy czas był ograniczony, czyli w przypadku włamania – prawie zawsze.

\*\*\*

W środku Soledad stanęła na dłuższą chwilę w ciemności, wsłuchując się w dźwięki wypełniające mieszkanie – stłumiony odgłos ruchu drogowego, jej oddech, powietrze zamknięte we wnętrzu, mrok przepełniony samotnością. Zapisała wszystko w pamięci, po czym zsunęła na oczy gogle noktowizyjne.

Po lewej miała salon, po prawej kuchnię, a za nimi klinikę. Przeszła bezszelestnie kuchnię na korytarz i stanęła zdumiona na widok spiralnej klatki schodowej. Chiren nie wspomniała, że to nie są normalne schody. Soledad delikatnie napała na schody – ani drgnęły. Żadnego skrzypienia. Całkiem solidna zabudowa jak na dom wyglądający, jak sprzed Wojny. W Mieście Złomu w ogóle stało zaskakująco wiele przedwojennych budynków. Vector twierdził, że niektóre części Fabryki też pochodzą sprzed Wojny, ale Soledad traktowała wszystko, co mówił, z dozą powątpiewania.

Zapamiętała układ przestrzenny kliniki, najpierw przyglądając mu się ogółem, a potem dzieląc wzrokiem na sekcje, aż wewnątrz znalazło się w niej w tym samym stopniu, co ona w nim. Nieduży pokój w gruncie rzeczy był przepełniony, nie idealnie uporządkowany, ale też nie zabałaganiony. Wchodząc do środka, minęła stół na kółkach, na blacie leżała taca z wyłożonymi narzędziami chirurgicznymi w sterylnych opakowaniach. Ido lubił mieć wszystko, co potrzebne, w zasięgu ręki, kiedy wracał do pracy. Na przykład do ślęczenia nad dwiema rękami leżącymi na stole.

Ewidentnie należały do dwóch różnych osób. Jedna była dziwnym tworem niepodobnym do niczego, co Soledad знаła – na wysokości łokcia kończyła rozchodziła się na dwa przedramiona rozwarte niczym szczęki aligatora. Zakończenia łączyły się z jeszcze dziwniejszą rozciągniętą podwójną dłonią wyposażoną w dwie sekcje po pięć palcopodobnych manipulatorów. Nie potrafiła sobie wyobrazić, do czego ręka mogła służyć – może do jakiegoś specjalnego aktu seksualnego? Ido raczej nie zajmował się takimi rzeczami, ale może po odejściu żony postanowił poszerzyć zakres działalności.

Soledad pochyliła się nad stołem i ustawiła gogle na maksymalne powiększenie. Chip znajdował się dokładnie w miejscu, które Chiren nazwała

gniazdem sterownika, ale wyglądał bardzo zwyczajnie. Na pewno nie był to superukład, którego opis nosiła w głowie. W drugiej ręce – standardowej kończynie pracownika fizycznego z gniazdem do montowania narzędzi – też go nie było.

*Jeśli nie znajdziesz go w klinice, zajrzyj do sejfu w piwnicy. Jest wpuszczony w podłogę* – wyjaśniła Chiren i podała jej kod. Była zdania, że Ido go nie zmienił.

I się nie myliła.

Sejf był pełen leków w torebkach, butelkach, pakietach plastrów i ampułkach o określonej pojemności. Wszystko, czego przeciętny zawodnik wyrzucony z zespołu motorballowego potrzebował, żeby kontynuować imprezę. Soledad zaniepokoiła się, że będzie musiała wyjąć przynajmniej połowę zawartości, żeby znaleźć to, co ją interesowało. Po chwili jednak dostrzegła coś, co wyglądało na małą papierową kopertę dociśniętą do jednej ze ścianek sejfu.

W środku znajdował się chip. Był bardzo cienki. Tak bardzo, że bała się, czy przypadkiem go nie złamie, ale okazał się zadziwiająco mocny, podobny w dotyku do stalowej płytki. Z obu stron pokrywały go linie, ich znaczenie umykało jej oczom.

*Rany, jak coś takiego działało?*

Soledad włożyła go do małego plastikowego pojemnika, który dostała od Chiren, i zaczęła chować pakunek do kieszeni spodni, potem jednak upchnęła go do prawej miseczki stanika. Jeśli ktokolwiek będzie chciał tam sięgnąć, straci rękę, nieważne, czy będzie człowiekiem, czy cyborgiem.

Wróciła na górę zwinnym krokiem, ale bez pośpiechu, dbając, by poruszać się tak samo bezszelestnie jak na początku. Chowając gogle, położyła drugą dłoń na drzwiach frontowych i zamarła w bezruchu. Coś się nie zgadzało. Przebiegła myślami swoją listę zasad, ale w jej głowie nie zapaliła się żadna czerwona lampka – dom brzmiał odpowiednio, wszystko było na miejscu. Zostawiła piwnicę i sejf w takim samym stanie, w jakim je zastała. Ido nie dowie się, że chip zniknął, póki nie będzie chciał go użyć, a nawet wtedy nie będzie miał pojęcia, kiedy został ukradziony, jak, ani przez kogo.

Soledad było go szczerze żal. Nikomu nie żyło się łatwo...

Już wiem, zdała sobie sprawę, przeciągając dłońmi po twarzy. Pozwoliła swojemu wyglądowi wrócić do normalnej postaci. Cholera, musiała na to uważać.

Rzecz w tym, że zmienianie konturów twarzy było w najlepszym razie nieprzyjemne, a czasami wręcz bolesne. I to nie tylko w momencie przemiany, ale i przez następny dzień albo dwa dni. Skutki pogarszały się z wiekiem. Ostrzegano ją, że z upływem lat korzystanie z modyfikacji będzie jej przychodziło z coraz większym trudem, a teraz powoli zbliżała się chwila, kiedy będzie musiała dać sobie spokój i żyć z tym obliczem, które miała.

Ale nie tego wieczora. Poczowała ruch mięśni i kości pod skórą i po chwili stwierdziła, że składowe rozłożyły się odpowiednio. Nie potrzebowała do tego lustra. Z każdą twarzą wiązał się pewien dyskomfort, jedne były gorsze, inne lepsze. Nie miała jednak na co narzekać – ta smutna maska mogła być prawdziwą, natomiast utrzymywanie tej, którą świat nazywał piękną, mogło ją kosztować zbyt wiele bólu.

Wymknęła się z domu i wróciła do ogródka baru z tacos. Ido pojawił się godzinę później, niosąc torbę, wyglądało, że pełną serw. Miał zamyśloną minę. Nagle zatrzymał się u stóp ganku prowadzącego do drzwi frontowych i spojrzał prosto na nią.

Soledad wstrzymała oddech i czekała, co się stanie. Może doktor podejdzie do niej i coś powie. Ido jednak wpatrywał się dłuższą chwilę i w końcu pojęła, że nie gapi się na nią, tylko na bar. Może był głodny.

Prezentował się całkiem nieźle, pomyślała. Za blady – o wiele za blady, nawet włosy miał białawe – ale zmarszczki mimiczne w kącikach ust i oczu sugerowały, że kiedyś dużo się uśmiechał. Teraz miał dość surowe spojrzenie, ale może to okulary dawały taki efekt. Poruszał się z większą gracją niż przeciętny mieszkaniec Miasta Złomu. Bez wątpienia, tak jak mówił Vector, nie był stąd. Do jednej rzeczy nie była przekonana. Mimo że widziała kryształ na środku czoła Chiren, nie miała pewności, czy Ido i jego żona rzeczywiście pochodzą z Zalemu. Dlaczego by go opuścili? I mając do wyboru cały świat, zamieszkali w Mieście Złomu? To nie miało sensu.



Vector twierdził, że Chiren odeszła od Ido i to akurat miało sens. Ido z pewnością jej nie wyrzucił. Soledad знаła mężczyzn, którzy wyrzucali kobiety z domów, Ido do nich nie należał. Inna sprawa, że musiało mu się robić naprawdę niedobrze od jej pretensji, skoro nie próbował jej odzyskać. To nie była kobieta łatwa w utrzymaniu. Tylko Vector był dość bogaty, żeby sobie na nią pozwolić.

Chiren tymczasem wcale nie dawała po sobie poznać, że wymieniła faceta na lepszy model. Wyglądała bardziej na osobę przeświadczoną, że jej życie nie ma sensu, bo nie jest idealne.

Soledad zachichotała pod nosem. Może faktycznie była z Zalem.

## ROZDZIAŁ 11

„Jeśli leżę...” w C-dur. – Ciemnoskóry mężczyzna siedzący ze zwieszonymi nogami na stole lekarskim w gabinecie Ido wprawnie zagrał pojedynczy akord na górnym gryfie gitary. – „To umieram...” w cis. – Kolejny akord, tym razem na dolnym gryfie. – Nie gram tego z byle powodu.

– Też bym nie grał – przyznał Ido, obserwując ruch metalowych palców, które dopasowały się do wymiarów gryfu. – Jak wrażenia? Czujesz konflikt z dłonią palczącą struny?

– Nie, świetnie pan to naprawił. Już dawno tak dobrze nie grałem. – Śnieżnobiały wąs Hectora rozciągnął się w uśmiechu. – Ale gdybym miał jeden z tych superchipów, mógłbym sam grać duety flamenco.

– Już możesz grać duety. Flamenco masz w małym palcu. Słyszałem, jak śmigasz – stwierdził Ido. – A mówiłem ci, że każdy nowy cybernetyczny podzespół wymaga, by pewnych rzeczy nauczyć się od nowa.

– *Si, si, si...* – odparł Hector, rozciągając długie teleskopowe palce prawej dłoni. – Gdyby nie pan, siedziałbym w domu, przyglądając się moim kłykciom wielkości kurzych jaj, i marzył, żeby znów wziąć gitarę do ręki. To był dramat, serio. Ani trochę nie tęsknię za tamtymi starymi gnatami z mięsa i kości. Ale gdybym miał ten superchip... – Przybrał zboląłą minę. – Nie wiem, co mogę zrobić, żeby pan zrozumiał, ile by dla mnie znaczyła możliwość rozwoju. Mógłbym poświęcić następne lata muzyce, a nie walce z pogarszającymi się warunkami fizycznymi.

– U każdego z nas nadchodzi taki czas, że przestajemy się rozwijać. Musiałbyś

się z tym zmierzyć, nawet gdybyś przeszedł Pełną Wymianę – wyjaśnił Ido, starając się ująć to możliwie delikatnie. – Każdy od pewnego momentu zaczyna tracić sprawność, nie tylko muzycy. To samo dotyczy cyberchirurgów.

– No, ale chce pan tę chwilę odsuwać najdalej, jak się da, prawda? – spytał Hector.

Ido się uśmiechnął.

– Oczywiście.

– A mimo to nie ma pan ulepszeń – powiedział Hector, wykonując gest w stronę ciała Ido. Po chwili zrobił speszoną minę. – Nie miałem na myśli nic niemilego.

– Nie, właściwie masz rację – stwierdził doktor, podśmiewając się. – Pewnie wygląda to trochę dziwnie, że wszyscy moi pacjenci mają cyberulepszenia, a ja nie. Powiedz, tobie osobiście to przeszkadza?

– Jasne, że nie – odparł gitarzysta.

– Uważasz, że inni pacjenci mają mi to za złe? – spytał Ido.

Hector zastanowił się chwilę.

– Nie słyszałem, żeby ktoś narzekał. W poczekalni głównie rozmawiamy o motorballu. Za rok wszyscy będą się zachwycać Jashuganem. Zrobi większą karierę niż Grewishka, bo się nie stoczy.

– Miejmy nadzieję – powiedział Ido, poważniejąc na chwilę. Ostatni raz widział Grewishkę, jak były zawodnik schodził przez otwarty właz do kanałów ściekowych, gdzie według legendy przyszedł na świat.

– Chce pan, żebym popytał, co ludzie sądzą o tym pańskim braku ulepszeń? – spytał Hector.

– Szkoda twojego czasu. – Ido obniżył stół, by Hectorowi było łatwiej zejść. – Najbardziej mi zależy, żebyś wrócił na swoje stare miejsce na rynku. Chcę móc się chwalić, że znam cię osobiście, kiedy będę chodził po straganach i szukał serw.

Hector uśmiechnął się przepaszająco.

– Jak tylko odpracuję czas, kiedy nie mogłem grać...

– Zapłacisz mi, gdy będziesz mógł – Ido powiedział serdecznie, wtrącając się

w pół słowa. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć. A jeśli znowu coś ci się rozsynchronizuje albo będziesz miał jakikolwiek inny problem, przyjdź jeszcze raz. Zajmę się tym.

\*\*\*

Ido zapomniałby, że Hector wspomniał o superchipie, gdyby nie kolejny pacjent, który nie chciał rozmawiać o niczym innym. Tonio zbliżał się do trzydziestki, jeździł na rolkach i był kurierem firmy doręczycielskiej. W późnym wieku nastoletnim wymienił sobie stopy na cybernetyczne. Gdyby Ido znalazł osobę, która za to odpowiadała, całkiem prawdopodobne, że potraktowałby ją swoim młotem.

Nie chodziło nawet o kiepskie wykonanie, tylko o fakt, że nikt nie poinformował Tonia, co naprężenia wytwarzane przez nadludzko sprawne stopy zrobią z jego organicznymi biodrami i kolanami. Potrzebował teraz pary nowych nóg. Całe szczęście, że nie miał nic przeciwko wymianie tak dużego fragmentu ciała na mechaniczny odpowiednik.

– Ech, bo mój szef mówi, że Mercury pokryje jakieś trzy czwarte – przekazał doktorowi Tonio. – Mimo że nie pójdę z tym do ich kolesia.

– Ich kolesia? Tego samego, który wymienił ci stopy? – Ido musiał sięgnąć do pokładów siły woli, żeby nie okazać złości.

– Nie, inny – odpowiedział Tonio. – Tamten zbankrutował i zwiął. Nikt nie wie, co się z nim stało.

– Szczęściarz – wymamrotał Ido.

Poprosił Tonia, żeby położył się na stole uniesionym na taką wysokość, by wygodnie przyjrzeć się zespoleniu stóp z ciałem. Protezy były spięte z kostkami minimalną liczbą połączeń, wręcz Tonio miał szczęście, że się nie urwały. Na podstawie tego, co widział, Ido był pewien, że kurier ma ograniczone czucie. Do tego stopnia, że mógłby nadepnąć na gwóźdź i o tym nie wiedzieć. Ido od pewnego

czasu robił wszystko, co w jego mocy, by Tonio nie skończył w wózku inwalidzkim, ale biedne ciało pacjenta zbliżało się do kresu możliwości.

– Niech pan wyśle fakturę do szefów z Mercury’ego – kontynuował Tonio. – Chociaż pewnie zrobią panu ten numer z sześćdziesięciodniowym okresem spłaty. Zmuszają klientów, żeby płacili z góry, ale jak sami mają wyłożyć kasę, zawsze dają sobie sześćdziesiąt dni. Niby to sprawa księgowości.

– Potrzebuję, żebyś teraz przez chwilę zupełnie się nie ruszał – polecił mu Ido, przyciągając do stołu niedużą maszynę skanującą.

Tonio uniósł głowę, żeby zobaczyć, co doktor robi.

– Jeszcze ich pan nie odcina, prawda? – spytał lekarza, który wsuwał jego stopy do komory skanera.

– Nie, to jest skaner – zapewnił go Ido. – Dzięki temu będę miał pełny obraz, trzysta sześćdziesiąt stopni, zobaczę wszystkie połączenia od warstwy zewnętrznej aż do kości.

– Ale i tak w końcu odetnie mi pan nogi – zmartwił się Tonio.

– Tak, ale nie dzisiaj. Chcę zobaczyć, w jakim są stanie. Połóż się płasko, Tonio, i nie ruszaj stopami.

Pacjent wykonał polecenie.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli zrobić operację już niedługo. Nie planuję jeździć dla Mercury’ego do końca życia. To nie jest praca dla dorosłego mężczyzny.

– Aha. A jaka jest? – spytał Ido.

– Zatrudnię trenera i zapiszę się na kwalifikacje do motorballa. Jeśli dostanę jeden z tych superchipów, na pewno zarobię kupę kasy.

Ido, który właśnie odpychał skaner od stołu, zatrzymał się w pół ruchu. – Jakich superchipów?

– Na ostatnich kwalifikacjach widziałem na stadionie kolesia, co takiego miał, i to było nie do uwierzenia. Wszyscy inni wyglądali przy nim, jakby ruszali się jak mucha w smole.

– A co z jego koordynacją? – spytał Ido.

– Nie zdziwiłbym się, jakby zaczął tańczyć balet, żonglując piłami łańcuchowymi... Naprawdę szybko. Na sto procent chcę taki sam chip.

– Ale skąd? – spytał Ido.

– No... Stąd? Mam nadzieję. – Tonio trochę zwątpił. – Trzyma pan tu takie rzeczy, prawda? W sensie nowy sprzęt i oprogramowanie. Wiem, że nie pracuje już pan na stadionie, ale ma pan dojdzie do nowinek, nie?

Ido wziął głęboki oddech.

– Jeśli chcesz zawodowo grać w motorballa, będziesz musiał pójść na całość – wyjaśnił. – Wszyscy paladyni są pełnymi cyborgami. Ciało i krew nie przetrwałyby ani jednego okrążenia w rozgrywkach, nie mówiąc w ogóle o torze przeszkód.

– Jak dla mnie okej – oznajmił Tonio. – Superchip i tak nie współpracowałyby z mięsem, prawda?

Ido skrzywił się na te słowa.

– Ale nie wystarczy wymienić całego ciała. – Podjechał na taborecie do szczytu stołu, gdzie znajdowała się głowa Tonia. – Nie każdy pełny cyborg nadaje się do motorballa. I nie każdy paladyn robi karierę. Wielu tylko dorabia sobie w zespole sparingowym Fabryki.

*Albo odpada, zanim wystartuje chociaż w jednym wyścigu,* dodał w myślach.

– Wiem – powiedział Tonio, podpierając się na łokciu. – Trzeba być wysportowanym i lubić rywalizację. Z superchipem miałbym wszystko, co trzeba, normalnie tort z bitą śmietaną i wisienką na górze. Takie ulepszenia to ja rozumiem. Tak ludzie musieli się czuć, kiedy wszędzie trzeba było chodzić, a tu nagle ktoś wynalazł samochód.

Ido chciał dać Tonio lekcję historii, ale uznał, że żaden z nich na tym nie zyska.

– Nie wiem, kto go wymyślił, ale teraz ma go Vector – kontynuował Tonio. – Ten koleś zmasakrował zespół sparingowy, jakby przeciwnicy byli z papieru. Vector zapisał go do jednej ze swoich drużyn.

– Bo Vector na pewno nie zapłaciłby graczom Fabryki, żeby się podłożyli – stwierdził sceptycznie Ido.

– Ha, ha! – Tonio roześmiał się. – Ale nie tamtej nocy. Można kogoś przekupić,

żeby ruszał się wolniej, ale nie szybciej, a już na pewno nie o tyle szybciej. Koleś tak prędko śmigał, że musieli puszczać powtórkę w zwolnionym tempie, bo inaczej nie widzieliśmy, co robi.

Ido wciąż nie dowierzał. Wokół motorballa zawsze krążyły plotki na temat nowych leków i graczy o niesłychanych talentach i ulepszeniach, nowatorskim osprzętowaniu, dzięki któremu pierwsza z brzegu metalowa statua mogła pretendować do tytułu ostatecznego mistrza. Niezmiennie historie te okazywały się przejawskrawieniami albo niespełnionymi fantazjami rozpalonych zagorzałych fanów, którzy wciąż żyli wspomnieniami o czasach, gdy Grewishka piął się po szczeblach kariery.

Ido dokonał kilku poprawek w konfiguracji stóp Tonia i ustalił z nim harmonogram instalacji cybernetycznych nóg. Kiedy odprowadzał go do drzwi, Tonio wciąż opowiadał o superchipie.

Następną pacjentką była dwunastoletnia dziewczyna o imieniu Courage. Straciła prawą rękę po tym, jak wykryto u niej raka kości. Niedawno przeszła okres szybkiego wzrostu i potrzebowała, by trochę wydłużyć jej cybernetyczną protezę. Wpadła na wizytę ze swoją siostrą, Spirit, która chorowała na tego samego raka, ale kiedy zaproponowano jej amputację, zdecydowała się wymienić wszystkie kończyny. Jej tułów póki co trzymał się nieźle i Spirit nie wspominała o planach dalszych zmian. Ido wiedział jednak, że w miarę upływu czasu ból organicznych części ciała może zmienić jej nastawienie i na wszelki wypadek sumiennie aktualizował jej dokumentację medyczną. Obie siostry zachowywały się niezwykle dziewczęco, co sprawiało mu przyjemność. W pewien sposób przywiodły do kliniki ducha jego córki i na krótki czas sprawiały, że zmarła wydawała mu się bardziej obecna. Dziś miał nadzieję, że pacjentki pozwolą mu oderwać się od wałkowanego tematu motorballowego debiutanta o niemożliwych, wydawać by się mogło, możliwościach sprzętowych. Zapomniał jednak, że nawet najbardziej dziewczynskie dziewczyny bywają fankami najpopularniejszego sportu w Mieście.

– No więc oglądałam kwalifikacje na jumbotronie w centrum – powiedziała Spirit, która pólleżała obok siostry na jednym z foteli dentystycznych. Miała

ciemnobrązową skórę i grube, sięgające bioder warkocze zebrane z tyłu głowy szeroką opaską ze złotej lamy. Obie dziewczyny były za młode, by znać jego córkę, ale Ido wiedział, że gdyby żyła, błagałaby Spirit, by zaplotła jej własne, znacznie rzadsze włosy do ramion. A może zapragnęłaby loków takich, jakie miała Courage.

– I normalnie nie wierzyłam, co widzę! – opowiadała dalej Spirit. – Zadzwoiłam do Courage i kazałam jej przyjść na stadion, zanim pójda po rozum do głowy i każą płacić za bilety!

– Kwalifikacje można oglądać za darmo – wtrąciła Courage.

– Wiem – wymamrotał Ido, sprawdzając, czy poprawnie umieścił bark dziewczyny w pierścieniu stereotaktycznym. Mógł jej kazać położyć się na stole, ale doświadczenie nauczyło go, że kiedy sadzał młodszych pacjentów w fotelu, mniej się wiercili.

– Potem byłam mega wdzięczna, że po mnie zadzwoniła – powiedziała Courage – bo nigdy w życiu bym jej nie uwierzyła. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak szybkiego. I wyglądał bosko.

– No, niezłe z niego ciacho – zgodziła się Spirit. – Ale i tak chciałabym kiedyś spotkać na żywo Jashugana i Kinubę...

– Zaklepuję Kinubę! – zachichotała Courage.

– Na pewno nie pozwoliłabym temu koleśowi zbliżyć się do ciebie – powiedziała Spirit. – Jak już, to umów się z Jashuganem.

– Matko! W życiu. To by było tak, jakbym poszła na randkę z własnym ojcem.

– Musisz przestać się ruszać – nakazał jej Ido. – Chyba że chcesz, żeby ręka wystawała ci z ucha.

– Byle mi jej pan nie podłączył do cycka! – zaśmiała się Courage, potrząsając swoimi krótkimi lokami.

– Courage, wiesz co? Byś się wstydziła – dodała Spirit. – Żeby tak mówić do doktora? On jest dżentelmenem. Zobacz, co zrobiłaś, cały się zaczerwienił! Przepraszam – rzuciła, odwracając się do Ido, który spalił buraka. – Staramy się wychować ją na ludzi, ale te dzieciaki teraz to wie pan. Przegrana sprawa. W każdym razie tak twierdzi nasza mama.



Ido się uśmiechnął. Jego twarz wciąż pokrywał rumieniec. Naprawdę musiał sprawić sobie pielęgniarkę. W cywilizowanym społeczeństwie żaden lekarz nie zajmował się pacjentami bez asysty. Ręka dla Gerhad była gotowa. Wystarczyło udać się z wizytą, albo dzisiaj przed wyjściem do drugiej pracy, albo jutro rano, zanim otworzy klinikę.

– Imię też ma super – stwierdziła Courage. – Ten koleś z superchipem.

– Tak? – odpowiedział uprzejmie Ido, instalując łączniki pomiędzy barkiem dziewczyny a cybernetyczną ręką.

– Chase – ogłosiły jednocześnie pełnym uniesienia tonem.

– Vector już podpisał z nim kontrakt – dodała Courage. – Zgarnia wszystkich najlepszych zawodników.

– Kinuba nie będzie się ścigał dla niego – przypomniała jej Spirit. – Hej, doktorze, pan kiedyś pracował na torze, prawda? Założę się, że paladyni tęsknią za panem. Chodzi pan czasami na widownię?

– Nie – odpowiedział Ido, nie odrywając wzroku od tego, co robił. *I proszę, nie pytaj, dlaczego*, dodał w myślach, kończąc dopasowywać powiększone zakończenie kończyny Courage do jej barku. Większość ludzi wiedziała, co się stało jego córce, niemal wszyscy stali pacjenci słyszeli też, że Chiren go zostawiła. Zdania co do tego, które z tych wydarzeń spowodowało, że przestał się zajmować zawodnikami motorballa, były podzielone. Ido jednak nie obchodziły sądy innych, byle nie musiał o tym rozmawiać.

– Courage, przykro mi, ale wciąż za dużo się ruszasz – powiedział. – Proszę, postaraj się siedzieć nieruchomo. Jeśli się pomyłę w instalacji okablowania, będziesz podnosiła rękę za każdym razem, kiedy zechcesz zamrugać.

– Przepraszam – odpowiedziała. – Będę grzeczna... No, postaram się.

– Oj, doktorze, założę się, że pan ani razu w życiu się nie pomylił. – Spirit zachichotała. – Na pewno jest pan najmądrzejszym człowiekiem na świecie, a przynajmniej w Mieście Złomu.

– To bardzo miłe z twojej strony. – Ido poczuł, że twarz znów go piecze. – Ale w naszym otoczeniu jest wiele bardzo inteligentnych osób, więc według rachunku

prawdopodobieństwa co najmniej kilka powinno być mądrzejszych ode mnie.

– Wątpię. – Spirit nie zgodziła się i roześmiała jeszcze raz. – Przynajmniej ja nikogo takiego nie spotkałam. Pochowali się czy co?

– No – powiedziała Courage. – Przed tobą. Każdy, kto ma chociaż trochę oleju w głowie, ucieka na drzewo, jak cię widzi.

– Jesteś martwa – Spirit obiecała siostrze. – Serio. Jak tylko zwleczesz tyłek z tego krzesła, koniec z tobą.

\*\*\*

Ido musiał przerwać pracę nad ręką Courage, żeby naprawić autonomiczny układ sterujący pracownika Fabryki, który dostawał napadów hiperwentylacji. Po upewnieniu się, że pacjent nie cierpi na niezdiagnozowaną nerwicę, doktor szybko znalazł przyczynę problemu, okazał się nią wadliwy odcinek kabla. Naprawił usterkę, dla świętego spokoju wymieniając też wszystkie sąsiadujące łącza, a na koniec poprosił mężczyznę, żeby został na dwie godziny na obserwacji.

– Jeśli uważa pan, że muszę, to zostanę – odparł pacjent i usadowił się wygodnie w jednym z foteli dentystycznych z odchylanymi oparciami. – Ale czuję różnicę. Przez chwilę myślałem, że może jakiś żartowniś z centrum zaopatrzeniowego w południowej dzielnicy wstawił mi do płuc jakiś superchip czy coś.

Spirit i Courage natychmiast się ożywiły.

– Też pan widział kwalifikacje? – spytała Spirit.

– Jasne – odparł pracownik Fabryki. – Normalnie nie oglądam, ale cieszę się, że tym razem zostałem. Nie wierzyłem własnym oczom! Najszybszy człowiek, jakiego w życiu widziałem. Niektórzy mówią, że będzie równie dobry co Grewishka, ale moim zdaniem jak on zrobi karierę, to ludzie zapomną, że Grewishka w ogóle istniał...

Ido starał się nie słuchać, co mówią, ale nie każdego mógł tak ignorować.

Zanim dzień pracy, który wydłużył się o dwie godziny, dobiegł końca, wysłuchał tyłu plotek i historii na temat superchipów, że wszystko zaczynało mu się mieszać: koleś był egzemplarzem beta-testowym zupełnie nowej serii paladynów, superchip został wykradzony z laboratorium medycznego, w którym Fabryka opracowywała superżołnierzy na wypadek kolejnej wojny, chłopak z superchipem był w rzeczywistości zagubionym mitycznym żołnierzem ze Zjednoczonej Republiki Marsjańskiej, Fabryka zamierzała zastąpić centurionów cyborgami wyposażonymi w superchipy.

Ido w końcu się poddał i nakazał swojej konsoli odtworzyć fragment kwalifikacji. Zakładał, że zobaczy mężczyznę wykonującego gimnastyczne akrobacje pod wpływem silnej dawki amfetaminy, być może z dodatkiem psychotropowego słodzika. Tymczasem to, co pojawiło się przed jego oczami, sprawiło, że włosy zjeżyły mu się na karku.

Cyborg pędzący po torze wyglądał na mniej więcej dwudziestolatka. Miał krótkie, sterczące czarne włosy i opaloną skórę. Trudno było przyjrzeć się jego twarzy, bo poruszał się jak na szybko przewijanym obrazie wideo, tylko bardziej płynnie. Jeśli to nie była jakaś sztuczka, komuś udało się osiągnąć to, do czego Ido sam dążył, na razie nie mogąc poszczycić się sukcesem. Ktoś opracował chip pozwalający dopasować cybernetyczne ciało do szybkości myślenia ludzkiego mózgu.

Ido tak bardzo zmęczył się próbami rozwiązania kontroli nad chipem, że postanowił zrobić sobie przerwę od pracy i zamknąć wynalazek na jakiś czas w sejfie. Kiedy wykorzystywał novum w organicznych ciałach zintegrowanych z nie więcej niż kilkoma cybernetycznymi elementami, chip działał dobrze, ale tylko przez pewien czas. Wyniki pierwszego wirtualnego testu napełniły go optymizmem. Potem jednak zupełnie bez ostrzeżenia układ zaczął za szybko przewidywać ruchy i kierować ciałem w większym stopniu niż wola jego posiadacza. Ido przetestował różne konfiguracje i ustawienia, ale chip niezmiennie prześcigał ludzki mózg.

Kiedy zapewniło mu się całkowicie cybernetyczne ciało zintegrowane

z organicznym układem nerwowym, działał lepiej, ale też tylko przez pewien czas. Po prostu dłużej zajmowało mu osiągnięcie stanu, w którym odbierał człowiekowi autonomię. Konkretnie jak długo – to zależało od warunków. W wirtualnych eksperymentach funkcjonował maksymalnie przez autonetyczny odpowiednik dwóch miesięcy. W niektórych konfiguracjach nerwowych przejmował kontrolę już po kilku dniach.

Ido rzadko przerywał pracę nad swoimi przedsięwzięciami na dłużej niż tydzień. Tym razem jednak minęły dwa tygodnie, odkąd umieścił chip w sejfie i wciąż nie miał ochoty do tego wracać. Zaczęło mu się wydawać, że sięga po coś niemożliwego – materiały, którymi dysponował, zwyczajnie nie pozwalały tego osiągnąć. Ale najwyraźniej się mylił. Ktoś osiągnął to, czego on nie potrafił.

Chiren. Przecież to musiała być ona.

Chip nie był ich wspólnym dziełem, ale trochę mu przy nim pomogła. Wiedziała, z czego zbudował wynalazek i do czego Ido dążył, a Vector mógł dla niej zdobyć o wiele lepsze materiały i lepiej wyposażoną pracownię. W rezultacie potrafiła zrealizować każdy pomysł byłego męża lepiej i szybciej. I pewnie jeszcze w kilku atrakcyjnych kolorach do wyboru.

Ido nie miałby jej tego tak bardzo za złe gdyby nie to, że zrobiła to dla Vectora, jakby nie było na świecie nic ważniejszego od zaspokajania jego zachcianek. Starła się wkupić w łaski króla zalemskiego śmietnika z takim zapalem... Ktoś mógł pomyśleć, że ważniak ma jej do zaoferowania coś więcej niż śmieci.

Bo miał – i już to od niego dostała. Vector mógł jej dać to, co wykradł z dostaw dla Zalemu. Mógł jej sprezentować śmieci, które jeszcze nie zostały wyrzucone.

Po wyjściu ostatniego pacjenta Ido postanowił odłożyć wizytę u Gerhad do rana i udać się prosto na drugą zmianę.

\*\*\*

Jego celem tej nocy był wyjątkowo wredny blaszak polujący na pary. Nie robiło

mu różnicy jakie: stare, młode, homo, hetero. Pary przyjaciół omijał, ale wszelkie przejawy czułości, nieważne, czy całowanie, czy zwykłe trzymanie się za rękę, pomstowały w jego chorym mózgu o karę śmierci.

Dotychczas ten Rozswat – takie miano figurowało w liście gończym – zaatakował sześć par. Przeżyły tylko dwie osoby – mężczyzna z drugiego ataku i kobieta z piątego. Oboje niewiele pamiętali, ale z niej udało się wydobyć ogólnikowy opis napastnika.

Analiza lokalizacji, w których doszło do napaści, podpowiedziała Ido, gdzie znajdują się ulubione tereny łowieckie Rozswata. Agresor zaatakował w kilku miejscach, ale preferował okolice ruin starej katedry. Minął dłuższy czas, od kiedy zabójca ostatni raz pozbawił tam kogoś życia, ale Ido był pewien, że prędzej czy później blaszak tam wróci. Łowca głów postanowił sprawdzić, czy może stanie się to dziś.

Za Rozswata dawali pięćdziesiąt pięć tysięcy kredytów – niezła sumka zapewniłaby egzystencję klinice i pozwoliłaby mu opłacić pielęgniarkę. Może nawet zostałyby coś na materiały, dzięki którym mógłby rozpocząć drugie podejście do chipa.

\*\*\*

*Czy to cholerne kółko musi tak skrzypieć*, przeklął w myślach Ido, ciągnąc walizkę po mrocznych ulicach. Potrafił powiększyć cybernetyczną rękę dwunastolatki, dać drugie życie gitarzyście i naprawić autonomiczny układ nerwowy innego człowieka, ale przerastało go głupie kółko. Pewnego dnia wpakuje się przez nie w zasadzkę i będzie miał przejebane.

Przystanął, żeby się zorientować, gdzie jest, po czym ruszył w stronę postrzępionej sylwetki zrujnowanej katedry. Rozswat lubił to miejsce ze względu na kamienie. Były wygodne do trzymania i ciężkie, doskonałe do roztrzaskiwania głów. Ido udał się na drugą stronę ruin, gdzie w cieniu zewnętrznego muru znalazł

skrawek płaskiej powierzchni pokrytej kępiastą trawą – dobre miejsce, żeby otworzyć walizkę.

Inny łowca głów, próżny sukinsyn o imieniu Zapan, powiedział Ido, że broń, która wymagała złożenia przed użyciem, była absurdalną stratą czasu i wysiłku. Śmierć mogła przyjść niespodziewanie, zanim łowca wsunie bolec A w otwór B. Doradził Ido, by znalazł sobie inną broń albo inną fuchę.

Nikomu jeszcze nie zaszkodziło posłuchanie tego, co Zapan miał do powiedzenia, więc Ido postanowił nie protestować. Miał już przecież inne zajęcie poza łowieniem, a jeśli chodzi o broń, to istniała szokująco szeroki asortyment narzędzi stworzonych specjalnie w celu usuwania ludzi z tego świata. Ido wypróbował zasadniczo wszystkie rodzaje uzbrojenia, które mieli w ofercie miejscy handlarze. Legalne i nielegalne. A potem wrócił do domu i zbudował młot raketowy.

Konstruowanie oręża stało w zupełnej sprzeczności z zasadami, jakie wyznawał jako lekarz. Patrząc jednak z drugiej strony, zabójstwo jego córki było pełnym zaprzeczeniem tego, w co wierzył jako ojciec. Może to się jakoś równoważyło.

Cóż, nie do końca. Klinika miała mu służyć za odskocznię, ale nic na świecie nie mogło mu wynagrodzić śmierć córki. Zrobił więc to, co mu pozostało. Zadbał, by zabójca już nigdy nie wyszedł z domu. A potem zaczął sprzątać ulice z nadzieją, że zabijając morderców, oszczędzi innym rodzicom przygnębiającego wynaturzenia, jakim była konieczność pochowania własnego dziecka. Tę chorobę mógł wyleczyć tylko na etacie łowcy głów, nie lekarza.

Nie był pewien, skąd wziął pomysł na młot raketowy ani co sprawiło, że w ogóle przyszła mu do głowy taka myśl. Naszkicował broń na papierze, a potem przeniósł rysunek komputera, korzystając z programu do projektowania inżynierskiego. Konstrukcja nastęczyła mu wiele trudności – zanim zabrał się za chip, była to najbardziej skomplikowana rzecz, jaką zbudował.

Ido wyciągnął dwie główne części z futerału wyłożonego pianką. Dolna połowa składała się z trzonu z rękojeścią wyposażoną w przyciski sterujące, górna z drugiej połowy trzonu i obucha. Łącząc je, poczuł w dłoniach wibracje i przepełniło go

wrażenie siły. Ścisnął mocniej trzon i przesunął wzrokiem po całej długości broni.

Kształt obucha objawił mu się w swego rodzaju wizji. Jedna strona była tępo zakończona i doskonała do rozbijania i miażdżenia. Drugą stanowił błyszczący, solidnej grubości walec z niezwykle twardego metalu, który zwężał się ku bardzo ostremu końcowi idealnemu do zadawania nienaprawialnych uszkodzeń. W tępej stronie znajdowały się dysze napędowe, dzięki nim, kiedy Ido uderzał szpikulcem, wkładał w cios więcej niż tylko siłę własnych rąk. Tępa strona też zawierała kilka niewielkich silników. Wciśnięcie odpowiedniego przycisku na rękojeści zmieniało jedno uderzenie w kilka jak w młocie pneumatycznym.

Młot wyszedł cięższy, niż Ido zamierzał, a niestandardowe rozwiązanie sterowania powodowało, że śmiertelne narzędzie było też bardziej skomplikowane niż wszystkie znane mu systemy broni, może poza cybernetycznymi ogarami McTeague'a. Dlatego łatwiej było transportować młot w walizce. Ido to nie przeszkadzało – ciągnąc bagaż za sobą, nie wyglądał na łowcę, tylko niegroźnego ekscentryka. Cele, które uciekały przed Zapanem i jemu podobnym, rzadko poświęcały mu uwagę. Dawało mu to przewagę w postaci elementu zaskoczenia.

Byli jednak przestępcy, którzy nie uciekali przed nikim. Wydawało im się, że są nietykalni. Ido usłyszał ludzkie głosy dochodzące z katedry – mężczyznę i kobietę błagających o litość oraz drwiący śmiech, tak głośny i piskliwy, że mógłby tłuc szkło.

Nie mógł się nadziwić, że wszyscy zabójcy, choć fizycznie bardzo się różnili, mieli tę samą niepowstrzymaną potrzebę bawienia się ofiarami dla czystej sadystycznej przyjemności.

Oparł walizkę o mur katedry i zaczął się, żeby zobaczyć, czy cyborg planuje zabić parę wewnątrz, czy wyciągnąć ją na trawę i poznać się jeszcze trochę. Psychopaci raczej nie przejmowali się takimi drobiazgami jak uświęcony charakter miejsca, gdzie mordowali. Rozswat pewnie nie był nawet świadom, co to jest katedra. Wiedział tylko, że leżało tam wiele ciężkich kamieni; przyjemnie rozbijało się nimi czaszki.

Nagle przez jeden z łukowatych otworów, gdzie niegdyś tkwiły okna, wyleciał mężczyzna. Lądując, wydał jęk bólu, a kiedy próbował się pozbierać, Ido ocenił, że nieszczęśnik ma co najmniej sześćdziesiąt pięć lat. Udało mu się podnieść na kolana, ale za bardzo kręciło mu się w głowie, żeby wstać. Miał wybity bark. Ido skrzywił się ze współczucia – na pewno bolało jak cholera, nawet bardziej niż złamany nos, który krwawił tak obficie, że mężczyzna musiał zażywać leki na rozrzedzenie krwi. Ten człowiek musiał jak najszybciej trafić do szpitala.

Mężczyzna, dostrzegając kogoś w cieniu muru, rozdziawił usta. Ido wymownie pokręcił głową i przyłożył palec do ust, po czym uniósł młot, by dać do zrozumienia, że jest łowcą. Sekundę później przez okno wypadła kobieta i potoczyła się po ziemi. Cicho stęknęła, ale nic poza tym. Mężczyzna jeszcze raz spróbował wstać, ale żona podniosła się pierwsza i podeszła do niego łatwo rozpoznawalnym krokiem osoby wyposażonej w cybernetyczne nogi. Mogła bez trudu uciec, udać się po pomoc, ale nie chciała go zostawić. Ido poczuł w sercu ukłucie i w myślach nakazał sobie wziąć się w garść. Był tu, żeby uratować tych ludzi, a nie zazdrościć im udanego związku.

Rozswat wyskoczył przez okno i wylądował naprzeciw pary.

– Nie wiem, czy już was dość roztlukłem. – stwierdził piskliwym głosem kogoś, kto ewidentnie postradał zmysły. – Stare mięso jest takie żylaste... Jak suszona wołowina z kawałkami metalu. O tobie mówię, skarbie – dodał, wskazując gestem dłoni partnerkę mężczyzny.

Kobieta wstała i podniosła oburącz kamień o nieregularnym kształcie prawie tak wielki jak jej głowa. Wzięła zamach, żeby nim cisnąć, choć nie mogło to wiele dać.

– Ooo! Przyda mi się! – Rozswat się ucieszył. – Rzuć mi go!

Jego palce strzykały, kiedy je prostował. Zamierzał zabić kobietę najpierw – dla Ido było to tak oczywiste, jakby nad głową cyborga wisiał neon tłumaczący, co się stanie. Zabije kobietę, żeby udręczyć męża, poodrywa jej kończyny jak wredny dzieciak znęcający się nad muchą, a na koniec zmiażdży jej głowę kamieniem, który trzymała. Rozlegnie się przy tym obrzydliwy dźwięk.



A facet się nie ruszy. Nie zostawiła go, więc on też jej nie opuści. Inna sprawa, że nie miał jak. Był sparaliżowany bólem, dygotał, ledwo utrzymywał się na kolanach. Zginęliby dla siebie i ze sobą, a Rozswat nienawidził ich za to tak bardzo, że z ledwością się kontrolował.

Dość się nacierpieli. Ido wyszedł z mroku, dzierżąc młot.

– Ej, konserwo! – krzyknął. – To może parę rundek ze mną, co?

Rozswat odwrócił się błyskawicznie, na jego widok Ido podskoczyło tętno. Cyborg był bezładną składanką kompletnie niedopasowanych części – nawet oczy miał różnej barwy i wielkości. Jedna ręka przypominała sklecony naprędcze szkielet kończyny, druga miała osłony tłoczone na kształt ludzkiej muskulatury, ale zamiast dłonią kończyła się ostrzem w kształcie kosy. Prawa noga była taką gmatwaniną, że Ido zdziwił się, że w ogóle działa. Za to lewa wyglądała zupełnie normalnie, choć Ido widział ją wcześniej u członka motorballowego zespołu sparingowego Fabryki. Zawodnik, do którego należała, zniknął, kiedy został usunięty z drużyny i słuch po nim zaginął. Najwyraźniej sprzedał się na części... Albo to był on i z oryginalnych części została mu tylko ta noga. Ido bardzo pragnął, żeby to drugie nie było prawdą.

Przez umysł doktora przemknął fragment ludzkiej historii: koncepcja samoistnego stworzenia. Ludzie żyjący w czasach mniejszej wiedzy wierzyli, że brudna koszula pozostawiona w pudle dawała początek myszom, a muł na dnie jeziora przeistaczał się w ryby. Ido prawie był skłonny uwierzyć, że Rozswat i jemu podobni formowali się w cieniu Zalemu na wysypisku śmieci wymieszanych ze stęchłym powietrzem i poczuciem beznadziei.

Ido odepchnął tę myśl w tej samej chwili, w której Rozswat zaskowyczał i rzucił się na niego.

Łowca uderzył tępą stroną młota i podciął cyborgowi nogi.

– Dalej! Uciekajcie! Idźcie do szpitala! – krzyknął do pary, która stała na chodniku jak zahipnotyzowana. Jego następny cios posłał tępą stroną obucha w amatorsko skleconą nogę cyborga, a ta eksplodowała na setki metalowych fragmentów.

– Zabiję cię! – wrzasnął Rozswat i zamachnął się na Ido, ten przepuścił uderzenie nad głową i rąbnął cyborga w bark, aktywując pneumatyczne wspomaganie. Mechaniczna ręka wypadła ze stawu, odsłaniając kable.

Ido zerknął na miejsce, gdzie wcześniej stała para. Poprawka: wciąż stała. *Cholera*. Rozswat próbował podnieść się na nogi, ale Ido zdzielił go jeszcze raz, tym razem w środek tułowia.

– Jazda do szpitala! – warknął wściekle.

Kobieta popchnęła mężczyznę i ruszyli chodnikiem. Ido wiedział, że są w szoku, ale nie potrafił opanować irytacji. Czy naprawdę sądzili, że nic im nie grozi, bo ktoś zaczął tłuc napastnika? Nie rozumieli, że potrzebują opieki lekarskiej? Nie wiedzieli, że muszą się udać w bezpieczne miejsce?

Bezpieczne miejsce? A coś takiego w ogóle istnieje?

Ido jeszcze raz łupnął cyborga w klatkę piersiową, krusząc pokrywający ją pancerz. Rozswat wciąż jednak groził, że go zabije, jakby nie rozumiał, że już po nim. Ido roztrzaskał jego drugie kolano, przełamał mu nogę w pół.

Niedoszły zabójca przewrócił się na plecy, ale wciąż machał w stronę Ido działającą ręką. Łowca zmiażdżył mu miednicę, rozrywając splot połączeń, który przez nią przechodził, i uniósł młot, żeby roztrzaskać dolną połowę tułowia.

*I kto teraz bawi się z ofiarą?*, wyszeptał złośliwie głos w głębi jego głowy. *A może naprawdę cię to kręci?*

Ido odwrócił młot szpicem w dół, wziął zamach, celując w szyję Rozswata i uruchomił dysze rakietowe. Głowa cyborga odłączyła się od ciała z młaśnięciem, które sprawiło, że Ido zrobiło się trochę niedobrze. Włożył trofeum do torby, po czym wyczyścił młot i schował go do futerału.

Ruszył w stronę Fabryki, żeby zdać głowę Rozswata w kwaterze głównej łowców, po drodze zahaczając o dom, gdzie odstawił walizkę. Deckman ani mu nie podziękował, ani nie pogratulował dobrze wykonanego zadania i usunięcia z ulicy groźnego zabójcy. Deckmani nigdy nie dziękowali. Wyglądali jak kosze na śmieci z kreskówkowymi minami i nikt nie wiedział, co właściwie robią poza tym, że ludzie czuli się w ich towarzystwie nieswojo. Ido w ogóle to nie obchodziło.

Interesowały go tylko obiecane pieniądze.

Wydawało mu się, że spędził na łowach całą noc, ale okazało się, że do świtu zostało jeszcze kilka godzin.

Jak zawsze.

## ROZDZIAŁ 12

Nad czym jeszcze pani pracuje?

Chiren uniosła wzrok znad trójwymiarowego schematu unoszącego się nad jej stołem roboczym i spojrzała na młodego mężczyznę. To jej asystent, tylko który? Dave? George? A, nie – Theo. Ten, który miał piegi na czubku nosa.

– Słucham? – spytała chłodnym, formalnym tonem.

– Po prostu mnie ciekawiło – wyjaśnił Theo.

Był całkowicie pozbawiony owłosienia, jak wszyscy asystenci. Nie miał nawet brwi i rzęs. Vector powiedział im, że to jedyny sposób, by utrzymać higienę wewnątrz laboratorium, choć było oczywiste, że zmyślił to, by dać im do zrozumienia, że są jego własnością. „Jej” asystenci byli tak naprawdę jego i nie wolno im było nawet mieć włosów, jeśli on nie wyraził na to zgody.

Jeśli asystenci kiedykolwiek zastanawiali się, dlaczego jej włosy nie łamały zasad laboratoryjnej higieny, nie zdradzili się z tymi wątpliwościami. Rzadko zadawali pytania, które nie kręciły się wokół tematów: „jak wysoko?” albo „w jakim kolorze?”. Okazywali mniej więcej tyle charakteru, co deckmani. Zresztą gdyby Vector potrafił zastąpić ludzi fabrycznymi cyborgami, zrobiłby to już dawno. Ona by się ostała, rzecz jasna, chyba że Fabryka opracowałaby specjalnego deckmana płci żeńskiej łączącego talent do cybernetyki z umiejętnościami łóżkowymi. Wtedy być może straciłaby posadę.

– I co konkretnie cię „zaciekawilo”? – spytała asystenta jeszcze chłodniejszym głosem.

Odczytywanie emocji mężczyzn bez owłosienia na twarzy czasami sprawiało

jej trudności, tym razem jednak widziała, że Theo żałował swojej decyzji. Zamiast szukać sobie zajęcia, mógł trzymać gębę na kłódkę i cieszyć się nudą.

– Eee... Co mogłoby się pani przydać przy instalowaniu modyfikacji zaplanowanych na dzisiejszy wieczór – powiedział, starając się brzmieć jak użyteczny pracownik, którego Chiren nie każe Vectorowi zwolnić.

– Nieprawda – powiedziała stanowczo. – Chciałeś wiedzieć, nad czym pracuję poza tym, że nad paladynami, prawda?

Biedny Theo nie potrafił ustać nieruchomo pod naporem jej spojrzenia.

– Wiem, że dawniej zajmowała się pani dużo ogólną cybermedycyną – powiedział.

– W klinice mojego męża. Zanim przyszedłam tu na stałe. Zanim straciłam córkę.

– Nie chciałem wchodzić z panią na takie o... osobiste tematy – wyjaśnił asystent, z jego twarzy biły żal i desperacja. – Ani poruszać spraw, o których nie ma pani ochoty rozmawiać z kimś takim jak ja.

– Z kimś takim jak ty? Czyli z kim konkretnie? – Chiren postanowiła być bezlitosna. – Z kimś, kogo ledwie znam? Z kimś, kogo zatrudniam, żeby mył zlewki i sterylizował narzędzia? Czy z kimś na tyle nieogarniętym, że uważał za stosowne spoufalanie się z lepszymi od siebie?

Theo wbijał wzrok w podłogę.

– Eee... To może pójde pozmywać zlewki.

– Dobry pomysł. W laboratorium musimy dbać o higienę. – Skupiła wzrok z powrotem na schemacie. – Pozmywaj wszystkie zlewki. A jak skończysz, pozmywaj całą resztę.

– Już, pani doktor. – Chłopak prawie pobiegł w stronę zaplecza.

Chiren stwierdziła, że to było podłe, nawet jak na nią. Nieważne. Każdemu kotu potrzebny był drapak, a każda dusza musiała wiedzieć, czy była tym pierwszym, czy drugim.

Warto było mieć świadomość, gdzie się pasowało, jakie miejsce zajmowało się w hierarchii. Vector był królem kubłów na śmieci. Ona miała za zadanie utrzymać go na śmietnikowym tronie i zasłużyć na nagrodę za dobrze wykonaną pracę.

Asystenci byli jedynie narzędziami i dla wszystkich będzie najlepiej, żeby nie przychodziły im do głów żadne głupie pomysły. Niech sobie nie wyobrażają, że ją znają, tylko dlatego, że dla niej pracowali. O rozchodzonych butach nie można było powiedzieć, że znały swojego właściciela.

Właśnie: te cholerne szpilki wciąż były dość sztywne po siedmiu dniach ciągłego noszenia. Chodziło się w nich najmniej wygodnie ze wszystkich par, które dotychczas miała, ale Vector uwielbiał ją w szpilkach i regularnie dawał jej nowe. Nudziły ją. Wszystkie wyglądały zasadniczo tak samo.

Prawidłowość, że wszystko zaczynało ją nudzić, dotyczyła wielu kwestii w Mieście Złomu. Tylko motorball niezmiennie ją interesował. Budowanie czempionów to jedyne, co nie wydawało się jej śmiertelnie nudne, jedyne, co była w stanie znieść, czekając, aż Vector wywiąże się z obietnicy i wyśle ją z powrotem do Zalemu.

Zdarzało się jednak, że nawet ta praca ją męczyła. Albo wręcz sprawiała jej ból. Chiren usiadła i powoli pokręciła głową, żeby rozluźnić kark. Ido bez pytania podszedłby, żeby wymasować jej ramiona – zacząłby od mięśni u nasady szyi i posuwałby się ku łopatom. Westchnęła na samo wspomnienie o uczuciu, które temu towarzyszyło. Teraz pozwalała się teraz dotykać tylko jednemu człowiekowi, był nim Vector, a on nie fatygował się z masażem, nie poza sypialnią. Zatrudniłby masażystę, gdyby poprosiła, ale nie pozwoliłby jej trzymać go na podorędziu w laboratorium.

Tak naprawdę wcale nie potrzebowała masażu. Potrzebowała pomocy kogoś, kto dorównywał jej intelektualnie, a pod względem niekonwencjonalnego myślenia i nietypowych rozwiązań nawet ją przewyższał. W Mieście Złomu żyła tylko jedna taka osoba i Vectorowi nie spodoba się to, co chciała zrobić. Jej też się nie podobało.

Choć z drugiej strony, wiedziała, że Vector wciąż chciał odzyskać Ido. Gdyby doktor przyszedł do byłego szefa z pytaniem, czy może z powrotem najać się do pracy na stadionie, Vector chętnie by go przyjął. Pewnie chrząkałby i wzdychał, żeby zobaczyć, czy uda mu się zmusić Ido do błagania, i okantowałby go przy

wyliczaniu wynagrodzenia, ale wzięłby go z powrotem.

Może jeśli Ido zobaczy jej pierwszorzędne wyposażenie, sam zmieni zdanie na temat motorballa. Wciąż był w żałobie i Chiren wiedziała, że były mąż nigdy sobie nie wybaczy. Ale może przemówi do niego wizja dostępu do dobrego sprzętu, najnowszych technologii i najlepszych materiałów. Bez względu na to, co się stało, iskra pasji żarząca się w głębi jego serca nigdy nie zgaśnie. Doktor neurochirurgii Dyson Ido pozostanie naukowcem do końca swych dni.

Chiren wybrała jego numer.

\*\*\*

Ido chciał odmówić i przerwać połączenie, jak przystało na zdrową umysłowo, rozsądną osobę. Chiren jednak w życiu nie zadzwoniłaby do niego, gdyby naprawdę nie potrzebowała pomocy i gdyby miała inne wyjście. Mimo wszystko wciąż mieszkała w Mieście Złomu. Samotny mężczyzna, którym był, wciąż pragnął być mężem, choć nie mógł już być ojcem. Ten sam mężczyzna miał też nadzieję, że Chiren się odezwą, bo za nim tęskniła.

Głos zdrowego umysłowo, rozsądnego mężczyzny w jego głowie odpowiedział mu, że to były żalosne, bezsensowne nadzieje, a ulegając im, poszerzy tylko ziejącą ranę, którą nosił w sercu, od kiedy popadł w żałobę. Samotny mężczyzna jednak nie słuchał.

Zresztą nawet gdyby powiedział nie, Chiren dzwoniłaby do skutku. A kiedy udałby się do niej, jeszcze silniej uwierzyłby w bajkę, że go chciała. Znalazłby się w jeszcze gorszym stanie, kiedy stałoby się nieuniknione: podziękowałaby mu za pomoc, a następnie odprawiła go z kwitkiem. Lepiej było iść teraz, póki miał dość siły, by znieść odrzucenie i dojść do siebie, zanim zaszkośli klinice. Nie miał prawa krzywdzić pacjentów przez swoją głupotę.

Nie zgodził się jednak pracować na stadionie. Nie odwiedził go, odkąd stracili córkę, nie potrafił, nie chciał wracać.

Chiren odparła, że nie ma sprawy. Tego wieczora i tak odbywał się sparing. Nie dało się normalnie pracować, słuchając krzyku trenerów i narzekania graczy wypytujących ją w kółko o jakieś nowe, najczęściej nieistniejące sprzęty, o których gdzieś słyszeli. Dała mu adres swojego nowego laboratorium.

Mimo że pracownia Chiren nie znajdowała się w siedzibie głównej, tylko w jednym z bocznych budynków, Ido nie był zachwycony, że odwiedzi Fabrykę. Całe szczęście, że tym razem nie szedł tam z workiem pełnym obciętych głów. Poza tym nie spotka w pracowni Chiren centurionów stojących w rzędach pod ścianą i wyczekujących zagrożenia, które mogliby rozstrzelać na kawałki.

\*\*\*

Kiedy Ido dotarł na miejsce, zastał w środku najlepszą drużynę Vectora. Wyglądało na to, że był to wieczór instalacji ulepszeń przed kolejnym wyścigiem. Doktor nie śledził już motorballa, więc nie wiedział, czy chodziło o mecz ligowy, pokazy, czy baraże. Paladyni jak zwykle robili ogólny zamęt, więc Chiren odgrodziła część pracowni parawanem, za nim urządziła coś w rodzaju poczekalni. Zawodnicy mogli tam czekać, oglądać filmy i opowiadać sobie różne bzdury, obsługiwani przez dziwnych, łysych asystentów Chiren, który spełniali wszystkie ich zachcianki, żeby tylko gracze jej nie przeszkadzali.

Na zewnątrz znajdowała się normalna poczekalnia, wyglądała na znacznie wygodniejszą. Chiren wyjaśniła Ido, że przestała z niej korzystać, bo znudzeni i zniecierpliwieni zawodnicy mieli w zwyczaju oddalać się stąd w poszukiwaniu ciekawszych zajęć. Umieszczając ich w laboratorium, Chiren dawała im złudzenie, że coś się dzieje.

Miejsca we wnętrzu z pewnością było dość. Nawet poświęciwszy jedną trzecią na plac zabaw dla paladynów, Chiren miała cztery razy więcej przestrzeni niż Ido w klinice. Do tego dochodziły powierzchnia magazynowa i wyposażenie obejmujące urządzenia, których obecność w Mieście Złomu zaskoczyła Ido –



pewnie dlatego, że nie powinno ich tu być. Jakim cudem Vectorowi uchodziło na sucho to ciągle podkradanie z dostaw? Musiał mieć niemoralnych sprzymierzeńców w wyższych sferach. Ktoś tam na górze – w Zalemie – go lubił.

Ido zaczął się zastanawiać, cóż takiego Vector potrafił, że zapracował na tak szczodre przejawy wdzięczności. Przecież wszystko, co mógł im dać, oni potrafili zdobyć sami szybciej, i było większe albo w szerszej palecie kolorów i stylów.

Chociaż nie. Nie „oni”. On. Mężczyzna u steru. Nova. Nova pragnął tylko zaspokoić swoje zachcianki i na tę chwilę zaspokajał je Vector.

Ido poczuł skurcz w brzuchu. Prędzej czy później Nova się znudzi. Pewnego dnia Vector sięgnie do swojego magicznego worka i nie znajdzie w nim nic nowego, co zadowoliłoby albo rozbawiło Novę. Będzie to dla niego bardzo przykry dzień.

Na razie jednak nie nadszedł. Vector wciąż był królem śmietnika i ulubioną zabawką wodza Zalemu. Tańcz, kukiełko, tańcz. Wzrok Ido spoczął na Chiren stojącą nad pierścieniem stereotaktycznym, w którym zamontowano klatkę piersiową i kręgosłup. *To dopiero rozrywka.*

– Słyszałeś chociaż słowo z tego, co mówiłam? – spytała go, ale bez złośliwości.

Ido wiedział, że nie wścieknie się na niego, póki potrzebowała jego pomocy.

– Tak – skłamał – ale to dość skomplikowane. Może wyjaśnij mi to jeszcze raz. Będę miał pewność, że wszystko dobrze zrozumiałem.

Wiedziała, że kłamie, ale miała też świadomość, że nawet gdyby słuchał, i tak chciałby omówić wszystko dwa razy, by wyłapać wszystkie błędy i niespójności. Chiren nie znosiła, kiedy to robił, ale tego wieczora właśnie po to tu był. Obróciła pierścień tak, by przed ich oczami znalazł się kręgosłup i otworzyła wszystkie jego sekcje.

Kiedy zaczęła wyjaśniać, co zamierzała, Ido zdał sobie sprawę, że wiele z tego już słyszał. Chiren próbowała zrobić coś podobnego na studiach medycznych, kiedy się poznali.

Wyjaśnił jej wtedy, że przerobienie rdzenia kręgowego wymagałoby przeróbek

mózgu, a to byłoby strasznie skomplikowane. Mózg kręgowców wyewoluował tak, że w konkretny sposób współpracował z rdzeniem kręgowym, którego budowa stanowiła odpowiedź na potrzeby mózgu. Był to typowy problem pod tytułem „jajko czy kura” – sugerował wzajemny wpływ obu elementów, skomplikowany dodatkowo przez udział kory nowej. A jakby tego nie było dość, mózgi i rdzenie kręgowe tworzyły niepowtarzalną kombinację. Każdy człowiek miał inną.

Po części dlatego właśnie nie każdy mógł korzystać z neurologicznych usprawnień narządów zmysłów, na przykład oczu i uszu. Nawet wśród tych, którym udawało się przyzwyczaić do widzenia i słyszenia w szerszym zakresie częstotliwości lub natężenia, czasami spotykało się efekty uboczne w rodzaju synestezji. Ponoć tylko Zjednoczonym Republikom Marsjańskim udało się opracować wprowadzanie szeroko zakrojonych modyfikacji do mózgu i rdzenia kręgowego, ale obecnie technologia ta miała status utraconej. Przez ostatnie trzysta lat najbliższemu powodzenia był pewien bioinżynier z Zalemu, który wyhodował działający rdzeń kręgowy w specjalnej komorze.

Ido nie od razu przekonał Chiren, żeby po prostu wydłużyła połączenia pomiędzy segmentami kręgosłupa i zwiększyła ich ilość. Wiedział, że będzie to mozolna praca, ale przynajmniej nie uszkodzi mózgu i nie zrobi z pacjenta inwalidy. W międzyczasie paladyni zamknięci w zagrodzie zaczęli się awanturować. Nie wiedzieli, jak rozładować nerwy. Na stadionie mogli biegać po torze albo się bić. Mieli też do dyspozycji siłownię, Chiren twierdziła jednak, że miejsce ćwiczeń jest zalane wodą, bo jeden z chłopaków urwał rurę, podciągając się na niej. Chiren nie miała pojęcia który, bo już pierwszego dnia potłukli kamery, a chętnych do donoszenia na kolegę nie było. Vector się nie przejął. Dobrze chociaż, że to nie była rura kanalizacyjna.

– Kogo tu dzisiaj masz? – spytał Ido, wskazując drugi koniec pomieszczenia kciukiem.

– Tę samą bandę, co zawsze – odpowiedziała Chiren. – Ajakutty’ego, Crimson Wind, Claymore’a. Rany, Claymore’a naprawiam prawie codziennie. Jeszcze jest Jay, Low-Rider, Baby i paru innych.

– Nie ma Wheelsteina? – spytał Ido.

Chiren pokręciła głową.

– Zdewastował bar Kansas o jeden raz za dużo. Vector musiał się go pozbyć. Dlaczego pytasz? Był twoim ulubieńcem czy co?

– A nic, po prostu się interesuję – odparł Ido, marszcząc brwi.

Było całkiem prawdopodobne, że bez wsparcia w postaci drużyny Wheelstein trafi pod wiadukt i zacznie sprzedawać części swojego ciała za narkotyki, które już mu nie przysługiwały. Nie skończy się to dobrze ani dla niego, ani dla nikogo z jego otoczenia.

– A co z tym nowym chłopakiem... Chase'em?

– Ćwiczy na torze z trenerem. – Ton Chiren wciąż był uprzejmy, ale pojawiła się w nim prawie niezauważalna nuta zniecierpliwienia. – Zaczynasz mi wreszcie pomagać? Bo za to ci płacę.

Płacę? Ido zamrugął, patrząc jej w oczy.

– Myślałem, że chcesz po prostu, żebym ci pomógł.

– Tak, ale raczej nie oczekuję, że będziesz pracował za darmo. Jesteśmy przecież profesjonalistami.

– Co prawda, to prawda – odpowiedział Ido fałszywie radosnym tonem i zajął się spajaniem pierwszej warstwy skóry właściwej z lewą stroną klatki piersiowej, tak by Chiren nie wyczytała z jego wyrazu twarzy, że myśl o honorarium w ogóle nie przyszła mu do głowy.

– Ta skóra jest wyjątkowo dobrej jakości – stwierdził, pracując. – To twoje dzieło?

– Wykorzystałam nasze wspólne badania – przyznała. – Ale żeby osiągnąć to, co trzymasz w rękach, potrzeba było dużo więcej wysiłku.

– Dalibyśmy ci namiary na dostawcę – dodał męski głos – ale nie istnieje. Produkujemy to sami.

Ido powiedział sobie, że jest zbyt zajęty, by się odwrócić i spojrzeć na Vectora, który wyjątkowo nie zaanonsował swojego przybycia. Zresztą prawdę mówiąc, nakładanie pierwszej warstwy skóry właściwej wymagało dużego skupienia, nawet

jeśli nie było najtrudniejszą procedurą na świecie. Uwięzione bąbelki powietrza sprawiały dyskomfort cyborgowi, który odczuwał swędzenie w miejscu niedającym się podrapać.

– Vector, mówiłam ci, że nie chcę tu dzisiaj widzieć nikogo poza naukowcami – oznajmiła wyniośle Chiren. – Przykro mi, ale musisz wyjść.

– Ja tylko przelotem – odpowiedział jej szef. – Przyszedłem zobaczyć, jak się miewają moi czempioni.

– To się, proszę, pośpiesz i wyjdź tamtymi drzwiami – poleciła mu Chiren tonem szlachcianki odzywającej się do nieogarniętego prostaka wdychającego powietrze przeznaczone dla elit. – Ta praca wymaga skupienia.

– Wybacz – powiedział Vector miłym, odprężonym tonem, który dał Ido do zrozumienia, że Chiren zapłaci za aroganckie potraktowanie króla śmietnika w obecności swojego byłego męża. – Po prostu zdziwiłem się, że tak mało zrobiłaś.

Vector oddalił się nieśpiesznym krokiem w stronę parawanu, a Ido nie opanował ciekawości i odprowadził go wzrokiem. Król śmietnika miał iście zalemskie wyczucie stylu i pasującą do tego urodę. Ido uważał to za stuprocentowy dowód, że świat nieodwołalnie zszedł na psy.

– To jego zespół – mruknęła Chiren, kiedy paladyni zgotowali mu powitanie godne bohatera.

– I jego pracownia – dodał Ido, zanim zastanowił się, co mówi. Odwrócił się do niej, zamierzając przeprosić, ale usłyszał, jak zamiast tego pyta ją: – Naprawdę tego chcesz?

Poczuł, jak świdruje go wzrokiem. Błękitny lód, tak zimny, że palił.

– Tak. Właśnie tego. – Pauza. – Tak jest idealnie. Świetnie sobie radzisz.

– Ja owszem – stwierdził, nieznacznie podkreślając słówko „ja” i odwracając się z powrotem w stronę klatki piersiowej.

*To mu pokaże, pomyślał.*

– Vector jest bardzo hojny – oznajmiła Chiren górnolotnym tonem. – Jego wsparcie pozwoliło mi opracować kilka niesamowitych rzeczy, nie tylko tę skórę.

Ido przeszło przez myśl, by wyciągnąć od niej kilka plastrów dla swoich

poparzonych pacjentów – nie miał ich wielu, a taka skóra niesamowicie by im pomogła – ale odstąpił od pomysłu. Nie chciał odkryć pewnego dnia, że Vector znalazł jego wyleczonych pacjentów, porwał ich do limuzyny i przywiózł tu, żeby Chiren pozdejnowała im skórę, bo należała do niego. To byłoby bardzo w jego stylu.

Ku uldze Ido Vector przystał na prośbę Chiren. Najwyraźniej uznał, że w tej chwili najwięcej zyska, utrzymując ją w dobrym humorze i powstrzymując się od zaznaczenia dominacji. Prawdopodobnie zemści się na niej później, pomyślał Ido z ukłuciem w sercu. Mężczyźni pokroju Vectora nie puszczali zniewag płazem. A po chwili z kolejnym, silniejszym ukłuciem zdał sobie sprawę, że Chiren to wiedziała.

Pojawienie się Vectora rozochociło paladynów. Zaczynali się uspokajać, ale na widok szefa poziom zgromadzonej między nimi energii natychmiast wzrósł i zarzucili go pytaniami o skład na następny wyścig. Czy zmieni się harmonogram treningów? Czy nowy koleś od razu dostanie pozycję w startowym składzie, czy na razie będzie tylko ćwiczył? I kiedy mogą się spodziewać własnych superchipów, bo przecież gdyby potrafili poruszać się tak szybko jak on, to dodając swoje umiejętności i doświadczenie, byłiby nie do pokonania.

Po wyjściu Vectora dyskusja na temat superchipa toczyła się dalej – paladyni rozmawiali o niespotykanej szybkości nowego zawodnika. Imię Chase pasowało do niego, chociaż nie chodziło tylko o prędkość poruszania się po torze, również o szybkość reakcji i refleks, za które częściowo odpowiadały nowe podzespoły. Niestety zawodnik miał też pewną wadę: szybko się złościł.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała Chiren, kończąc pokrywanie żeber pierwszą warstwą metalu. – Plotki to główne paliwo motorballa. Gdyby kazać im się zamknąć, nie chcieliby grać.

*Jasne jak słońce*, pomyślał Ido. Przecież wspólnie zajmowali się zawodnikami dość długo, by wiedziała, że on też to wie. Wygładził kilka małych bąbli przy dolnej krawędzi żeber, jednym uchem przysłuchując się rozmowie paladynów. Nic dziwnego, że Chiren tak chętnie zgodziła się, żeby nie przychodził na stadion,

nawet jeśli musiała zapłacić za to cenę przebywania w laboratorium w towarzystwie zgrai nieokrzęsanych sportowców gnębiących jej asystentów nieustającymi żądaniem jedzenia, picia i rozrywki. Nie chciała, żeby Ido oglądał ulepszenia jej nowego zawodnika.

A teraz radziła mu, żeby nie zawracał sobie głowy plotkami. Rzecz w tym, że plotki zwykle krążyły wokół wielu różnych pobieżnych zagadnień, tymczasem ta grupka topowych zawodników nie potrafiła rozmawiać o niczym poza superchipem, który dawał nowemu graczowi superczas reakcji, superrefleks i superkoordynację. Jakby świeżak urodził się równoległym światcie, gdzie czas biegnie szybciej.

– Wygląda na to, że projektując swoje najnowsze dzieło, przesłaś samą siebie – powiedział Ido po dłuższej chwili milczenia.

– Przechodzę samą siebie dzień w dzień – odparła Chiren nieobecny głosem.

Przeprowadzała test diagnostyczny fragmentu torsu, który właśnie skończyli pokrywać skórą.

– Mam na myśli ten chip – dodał Ido. – Jeśli potrzebujesz uściślić, o co mi chodzi.

Chiren poczekała, aż skaner skończy pracę, po czym znieruchomiała. Musiała podjąć decyzję, co mu powie i czy powinna przy tym kłamać bardzo, czy tylko trochę. Ido wyobrażał sobie, jak w jej głowie obracają się kółka zębate. Nie po raz pierwszy żałował, że tak dobrze ją poznał – może gdyby był bardziej naiwny, mieliby więcej wspólnych tematów.

– To tylko taki drobiazg, nad którym pracowałam przy okazji tego kręgosłupa – powiedziała wreszcie. – Miałam wolną chwilę od napraw, instalowania ulepszeń, wymieniania płuc i wątrób. Aktualnie testuję prototyp. – Przywołała go gestem do swojego biurka i włączyła holograficzny wyświetlacz. – Skoro już tu jesteś, powiedz: czy twoim zdaniem te wyniki wyglądają jak należy?

Na widok tego, co pojawiło się przed jego oczami, Ido przeszedł zimny dreszcz. Pouczył się jednak w myślach, że przecież spodziewał się, że Chiren będzie go okłamywać. Włożyła dużo pracy w zamaskowanie prawdy –

poprzesuwała to i owo, dodała różne elementy niepasujące do całości, ale i tak było oczywiste, że ogląda fragment schematu swojego chipa. Zainstalowała go już w kręgosłupie, ale nie wiedziała, jak go najlepiej wykorzystać. Rozmowa o relacji pomiędzy mózgiem a rdzeniem kręgowym była wybiegiem, by wyciągnąć od niego poradę, której potrzebowała.

Czy naprawdę sądziła, że go nabierze? I skąd wiedziała, że po jej odejściu wrócił do pracy nad chipem?

*Od Hugo.*

Poczuł ścisk w sercu. Możliwe, że Chiren podsłuchiwała, jak chłopak opowiadał o chipie swoim przyjaciołom, bo chciał zaimponować, jak dużo wie. A może Vector wykorzystał fakt, że jak każdemu dzieciakowi Hugo nie zamykała się buzia.

Spróbował sobie przypomnieć wszystko, co wyjawiał Hugo, kiedy głośno myślał. Przecież nie był lepszy od malca i też usta mu się nie zamykały, kiedy opowiadał o chipie jak o jakimś cudzie. Hugo nie wiedział o problemach. Ido nigdy nie zgłębiał tego tematu, skupiał się na wychwalaniu zalet, bo jak każdy nie lubił rozwodzić się o rzeczach, z którymi sobie nie poradził.

*Masz nauczkę... Kolejny raz,* podpowiedział głos z tyłu jego głowy. Należał do zdrowego psychicznie, rozsądnego mężczyzny, który nie chciał tu przychodzić.

– Możesz, prawda? – mówiła Chiren.

Ido skierował na nią pusty wzrok.

– Zostać trochę dłużej? – wyjaśniła z teatralną cierpliwością. – Możesz zostać trochę dłużej i pomóc mi zainstalować te usprawnienia, prawda?

Ido odpowiedział wymuszonym śmiechem.

– Będziesz instalować superchipy?

– Tylko nie zaczynaj. – Przewróciła oczami. – Jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „superchip”, zwariuję i wszystkich pozabijam.

Ido zdołał przeprowadzić tylko dwa zabiegi, zanim stwierdził, że nie wytrzyma z Chiren ani chwili dłużej. Nie chciał się znajdować w tym samym pokoju co ona. Przeprószył, tłumacząc się, że chyba wreszcie dopadły go skutki braku snu.

– Przecież ty cierpisz na bezsenność – powiedziała Chiren, marszcząc brwi. –

W ogóle nie śpisz.

– Czasami śpię – odpowiedział. – Przykro mi, ale ledwo trzymam się na nogach. Poza tym mam wrażenie, że Vectorowi nie spodobałoby się, gdybym spędził z tobą noc. Nawet w twojej pracowni.

Chiren spojrzała na niego tak, jakby chciała się kłócić, po czym wzruszyła ramionami.

– Pomogłeś mi z najważniejszą sprawą. Resztę ulepszeń mogę zainstalować sama.

– Super.

Ruszył ku wyjściu znajdującemu się po drugiej stronie sali. Ajakutty też właśnie wychodził.

– Ej, czekaj! – zawołała Chiren.

Ido zatrzymał się i obrócił. Czyżby wiedziała, że ją przejrzał?

– Wyślij mi fakturę – powiedziała.

Ido znów nie wiedział, co powiedzieć. Fakturę za co? Za swój chip?

– Zapłacimy ci normalną stawkę – kontynuowała Chiren. – Nieważne, ile wynosi. Policzę ci za całą noc. Jestem pewna, że ci się... Że klinice się przyda.

– A, tak. Dzięki – odparł Ido i popędził do wyjścia, mając nadzieję, że Ajakutty mu nie uciekł.

Na szczęście paladyn zdążył przejść tylko pół przecznicy. *Z pewnością nie jest wyposażony w superchip*, pomyślał Ido, zrównując się z nim.

– Hej, Aja – przywitał się Ido. – O co chodzi z tym nowym kołosem i jego superchipem czy jak to zwał?

– Nie rozumiem, doktorze. – Ajakutty zrobił lekko zdumioną minę. – Na pewno widział pan te nagrania.

– Tak, ale jakie zrobił wrażenie na tobie? – spytał Ido. – Wiesz, z bliska.

Ajakutty wzruszył szerokimi ramionami.

– Jest sto razy szybszy od nas wszystkich.

– Tak, widziałem. – Ido starał się nie okazywać zniecierpliwienia. – Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?



– Poza tym, że przy nim wyglądamy, jakbyśmy stali w miejscu? – retorycznie spytał Ajakutty. – Nie za dużo.

Ido uznał, że nic więcej dzisiaj z niego nie wyciągnie. Podziękował i ruszył na drugą stronę ulicy.

– Hej, doktorze, proszę poczekać – zawołał Ajakutty. – Jest szansa, jakakolwiek, żeby wrócił pan na stadion? Naprawdę pana potrzebujemy.

– Przykro mi – odpowiedział Ido i szybkim krokiem czmychnął za najbliższy róg, nie dając paladynowi czasu, by powiedział coś więcej.

\*\*\*

Ido próbował sobie wmówić, że jest zbyt zmęczony, by racjonalnie myśleć. Przecież może otworzyć sejf za kilka godzin, jak się wyśpi. Cokolwiek znajdzie, będzie tam też jutro. Wystarczyło mu siły woli na całe piętnaście minut, po czym zszedł do piwnicy.

Odkrył tylko to, co już wiedział. Chipa nie było. Nie mógł jednak dowiedzieć się, kiedy go ukradziono...

Nieprawda. Mógł.

Chwila kradzieży została zapisana w jego telefonie. Alarm nie był wyłączony, tylko ściszony – co musiało być najdurniejszą rzeczą, jaką ostatnio albo w ogóle kiedykolwiek zrobił. Gdyby włączył dzwonek, dowiedziałby się o włamaniu w tej samej chwili, kiedy miało miejsce. Ido zerknął na telefon i uznał, że nie musi wiedzieć teraz. Może jutro albo pojutrze. Albo za rok, kiedy łatwiej mu będzie znieść kolejną przykrość.

## ROZDZIAŁ 13

Niektórym wystarczy powiedzieć raz, żeby zrozumieli – odezwał się Vector do Hugo. Siedzieli z tyłu limuzyny.

Grzechot kostek lodu w szklance, z której szef popijał, kojarzył się z luksusem, podobnie jak płyn w kolorze bursztynu. Hugo pociągnął łyk gazowanego napoju z małej butelki wręczonej mu przez przełożonego, nieświadomie naśladowując zachowanie rozmówcy. Na razie siedział bezpiecznie na tylnym fotelu i nie zamierzał tego zmieniać.

– Niestety nasi przyjaciele z północy nie wiedzą, co dla nich dobre – ciągnął Vector. – Nie zmyślili nawet po tym, jak umieściłem dwóch z nich na Farmie Czterdzieści Trzy, gdzie zajmują się zbieraniem szparagów. – Spojrzał na Hugo z uprzejmym zaciekawieniem. – Lubisz szparagi?

– Uwielbiam, proszę pana – odparł chłopak, choć nigdy ich nie próbował.

Vector skinął głową z zadowoleniem.

– To przysmak dla wyrobionego podniebienia. Można je zbierać maszynowo, ale wówczas łatwo uszkodzić pęd lub sąsiednie rośliny. – Vector pochylił się w stronę Hugo i odrobinę ściszył głos. – Ci w Fabryce to niewyobrażalne sknery. W życiu nie szarpną się na lepszy kombajn. Wolą trzymać kciuki i żywić nadzieję, że któryś z robotników dozna cyberolśnienia i zbuduje im maszynę za darmo. – Pociągnął kolejny łyk. – Ja ci tego nie mówiłem.

– Nie, proszę pana – zapewnił Hugo, poważnie kiwając głową.

– Ale szparagi i tak najlepiej zbierać ręcznie – stwierdził Vector, znów opierając się wygodnie. – To jedyny godny sposób. Wiesz, że w dawnych czasach

– przerwał, żeby wypić następny łyk – szparagi były zarezerwowane dla władców? Pospólstwo nie dostępowało tego zaszczytu. – Uśmiechnął się do chłopaka. – Ale przypuszczam, że nie powiedziałem ci niczego nowego.

Hugo skinął niezobowiązująco głową. Przypuszczał, że Vector zmyśla, ale w końcu to była jego limuzyna. Jeśli miał ochotę bająć o warzywach choćby cały dzień, to Hugo chętnie będzie go słuchać. Może dzięki temu Vector zapragnie okazać hojność.

– To ciężka praca, nawet dla cyborga stworzonego specjalnie do tego zadania. Ale dzięki ciężkiej pracy ludzie mają dobre samopoczucie. – Vector znów wypił łyk ze szklanki, a Hugo podniósł do ust butelkę. Co prawda jego napój był ciemnobrązowy, a on wolał widzieć, co pije, ale to smakowało naprawdę dobrze. Vector powiedział, że to z jego prywatnych zapasów, nazwał to coś colą. Dziwna nazwa, ale efekt niezły.

– Tak czy owak, dwóch spiskowców zbiera szparagi – stwierdził Vector – i czekając na wymianę okolic lędźwiowych, rozważa głupotę swoich karygodnych czynów. Myślę, że to skłoni ich kompanów do tego samego.

Wpatrzył się w szklankę i zamilkł na dłuższą chwilę. Hugo miał nadzieję, że nie jest to aluzja, żeby on też zastanowił się nad głupotą własnych postępów. Robiło mu się niedobrze od rozmyślań o wszystkim, co spieprzył.

– Myliłem się – odezwał się znowu Vector. – Rzadko mi się to zdarza i nie lubię tego. Ale kiedy do tego dojdzie, muszę podjąć działania. Nawet jeśli nie mam ochoty, to mój obowiązek. Ludzi z Miasta Złomu spotkało już tyle zawodów. Ich przywódca nie może okazać się kolejnym ogromnym rozczarowaniem. – Spojrzał na Hugo z wyrazem twarzy tak poważnym, że aż przerażającym. – Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

Hugo kiwnął potakująco głową, starając się wyglądać na osobę, która rozumie.

– Jeśli mogę cokolwiek zrobić, żeby pomóc, proszę tylko powiedzieć.

– Dobrze wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć. – Jego serdeczny ton tylko zwiększył strach Hugo.

Ludzie zawsze tak miło przemawiali na chwilę przed tym, jak mieli wepchnąć

cię pod autobus dla twojego dobra. Z pewnością podobnie brzmiał głos tego, kto namówił jego ojca do pierwszej cyberwymiany.

– Nasi przyjaciele z północy dokonali przegrupowania, chociaż jest ich teraz tylko czworo. Pięcioro, jeśli liczyć konstruktorkę.

Hugo nie do końca go zrozumiał.

– Chodzi panu o kobietę, która zbudowała PW-ta.

Vector uniósł dłoń i chłopak natychmiast umilkł.

– Projektantka ma ogromny potencjał, ale kompletnie nie zna się na rzeczy. Szybkość niewiele znaczy, jeśli ktoś nie potrafi poradzić sobie z agresją i fizycznymi wymogami, dzięki którym motorball jest tym, czym jest.

– Całkowicie się zgadzam – oświadczył Hugo.

Kiedy dostrzegł lekkie zaskoczenia na twarzy Vectora, zrozumiał, że nikt go nie pytał o zdanie. Zawstydzony spuścił wzrok na niemal opróżnioną butelkę.

– Spiskowcy z północy niczego się nie nauczyli – podjął po chwili Vector. – Myślałem, że ich ulubiona cyberchirurgka weźmie nogi za pas i ruszy w drogę powrotną na Pustkowie, a tymczasem ona chowa się w gdzieś w piwnicy i pracuje nad nowym projektem. Na nieszczęście dla nich wiem, co to jest. – Vector odstawił szklankę i wyciągnął do Hugo telefon, żeby chłopak mógł zobaczyć zdjęcia na ekranie.

Hugo nie był jednak pewien, na co patrzy. Czy fotografie przedstawiają coś istniejącego w rzeczywistości, czy szczegółową koncepcję artystyczną? Vector przez cały czas przesuwał zdjęcia i chłopak w końcu dostrzegł, że widnieje na nich prawdziwy cyborg z dodatkowym wyposażeniem zamontowanym na przedramionach, bicepsach, a nawet udach. Ten cyborg nie musiał wymieniać narzędzi, bo miał dodatkowe kończyny z dodatkiem wszystkiego, czego mógł potrzebować. Składane ramię w podstawowym ramieniu było wyposażone w standardowy uniwersalny zestaw narzędzi.

– Widzisz, w czym problem.

To nie było pytanie, ale tym razem Vector oczekiwał odpowiedzi.

– Cóż, no, tak... – zaczął chłopak, zastanawiając się, jak zablefować. – Cały ten

sprzęt...

– To cholerna przesada. Właśnie! Trafiłeś w sedno! – Vector z uznaniem szturchnął go w ramię, niemal zrzucając z siedzenia. – To o wiele za dużo dla przeciętnej osoby. – Odchylił się na oparcie i wyłączył wyświetlacz telefonu. – Nasi nieszczęśni przyjaciele z północy nie mają pojęcia, jak wygląda życie przeciętnego pracownika w Mieście Złomu. Nie wzięli pod uwagę, ile to by kosztowało. Nikogo nie będzie stać na tak rozbudowane ciało.

Ponownie napełnił swoją szklankę, a Hugo wykorzystał tę chwilę, żeby odetchnąć z ulgą.

– A może im się wydaje, że tego rodzaju PW-et powinien kosztować tyle samo, co standardowy – stwierdził, stawiając karafkę w uchwycie przy swoim siedzeniu. – Ale to by wykończyło dostawców w tydzień. A przecież dostawcy to nie deckmani, to ludzie. Mają rodziny, gęby do wykarmienia, pracowników, którym muszą zapłacić. A ci z kolei też mają rodziny i gęby do wyżywienia. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Hugo kiwnął głową, mając nadzieję, że rozumie.

– Nie wspominając już o tym, że to przekracza budowę biologiczną przeciętnej osoby. – Vector znów pokazał mu zdjęcia. – Te wszystkie rzeczy... Żeby skoordynować te dodatki, mózg musiałby być dwa razy większy niż normalnie.

*Albo trzeba by mieć superchip*, pomyślał Hugo. Wynalazek przyspieszyłby pracę mózgu, który poradziłby sobie z udoskonaleniami i nie tylko.

Vector wpatrywał się w niego z wyczekującym wyrazem twarzy. Musiał coś powiedzieć i gorączkowo zastanawiał się co.

– Tak, nie jest dobrze. – Starał się myśleć szybko. – Nie wiem, co można zrobić. Może ostrzec ludzi, że to wyjątkowo drogie ciało, które może ich zabić?

– Jak? – spytał Vector, jakby naprawdę oczekiwał, że Hugo mu to powie. – Mogę wydać oświadczenie, ale kto je przeczyta? Mam kazać mojej stroicielce odczytywać je na stadionie przed każdymi rozgrywkami motorballa? Ona jest ładniejsza ode mnie, więc może kilka osób zainteresuje się tym, co ma do powiedzenia, zamiast rzucać w nią butelkami i puszkami. – Roześmiał się

niewesoło. – Nie przejmuj się, nie mówię poważnie. – Westchnął. – Słuchaj, Hugo, mam przed oczami obraz ulic zasłanych ciałami osób, którym eksplodowały głowy.

Hugo nie sądził, żeby ta wizja była prawdopodobna. Skoro ludzi nie będzie stać na tak podrasowane ciała, to ich głowom nic nie zagrażało. Ale tak wyglądał świat Vectora, a Hugo był w nim tylko gościem, więc wolał nie dzielić się z szefem tymi myślami. Zamiast tego powiedział:

– Chętnie zrobię wszystko, co się da, żeby pomóc. Nie wiem tylko co.

– Ja wiem – szybko odparł Vector, obdarzając go szerokim uśmiechem. – Ten cyborg już chodzi sobie, gdzie mu się podoba, i stanowi żywą reklamę naszych przyjaciół z północy. Musimy go usunąć, zanim sprawy wymkną się spod kontroli. A znam tylko jedną ekipę na tyle dobrą, żeby zdołała go zdemontować.

– Ma pan to jak w banku – odparł Hugo.

– Wyciągnij telefon – polecił Vector. Hugo Wykonał polecenie i Vector stuknął w jego telefon własnym. – Proszę, teraz masz jego zdjęcia i listę ulubionych miejsc. Przekazałem ci też mapę północnej dzielnicy, gdybyś musiał tam się wybrać. I nie martw się, że to nie twój teren. Rozpuściłem już wieści, że jeśli tam będziesz, to wykonujesz robotę dla mnie. Nie powinieneś mieć żadnych problemów, ale gdyby coś się działo, daj znać, a ja to załatwię. Nie mogłem ci zapewnić takiej samej ochrony na południu, bo nie byłeś tam w moim imieniu.

Hugo poczuł rumieniec na twarzy. Miał już dość tego wiecznego wypominania.

Vector poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

– Ale to wszystko to już przeszłość. Zgoda? Po prostu wykonaj dla mnie dobrze tę robotę i będzie po sprawie. Nie mamy zbyt wiele informacji o naszym celu, więc daję ci na to tydzień.

– Może gdyby miał pan o nim jakieś nowe wieści, mógłby pan przysłać mi wiadomość – zaczął Hugo.

– Zwariowałeś? – Vector warknął to tak ostro, że chłopak aż podskoczył. – Nie możemy się kontaktować w trakcie roboty. Każdy się zorientuje, że zapewniam ci specjalne traktowanie, a wtedy zlecą się wszystkie sępy z miasta i będą się domagać tego samego. – Jeszcze przez chwilę wyglądał na rozwścieczonego, po

czym się uspokoił. – Jeśli dowiem się czegoś przydatnego, przekażę ci wiadomość. Ale ty do mnie nie dzwoń. Jasne?

Hugo skinął potakująco głową. Szklanka Vectora znów była pusta i chłopak dałby głowę, że szef chętnie by ją napełnił. Ale nie pozwolił sobie na to, dopóki Hugo nie wysiadzie. Vector był już wstawiony, jeszcze jedna szklaneczka i się upije, a nie mógł się upić przy kimś takim jak Hugo.

Vector trącił go łokciem.

– Jakies pytania?

– Nie proszę pana. Wiem wszystko, co trzeba.

– Świetnie! Zatem ruszaj tam i bierz się do roboty. Spraw, żebym był z ciebie dumny. Masz na to pięć dni.

Hugo już niemal otworzył usta. Chciał przypomnieć, że miał to być tydzień, ale w końcu stwierdził, że lepiej jak najszybciej wysiąść, zanim Vector skróci mu termin do trzech dni.

\*\*\*

Gdy za chłopakiem zamknęły się drzwi, Vector sięgnął po karafkę.

– Widok z tyłu – polecił, napełniając szklankę, a spod sufitu limuzyny rozłożył się niewielki płaski ekran.

Monitor rozjaśnił się i Vector zobaczył na nim ulicę za sobą. Hugo pędził jak sumienny mały służący wysłany ze zleceniem, nie oglądając się za siebie i nie zatrzymując na pogawędki. Vector przez chwilę się zastanawiał, czy nie wynająć kogoś do sprawdzenia chłopaka, ale w końcu uznał, że szkoda pieniędzy. Widać było, że Hugo pragnie go zadowolić. Może to problem ojca. W końcu dzieciak był sierotą.

\*\*\*

– Ależ on jest ogromny – powiedziała Koyomi.

Siedziała pomiędzy Hugo a Tanjim w ich ulubionym miejscu w kawiarni Kawiarnia. Hugo wstukał obojgu do telefonów informacje przekazane mu przez Vectora i teraz Koyomi wpatrywała się ze zdenerwowaniem w ekran.

– Poprzedni był równie duży – odparł Hugo.

– Nie, ten jest większy – upierała się dziewczyna.

– Nie jest wcale większy od największego faceta, którego załatwiliśmy. – Hugo spojrzał na Tanjiego, szukając poparcia.

Ale ten miał równie zaniepokojony wyraz twarzy co Koyomi.

– Ona ma rację, Hugo. On przypomina czołg, jest ogromny w każdym calu. Szeroki.

– Wielka masa – podsunęła usłudźnie dziewczyna.

– O, właśnie – ciągnął Tanji. – Kiedy go powalimy, będziemy mieć poważny problem, żeby go przetransportować.

– I po to właśnie jest ciężarówka. – Hugo zaczynał tracić cierpliwość. – Pamiętajcie ciężarówkę. Z wciągarką z tyłu? Jeśli czujecie się słabo, wypijcie jeszcze po kawie. Mamy czas. Jest wcześnie.

Koyomi ześlizgnęła się ze stołka.

– Ktoś coś chce? Ale ja nie stawiam – dodała szybko, widząc, że Tanji otwiera usta.

– Nie, dzięki – odparł Tanji z rozczarowanym wyrazem twarzy.

Hugo poczekał, aż dziewczyna podejdzie do kontuaru, po czym obrócił się do przyjaciela i stwierdził:

– Rany, czasem zachowujesz się jak kompletny wariat.

– Powiem swojemu psychiatrze. Ale ona ma rację. To będzie trudne zadanie. Wolę dzielić łup na troje, ale myślę, że do tej roboty potrzebujemy jeszcze dwóch osób. Dif i Louie się nadadzą, są napakowani.

– Dif? – Hugo nie wyglądał na przekonanego.

– Dif jest trochę tępy – wtrąciła Koyomi, która nagle znalazła się pomiędzy nimi. W rękę trzymała filiżankę czegoś gorącego z górką sztucznej bitej śmietany



na wierzchu.

– Ale solidny – poprawił ją Tanji.

– Tak, tak. – Roześmiała się krótko. – Tyle że musisz mu mówić, jak ma stawiać nogi, żeby się nie przewrócił.

– No, to może prowadzić ciężarówkę – nie ustępował Tanji.

– A czy on umie czymkolwiek kierować? – spytał Hugo.

– Może się nauczyć po drodze.

– Nie. Będziemy trzymać się planu – oświadczył stanowczo Hugo. – Vector dał mi pięć dni na dostarczenie tego kołesia, a możemy to zrobić w jedną noc.

– Pięć dni wystarczy, żeby ułożyć nowy plan – stwierdziła Koyomi.

Zlizwała większość śmietany, ale kiedy piła, zrobił jej się biały wąsik z resztek.

Hugo wymownie potrząsnął głową.

– Najpierw dał mi tydzień, a chwilę potem powiedział pięć dni. Bałem się, że jeśli zostanę dłużej, okaże się, że chce to na wczoraj i ma pretensje, bo znów się spóźniłem.

– Może i tak to powiedzieć, kiedy zjawimy się u niego dziś w nocy – odezwał się Tanji.

– Jeśli jutro oświadczy, że chciał to na wczoraj, będzie znaczyło, że mieliśmy to zrobić dzisiaj – powiedziała Koyomi.

– Ale co ty właściwie usiłujesz powiedzieć? – spytał ją Tanji.

– Że dlatego właśnie powinniśmy załatwić go dzisiaj. I nic nie usiłuję, tylko właśnie to powiedziałam. – Koyomi zmarszczyła brwi. – Czasem naprawdę nie wiem, co z wami jest.

\*\*\*

Po wyjściu z kawiarni Hugo odniósł wrażenie, że ulice pustoszeją szybciej niż zazwyczaj. Spojrzał w górę i zobaczył przewalające się chmury obiecujące deszcz. Przesłoniły nawet wiecznie obecny dysk Zalemu.

– Hej. – Szturchnął Tanjiego. – Dziś ma padać?

Tanji skrzywił się i wskazał na niebo.

– Nie wiem, co zapowiadali, ale wygląda na to, że będzie lać.

Niedobrze, pomyślał Hugo. Na mokrych ulicach żyrocykle będą się ślizgać. Wprawdzie odwalili już sporo zadań w deszczu, ale kusiło go, żeby dziś wszystko odwołać i zająć się tym jutro. Oczywiście nazajutrz może lać jeszcze mocniej, więc raz kozie śmierć. Doktor Ido nazwał klimat Miasta Złomu „tropikalnym”, czyli sprzyjającym rozwojowi storczyków i lasów deszczowych w dziczy, a pleśni i rdzy w mieście. Hugo zaproponował, że zabierze go na Pustkowie, niech zobaczy lasy deszczowe w naturze, ale doktor odparł, że jest zbyt zajęty. A szkoda, bo chłopak chciałby mu pokazać jeszcze wiele innych rzeczy.

Poczuł, że ktoś go trąca.

– Pytałem, czy chcesz najpierw sprawdzić Wdowie łydki – powiedział Tanji.

Hugo rzucił mu nieprzytomne spojrzenie.

– Ziemia do Hugo! Gdzie ty, do diabła, jesteś? – rzucił ze złością Tanji.

– Tutaj – odparł Hugo pojednawczo.

– No, lepiej. To w końcu twoja broszka.

– Po prostu boisz się przekroczyć próg Wdowich łydek – stwierdził Hugo.

– Hej! – Koyomi pstryknęła palcami pomiędzy ich twarzami. – Przestańcie! Nie wiem, co wam odbiło, ale dajcie sobie spokój. To jest robota, nie telenowela.

– Nadal oglądasz łzawe seriale? – prychnął Tanji z pogardą.

– Tylko żeby się dowiedzieć, jak sobie z wami radzić. Wdowie łydki są w tamtą stronę. – Wskazała miejsce, gdzie główna droga zakręcała, oddalając się od resztek wiaduktu. Następnie Koyomi czym ruszyła do żyra Tanjiego. – Mogę prowadzić?

– Ale ciężarówka jest tam. – Hugo wskazał w przeciwnym kierunku, w stronę ruin katedry. – Wezmę ją i spotkam się z wami przed barem.

– Podrzucę Koyomi do łydek, a sam obstawię inny bar – stwierdził Tanji, wsiadając na swój pojazd i zapuszczając silnik. – Jeśli się pokaże, wyślę ci wiadomość. A ty nie zadawaj głupich pytań – zwrócił się z kolei do Koyomi, która usadowiła się za nim i objęła go rękami w pasie.

\*\*\*

Hugo podjechał do rampy załadunkowej opuszczonego magazynu, ściągnął brezent z ciężarówki i włożył na tył swojego żyra. Nikt tu nigdy nie przychodził – w każdym razie nikogo by nie interesowało, co znajduje się pod obrzydliwą plandeką. Jednak na wszelki wypadek pozamieniał niektóre przewody pod deską rozdzielczą, żeby nie można było uruchomić ciężarówki, na krótko zwierając kable. Pomysł wpadł mu go głowy, gdy słuchał Ido opowiadającego jednemu z pacjentów, jak zmienia okablowanie w jego nogach.

Kiedy przejeżdżał ciężarówką koło katedry, pomyślał, że ostatnio nie wspinał się na platformę wokół iglicy. To jedyna iglica, która ocalała w całości, a platforma też pozostawała w dobrym stanie. Był to chyba najwyższy punkt w Mieście Złomu, wyższy nawet niż apartament Vectora w Fabryce, skąd podobno roztaczały się niesamowite widoki.

Hugo przypuszczał, że widok z okien apartamentu nie umywa się do tego z platformy. Tyle że stamtąd ogląda się zapewne Miasto Złomu, a jego interesował Zalem. Uwielbiał patrzeć, jak zachodzące słońce pada na wieżowce na krawędzi dysku, sprawiając, że szyby rozbłyskują, jakby zajmowały się ogniem. Światło rozjaśniało budynki nawet wówczas, gdy w Mieście Złomu panował już mrok. Zalem znajdował się tak wysoko, że zachód słońca miał tam miejsce znacznie później.

Po skończeniu tej roboty znów wejdzie na iglicę katedry. Dopóki nie uzbiera w kasetce miliona kredytów, to była najlepsza rozrywka, na jaką go stać.

\*\*\*

Hugo wjechał tyłem ciężarówki w alejkę o trzy przecznice od Wdowich łydek, po czym wsiadł na żyro i podjechał przed sam bar. Nigdy tu nie był, ale też rzadko bywał w barach. Alkohol kosztuje, a chłopak znał lepsze zastosowanie dla

pieniędzy. Łydki to spelunka, co oznaczało, że nie było tam tak czysto jak w kafejkach, ale za to do bójek dochodziło rzadziej niż w mordowniach.

Nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, gdy wszedł do środka i precyzyjnie się do stolika w przeciwległym rogu. Stała tam do połowy opróżniona szklanka płynu trochę ciemniejszego od coli, którą zaserwował mu Vector. Hugo przysunął szkło bliżej do siebie, żeby wyglądało, że kupił tego drinka, a przy okazji zauważył, że na dnie leży warstwa czegoś przypominającego błoto. Najwyraźniej, pomyślał, kiedy zamawiasz z lodem, musisz powiedzieć, że ma być z butelkowanej wody, bo inaczej dostaniesz z kranówki razem ze szlamem.

Ze swojego miejsca miał dobry widok na cały bar, który choć pełen, nie był nadmiernie zatłoczony. Rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie zobaczył Koyomi. Sięgnął po telefon.

– Gdzie jesteś? – spytał zirytowanym głosem.

– Po drugiej stronie ulicy, obserwuję główne wejście. Nie muszę być w środku, żeby mieć oko na nasz cel.

– Ale dlaczego? – dopytywał się ze zniecierpliwieniem.

– Gdybyś był młodą, ładną dziewczyną, i to samą w barze, nie musiałbyś pytać – warknęła.

Hugo poczuł się jak idiota.

– Wybacz, nie pomyślałem, że będą ci się naprzykrzać.

– Serio? – Koyomi prychnęła z niedowierzaniem. – Połowa to popaprańcy, żony ich nie rozumieją, a reszta to kreatury z północy, ich nie rozumieją mężowie. I nie chcesz znać szczegółów, czego skrycie pragną. Nie pojawię się w środku tylko dlatego, że ty tam jesteś. Nie licz na to.

– Oczywiście, że nie. W porządku. Zadzwoń, jeśli go zobaczysz albo ja zadzwonię do ciebie. – Hugo zakończył rozmowę, bo zobaczył idącą w jego kierunku kelnerkę. W udoskonalonej cyberdłoni trzymała tuzin brudnych szklanek, a w drugiej ręce mały tablet do zbierania zamówień. Była tak wyczerpana, że Hugo poczuł zmęczenie od samego patrzenia na nią.

– Jeszcze jeden? – spytała go bezbarwnym, nosowym głosem.

– Nie, dzięki. Jeszcze mam co pić.

– Bawisz się z nim tak długo... Przysięgłabym, że zdążyłeś odmłodzić. – Spojrzała na szklanekę. – Nie smakuje? To Czarna smoła.

Hugo poruszył się niespokojnie.

– I tak właśnie wygląda.

Kelnerka nachyliła się nad stolikiem i zamieszała płyn małym palcem normalnej dłoni. Teraz ciemny wir jeszcze bardziej przypominał błoto.

– Proszę – powiedziała. – Teraz tego nie widać. Co z oczu, to z serca. Do dna! Nie ma za co.

Gdy tylko oddaliła się ciężkim krokiem, Hugo odsunął szklanekę. Sprawdził na telefonie, że jest druga nad ranem. Pewnie powinien poczekać do wpół do trzeciej, zanim zrezygnuje, ale co tam. Zbierał się do wyjścia, myśląc, że facet pewnie poszedł do innego baru. Kiedy Hugo wyjdzie na zewnątrz, zadzwoni do Tanjiego, a jeśli cyborg nigdzie się nie pokazał, będą mogli iść do domu. *Naprawdę szkoda, że Vector nie dał nam więcej informacji*, myślał, lawirując przez salę ku drzwiom.

Kiedy tylko je otworzył, odbił się od jakiejś nieustępliwej masy. Zrobił chwiejnie kilka kroków wstecz, żeby odzyskać równowagę, ale wtedy coś pchnęło go mocno w pierś, tak że poleciał do tyłu i twardo upadł na kość ogonową. Rozległ się gromki wybuch śmiechu, zupełnie jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką widzieli bywalcy łydek.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież – zagrzemiał tubalnie wesoły męski głos. – Załatwia ich jeden drink.

Znowu rozległy się śmiechy. Hugo zaczął dźwigać się na nogi, krzywiąc się z bólu. Podniósł się już na jedno kolano, gdy rzucił wzrokiem na stojącego przed nim mężczyznę i niewiele brakowało, żeby upadł z powrotem.

– Hej, mały! – Cyborg wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciach. Pochylał się teraz nad nim z rękami opartymi na kolanach i szerokim uśmiechem na twarzy. – Jeśli nie umiesz pić, to chociaż patrz, gdzie idziesz!

*Koyomi i Tanji mieli rację*, pomyślał Hugo, niezdolny wykonać jakikolwiek ruch. *Ten facet był ogromny. Dlaczego wcześniej tego nie widziałem?*

Bo Hugo zaślepili pieniądze i chęć udowodnienia Vectorowi, że potrafi dobrze wykonać zadanie. W rezultacie zamiast ostrożnością i spostrzegawczością wykazał się głupotą.

Patrzył teraz, jak otwierają się bicepsy cyborga i ze środka każdego rozkłada się błyszczący mechanizm ze szczypcami na końcu. Szczypce chwyciły go pod pachy i uniosły, tak że znalazł się oko w oko z cyborgiem, a nogi majtały mu w powietrzu. Chwyty był tak miażdżący, że musiał zagryzać usta, żeby nie płakać z bólu.

– Lepiej idź do domu, dzieciaczku. – Cyborg zmierzwił mu włosy normalną prawą dłonią w udawanym geście serdeczności. – Mamusia z pewnością się zamartwia.

Nie puszczając Hugo, obrócił się wokół własnej osi i cisnął nim o zamknięte drzwi. Chłopak odbił się od nich i ponownie upadł na kość ogonową.

Tym razem nie mógł powstrzymać krzyku bólu i nic go nie obchodził ponowny wybuch śmiechu. Z trudem podniósł się na nogi i czym prędzej uciekł z baru. Kiedy chwiejnie włókł się na drugą stronę ulicy, żeby znaleźć Koyomi, przez cały czas czuł w kości ogonowej rwący ból.

– Cholera, co ty tam robił? – spytała ze złością przyjaciółka, wyłaniając się z mroku. – Sam zawsze truć, żeby nie zwracać na siebie uwagi podczas zadania. Nawiasem mówiąc, widziałeś cyborga? Wszedł tuż przed tym, jak wyszedłeś. Zadzwońłam do Tanjiego, już jedzie.

Hugo jęknął i zaczął rozcierać najpierw jedną pachę, potem drugą, ledwo uświadamiając sobie, że słyhać już odgłos silnika żyrocykla Tanjiego. Z trudem powstrzymywał łzy bólu. Cyborg nie musiał chwycić go tak mocno. Po prostu sprawiło mu to przyjemność. Sukinsyn.

– Dokąd chcesz go zabrać? – spytał Tanji. – Widziałem parę miejsc...

– Na razie koniec – stęknął Hugo, usiłując się wyprostować. Kość ogonowa natychmiast dała o sobie znać rwącym bólem, jakby chciała przypomnieć, że ona też jest uszkodzona. – Idźcie do domu. Spotkamy się jutro i ułożymy nowy plan.

– Naprawdę? – Koyomi zrobiła wielkie oczy.

– Dlaczego? – Tanji był równie zaskoczony.

– Bo tak mówię. Dlatego – odparł cierpko Hugo.

Tanji przybrał kamienny wyraz twarzy.

– Aha, czyli tak teraz będzie.

– Nie, nic z tych rzeczy – powiedział Hugo poważnie. Tanji ani drgnął, a Koyomi spoglądała nieufnie. – Ale mieliście rację. Jest wielki. Potrzebujemy jeszcze ze dwie osoby.

Tanji przenosił wzrok z Hugo na bar i z powrotem.

– Co tam się stało?

– Nic. – Hugo nie miał zamiaru się przyznawać. – Po prostu dobrze mu się przyjrzałem i instynkt podpowiedział mi, że lepiej nie dziś.

– Okej – zgodził się Tanji. – Poza tym nigdy nie dyskutuję z instynktem.

Koyomi skinęła potakująco głową i wsiadła za nim na żyro, żeby odwiózł ją do domu.

Hugo odczekał, aż znikną z widoku, i dopiero wtedy spróbował dosiąść swojego pojazdu. Szybko jednak zrezygnował i zaczął go prowadzić w kierunku ciężarówki w alejce. Wprawdzie jazda ciężarówką była tylko odrobinę mniej bolesna, ale w żadnym razie nie mógł zostawić pojazdu zaparkowanego przed własnym mieszkaniem.

Ponowne nakrycie auta brezentem przy rampie okazało się nie lada wyzwaniem. Chcąc zrobić to należycie, musiał wspiąć się najpierw na kabinę, a potem na dach części bagażowej. Czynności te powodowały ból. A czekała go jeszcze jazda na żyrocyklu do domu, jeśli nie chce spać na tylnym siedzeniu.

Naprawdę kusiła go ta myśl. Jednak pod brezentem było bardzo duszno i rano obudziłby się chory. Poza tym nazajutrz znacznie bardziej będą bolały go pachy i tyłek. Zawsze następnego dnia jest gorzej.

Ruszył zatem, prowadząc pojazd w stronę katedry. W pewnej chwili usłyszał głosy. Brzmiały znajomo. Nie bardzo potrafił je umiejscowić, ale wiedział, że nie należą do jego przyjaciół. Dobiegały ze środka katedry, a to niedobrze. Każdy wiedział, że lepiej tam nie wchodzić.

To była tamta ekipa z południa. Ci kolesie, którzy go skopali.

Ukrył się za częściowo rozwaloną ścianą i obserwował główne wejście przez lukę pomiędzy cegłami. Nie musiał długo czekać. Wyszło ich trzech – wszyscy naćpani czymś, co znaleźli w środku. Pierwszy szedł ten, co dał mu pożegnalnego kopniaka w nerki. Drugiego Hugo nie rozpoznał, a trzeci miał złote końcówki włosów.

– Hej, chłopaki – odezwał się przywódca, kiedy dwaj pozostali podskoczyli i stuknęli się klatami. – Uciszcie się, dopóki nie wrócimy do domu, dobra?

Nagle na budynku po drugiej stronie ulicy rozświetlił się wielki ekran i cała trójka wzdrygnęła się z zaskoczenia. Ekran włączał się zawsze, kiedy czujniki wykryły ponad dwie osoby w katedrze. Hugo zachichotał w duchu, widząc, że tamci stoją jak wryci, sparaliżowani oglądanymi obrazami. Najwyraźniej w południowych dzielnicach nie mieli takich zewnętrznych urządzeń.

– O ja! Kręcą się tu łowcy? – spytał jeden z gości. – Patrzcie na te wszystkie cele!

– Jeśli widzisz cel, dzwoń do Fabryki – odezwał się przywódca, przeciągając dłonią przez idiotycznie ufarbowane włosy. – Zresztą z tej odległości usłyszają cię bez telefonu.

Hugo dostrzegł błysk miedzi na jego nadgarstku.

– Czemu jakiś diler trzyma tu towar? Tuż obok ekranu z celami dla łowców nagród? – powiedział drugi koleś. – Przecież to debilne!

– A to cholernie dobry towar – stwierdził pierwszy.

I to był dobry powód, żeby powtórnie stuknąć się klatami.

– Najwyraźniej wzięliście za dużo. Będę musiał was wsadzić pod zimny prysznic.

Było widać, że przywódca traci cierpliwość.

– Nie rozumiem, dlaczego nie weźmiemy wszystkiego i sami nie sprzedamy – odezwał się znów pierwszy.

– Bo dowiedzą się, że to my go ukradliśmy i będą nas ścigać – odparł przywódca powoli i wyraźnie, jakby mówił do małego dziecka. – I nikt nie kiwnie



palcem, żeby nam pomóc.

– Moglibyśmy skopać im tyłki. A potem wypiąć się na tych, co nas nie wsparli  
– stwierdził drugi koleżka.

– To komu będziemy sprzedawać?

Pozostali dwaj się zmieszali. Przywódca objął ich za ramiona.

– Ziomki, czy ja was trzymam, żebyście za mnie myśleli?

Potrząsnęli przecząco głowami.

– Właśnie. To po co? – Odczekał chwilę. – Żeby z wami imprezować! Dlatego tu jesteście i dlatego zachowamy ten skarb dla siebie, tylko dla nas trzech. Nikt inny z ekipy nie musi o tym wiedzieć.

– Ale jak ty się dowiedziałeś? – spytał drugi koleś. – Chociaż to nam powiedz.

– Nie mogę zawieść zaufania – odparł przywódca ze smutną miną. – Usłyszycie ode mnie tylko tyle, że handlarze narkotyków powinni być znacznie miłsi dla ludzi, z którymi zdradzają swoich partnerów i nie zrywać z nimi przez wiadomość tekstową. Bo to bardzo rani uczucia takich osób i budzi w nich chęć, żeby opowiedzieć przyjacielowi, gdzie diler chowa swój towar. No, dalej, idziemy. Do przystanku autobusowego mamy całą przecznicę, a ja chcę dotrzeć do domu przed świtem.

– A kiedy tu wrócimy? – dopytywał się płaczliwie drugi koleś.

– Za dwa, trzy dni – odparł wspaniałomyślnie.

– Ale raczej dwa? – odezwał się z nadzieją pierwszy.

Hugo odprowadzał ich wzrokiem, gdy wlekli się ulicą. Wszyscy są naćpani i zamierzają jechać autobusem? Ci kolesie to naprawdę geniusze. Musiał stłumić chichot, kiedy pomyślał, że na południu zapewne nimi są.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym się wyprostował. Pachy i kość ogonowa dały mu znać, co o tym myślą, ale czuł je odrobinę mniej. Wiedział, jakiego towaru próbowali. Hrabina od lat chowała zapasy w katedrze. Trudno powiedzieć, żeby Hugo ją lubił, w końcu kto lubi dilerów, ale przynajmniej nigdy nie przeszkadzała mu, kiedy wchodził na platformę iglicy.

Podczas jazdy odkrył, że nie ma pozycji, w której nie odczuwałby bólu.

Odciążenie kości ogonowej zwiększało nacisk na pachy i odwrotnie. Kręcił się więc, raz cierpiąc bardziej od pasa w dół, raz od pasa w górę, i w końcu udało mu się jakoś dotrzeć do domu. Trzeba mieć jego pecha, żeby nabawić się urazów w dwóch partiach ciała, gdzie to jest najbardziej uciążliwe i wzbudza największe rozbawienie.

No i nie może nikomu o tym powiedzieć. *Facet chwycił mnie pod pachy. Czy bolało? Myślałem, że umrę.* Tanji posikałby się ze śmiechu. Koyomi zapewne miałyby tyle przyzwoitości, żeby nie śmiać się otwarcie. Lepiej nie myśleć, co by powiedzieli, gdyby się przyznał, że siedzenie sprawia mu ból. Do końca życia przesyłałby mu reklamy domin oferujących klapsy.

Cholera.

Kiedy nareszcie dojechał do domu, sprawdził najpierw, czy jego kasetka jest bezpieczna. Potem poświęcił jeszcze trochę czasu na przeliczenie kredytów – tak na wszelki wypadek, bo a nuż poprzednio się pomylił i ma ich mniej niż sądził. Albo mogły cudownie się rozmnożyć dzięki łasce anioła stróża, dobrej wróżki lub tajnego agenta wszechświata wysłanego z misją, żeby sprawić, by życie było sprawiedliwe. Co prawda nie wierzył w żadną z tych postaci, ale cóż on tam wiedział.

Nie pomylił się ani na plus, ani na minus.

Po tym, jak starannie ukrył kasetkę z powrotem, rozebrał się do bielizny, rzucając ubranie przy łóżku. Kiedy próbował się położyć, kość ogonowa zaprotestowała przeciw pozycji na plecach, a pachom nie odpowiadało leżenie na boku. W końcu przewrócił się na brzuch, a kiedy wyciągnął ręce, by poprawić poduszkę, przekonał się, że tego też nie powinien robić. Nie było również mowy o pozycji embrionalnej.

W końcu ułożył się tak, że odczuwał na stosunkowo mały ból. Może uda mu się na chwilę zasnąć. Odpłynął dopiero jakiś czas po wschodzie, rozmyślając o tym, że po raz pierwszy rozumie, dlaczego ludzie mogą chcieć wymieniać części ciała, z którymi przyszli na świat, na coś mniej wrażliwego.

## ROZDZIAŁ 14

On jest krnąbrny – oświadczyła Chiren.

– A co to niby oznacza? – spytał Vector poirytowanym tonem.

*Niewątpliwie zepsułam mu dzisiejszą specjalną kolację, pomyślała z gorzką satysfakcją Chiren. Jedli pieczeń wołową z antrykotu, żeby uczcić początek pasma nieustających sukcesów Vectora, które miał mu zapewnić paladyn z superchipem. Chiren prawie nie tknęła posiłku, co zdążyło wstępnie rozdrażnić jej szefa. Ilekroć nie wyrażała dostatecznie uniżenie swojej wdzięczności, przybierał urażoną minę. Jeśli dalej będzie tak się wykrzywiał przy każdej okazji, niedługo będzie musiał wymienić sobie części twarzy.*

– No? – warknął niecierpliwie podmiot jej rozmyślań.

– Jest uparty – wyjaśniła Chiren. – Nie można nim kierować. Nie potrafi dobrze współpracować z nikim, nawet sam ze sobą. Każdy zespół, w jakim go umieścimy, odejdzie, nawet sparingowy Fabryki.

Vector znieruchomiał z ręką na butelce wina.

– Żartujesz.

– Poczucie humoru opuściło mnie wieki temu.

Chiren usłyszała odgłos otwieranych drzwi za jej plecami. Wszedł ochroniarz pełniący rolę kelnera, żeby sprawdzić, czy czegoś im potrzeba. Obsługa w biurze Vectora była nienaganna.

– Wynocha – warknął Vector.

Drzwi szybko się zamknęły.

*To zemściłoby się na nim, gdyby sprawiedliwość istniała, pomyślała Chiren. Ale*

*sprawiedliwości nie ma i nigdy jej nie było.*

– Mów – polecił Vector. – Jesteś na stadionie cały czas. Lepiej ode mnie wiesz, co tam się dzieje.

– On jest krnąbrny – powtórzyła. – Nie chce współpracować, nawet kiedy to leży w jego interesie.

– Pierwszy raz mam do czynienia z kimś takim – odparł Vector. – Nie da się nim kierować, ludzie chcą przez niego odchodzić. A on czego chce?

Chiren wzruszyła ramionami.

– On chce, czego chce, wtedy kiedy chce.

– Aaa... – Vector pokiwał ze zrozumieniem głową. – Satisfakcji.

Czasem zapominała, jaki jest inteligentny. Musi pamiętać, by go nie lekceważyć.

– To zatrudnij trenera, żeby się z nim użerał i zapewniał mu to, czego gość pragnie.

– To by dało się zrobić, gdyby chciał lizaki – stwierdziła Chiren, odcinając kawałek pieczeni. – Ale on pragnie, żeby świat nie był taki wolny. Żeby wszyscy go kochali. Ma ochotę zawsze wygrywać, nawet bez prób, i to nie tylko w motorballa.

– To zorganizuj mu harem i chór potakiwaczy.

– Próbowałam. Ale pewnych rzeczy nawet potakiwacze nie zniosą, za żadne pieniądze.

Vector wyrzucił ręce w górę w geście rozpaczy.

– Czego ty ode mnie chcesz? Zdobyłem dla ciebie ten układ. Powiedziałaś, że można go umieścić tylko w ciele cyborga na tyle zaawansowanego, by poradził sobie z takim przyspieszeniem, bo inaczej chip może wysadzić wszystkie nerwy. Wtedy załatwiłem ci części do takiego cyborga, żebyś nie musiała go budować od zera. Nawiasem mówiąc, nie ma za co...

– To co, mam ci wręczyć medal? – Chiren roześmiała się krótko. – Musiałam nieźle się napracować nad tymi częściami, zanim mogłam umieścić w nich chip.

– I powiedziałaś wtedy, że to będzie najlepszy zawodnik wszech czasów,

lepszy nawet od Grewishki, zanim ten wszystko spieprzył i wrócił mieszkać w kanałach. Mnóstwo mi naobiecowałaś, a ja mnóstwo zniosłem z twojej strony...

Chiren nie dowierzała własnym uszom.

– Ty mnóstwo zniosłeś? Z mojej strony?

– ...I nagle nie potrafisz spełnić obietnic, bo masz problemy – ciągnął Vector, jakby wcale się nie odezwała. – Nie płacę ci za to, żebyś miała problemy. Płacę, żebyś budowała mistrzów. Ściągnij go na tor na jutrzejsze zawody.

Chiren odkroiła sobie jeszcze jeden kawałek pieczeni.

– Cóż, jest pewien małeńki prob... Drobną trudność – dokończyła.

– I co z tego. Załatw to.

– Potrzebuję wielkiej pomocy. Naprawdę wielkiej.

– Więc weź sobie kogoś do pomocy!

Vector zaczynał być niebezpiecznie sfrustrowany jej zachowaniem. Wprawdzie nigdy jej nie uderzył, ale zdarzało mu się złapać ją za rękę tak mocno, że zostawały siniaki.

– Powiedziałaś wielkiej pomocy. Każdego, kogo akurat nie potrzebujesz. Bez wyjątku.

Przez chwilę Vector wpatrywał się w nią w milczeniu. Wreszcie go oświeciło.

– O, Boże. – Odchylił głowę i zamknął oczy. – Nie możesz go znaleźć.

– Brawo – odparła Chiren bezbarwnym tonem.

– Przecież wczoraj wieczorem widziałem go na stadionie z trenerem. Co się stało? – spytał grobowym tonem.

– Ty! Ty go zainspirowałeś. Wyszedłeś, żeby gdzie indziej robić coś bardziej interesującego, a on postanowił pójść za twoim przykładem. Chciał udać się w miejsce, które nie będzie go tak wkurzać, jak powiedział Edowi, opuszczając stadion.

– Wyjechał na rolkach? – spytał Vector z niedowierzaniem.

– Nie, najpierw kazał Edowi, żeby założył mu stopy.

Chiren zerknęła na Zalem i poczuła, jak ogarnia ją fala silnej tęsknoty.

– Ed to kretyn.

– Nie. Ed jest spostrzegawczy. Zorientował się, co się stanie, jeśli nie pozwoli Chase'owi postawić na swoim. Ale nie musisz mi wierzyć na słowo. Obejrzyj materiały. Ekran, proszę.

Na ścianie po lewej stronie Chiren rozjaśnił się ekran. Akurat ten gadżet w gabinecie Vector pozwalał jej obsługiwać, niczego innego nie mogła dotykać. Nagrania, które chciała mu pokazać, były już przygotowane.

Na pierwszym ukazał się Chase w czerwono-pomarańczowej zbroi z wzorem płomieni, jeździł na rolkach za zespołem ćwiczebnym. Członkowie tej grupy ledwo zasługiwali na miano paladynów, ale kiedyś byli poważnymi kandydatami do mistrzostwa. Trudy życia, kontuzje i wiek nadwątlily ich umiejętności, co nie znaczyło, że zawodnicy są łatwymi przeciwnikami. Każdy, kto z nimi trenował, czuł to następnego dnia.

Chase bardzo szybko ich dogonił, choć robili, co mogli, żeby się oddalić. Wtedy zaczął się z nimi bawić: pozwalał im myśleć, że mu uciekli, po czym błyskawicznie ich dopadał i znów zwalniał, dając im się nabrać, że są dla niego za szybcy.

– Czy to nowa zbroja? – spytał Vector.

– Tak mu powiedzieliśmy. Nie włożyłby niczego, co było „wcześniej używane” lub „ówcześnie noszone”. – Chiren zrobiła przy tym gest cudzysłowu w powietrzu.

Na ekranie było akurat widać, jak Chase opuszcza górną część ciała i pochyla do przodu, przygotowując się do ataku na zespół Fabryki. Chwilę później wydawało się, że nastąpił wybuch, gdy rozrzucał na wszystkie strony ciała przeciwników, które przy okazji traciły co najmniej jedną kończynę. Jasnoniebieska cyberkrew spryskała tor, bandę i samych zawodników.

– No, właśnie takie zachowanie chcę oglądać u swoich zawodników na torze... Niech roznoszą przeciwników. – Vector był podniecony. – Jak szybko możemy zdobyć po chipie dla każdego naszego paladyna?

– Gdy tylko wszyscy będą mieli udoskonalony rdzeń kręgowy i OUN. Aha, i muszę wymyślić, jak przerobić chip, żeby nie szaleli z gniewu – odparła niedbale Chiren. – Z pewnością więc nie w najbliższym czasie. – Przerwała. – A może

nigdy.

– To normalne, że paladyni mają wybuchowe usposobienie – stwierdził zirytowany Vector. – Żeby wygrywać, muszą być agresywni.

Boże, jak bystry facet może być tak głupi, pomyślała Chiren.

– Ten chip zwiększa agresję tak, że osobnik wymyka się spod kontroli. Jashugan jest najbardziej opanowanym paladynem, jakiego widziałam, ale z tym chipem ogarnęłyby go mordercze skłonności, zanim zdążyłby się pohamować. Ten procesor zniszczyłby jego i jego OUN.

– To w takim razie musimy opracować lepszy chip i lepszy OUN – oświadczył Vector denerwująco rozsądnym tonem. Zupełnie jakby radził jej, żeby wzięła parasol, bo pada. – Cokolwiek to jest ten OUN.

– Ośrodkowy układ nerwowy. – Westchnęła. – Co rusz wpadasz do laboratorium, więc myślałam, że podłapałeś parę rzeczy.

– Lepiej nie myśl za dużo. – Vector rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Ale za to mi właśnie płacisz, za myślenie. Mam jeszcze coś. Przesuń na Juggernauta – poleciała ekranowi.

Juggernaut miał cztery ręce, a zamiast nóg trzy koła: jedno z przodu i dwa mniejsze z tyłu. Na ekranie było widać, jak pędzi po torze, wyraźnie usiłując jechać jak najszybciej. Nagle w tył głowy trafiła go piłka. Gdyby jechał na rolkach, natychmiast by się przewrócił. Jego kółka natomiast przestawiły się, żeby przywrócić równowagę. Górna część ciała gwałtownie się przechyliła i zachwiała, a wszystkie cztery ręce zaczęły machać, jakby udawały ramiona semafor.

– Może trzeba było włożyć ten chip Juggernautowi – zauważył Vector. – Takie ramiona i koła dałyby mu zajęcie.

– Niezły pomysł, ale dodatkowe kończyny musiałyby być bardziej skomplikowane od tych zwykłych kółek i rąk – odparła Chiren. – Kończyny w kończynach, ruch w ruchu.

Vector skinął głową.

– W porządku, oddeleguję kogoś do tego.

Z pewnością, pomyślała Chiren, obserwując jednocześnie, jak na ekranie za

Juggernautem pojawia się Chase, tym razem w błyszczącej czarnej zbroi. W ramce w lewym dolnym rogu widać było, że poruszają się z prędkością dwustu siedemnastu kilometrów na godzinę. Chase podjechał do przeciwnika od lewej i wyskoczył w powietrze, obracając się tak szybko, że zdążył go kopnąć dwukrotnie, zanim ponownie opadł na bieżnię. Juggernaut runął na tor, kręcąc kółkami w powietrzu.

Chase zrobił gwałtowny zwrot. Podjechał do konkurenta, wyrwał mu rękę i zaczął go nią okładać.

Po chwili zaroili się wokół niego paladyni, starali się go powstrzymać. Jednym z nich była zwodniczo delikatna kobieta w jasnokarmazynowej zbroi, której udało się na tyle długo skupić na sobie uwagę Chase'a, że pozostali zdołali odebrać mu rękę. Ale wtedy urwał Juggernautowi drugą i zaatakował nią pozostałych paladynów. Na ekranie pojawił się teraz Jashugan, który próbował go uspokoić.

Ale już w następnej chwili wszyscy paladyni leżeli na ziemi, a Chase zniknął.

– Pauza – poleciała Chiren ekranowi.

– Cholera, co to było? – odezwał się Vector.

– Mogę ci to puścić w zwolnionym tempie, żebyś dokładnie zobaczył szczegóły, ale wcale ci się to nie spodoba. Kiedy inni paladyni otoczyli Chase'a, skoczyła mu adrenalina i dlatego ich wszystkich powalił.

– Ale nie rozumiem. Przecież wszyscy są w tym samym zespole.

– Poczul się zagrożony. Jego reakcje były zbyt szybkie, żeby zdążył się zastanowić – odparła Chiren. – Naprawienie wszystkich szkód zajęło mi dwie pełne doby.

– A czy oni będą mogli brać udział w zawodach jutro wieczorem? – spytał Vector.

– Tak, wszyscy są sprawni. Tyle że Chase zniknął. Gdzieś tam łązi i robi nie wiadomo co. Z pewnością wdaje się w bójki. Skończy się na tym, że wyznaczą cenę za jego głowę.

Vector odchylił się na oparcie krzesła, wziął serwetkę z kolan i rzucił ją na niedokończoną kolację.



– A któryś z łowców skasuje mu głowę po złupieniu jego ciała. I tyle będziemy widzieli nasz chip, który pewnie trafi do tych kanałii z północy. Trzeba było porwać wszystkich sześciu, ale myślałem, że to wzbudzi podejrzenia.

– Może któremuś z twoich ulicznych szczurów uda się wcześniej dotrzeć do ciała – zastanawiała się głośno Chiren. – Wtedy mógłbyś go od nich odkupić.

– To wszystko twoja wina – oświadczył Vector. – Spieprzyłaś chip, zamiast go udoskonalić, jak obiecywałaś.

*Nie. Mój błąd polegał na tym, że pozwoliłam ci się namówić na włożenie prototypu do cyberciała nieprzewidywalnego młodego człowieka, który ledwo przekroczył próg dojrzałości,* odpowiedziała mu w duchu Chiren. Znow westchnęła.

– No? – rzucił ostro. – Jak zamierzasz to naprawić? To, co dotyczy motorballa, dotyczy także mnie osobiście i wszystkich z mojego otoczenia.

Chiren uniosła jedną idealnie zarysowaną brew.

– Mnie też zaliczasz do tej grupy?

– Ty sama wyrzuciłaś sobie krzywdę, kiedy to zawaliłaś. I co z tym zrobisz?

– Mogę iść go szukać. Może zabiorę wielką siatkę na motyle.

Oczy Vectora zwęziły się w szparki.

– Twierdzisz, że jesteś pozbawiona poczucia humoru, a potem wymądrzasz się, jakbyś sądziła, że jesteś zabawna.

– A może obejrzyysz sobie następne filmiki? – zaproponowała Chiren. – Na niektórych ujęciach odrywa cyberkę swojemu trenerowi, a potem...

– Niech zgadnę... Wali go nią po głowie – rzucił Vector bezbarwnym tonem. – Czy robi coś innego?

– Jest niebezpieczny, ale mało nowatorski.

Vector polecił ekranowi się wyłączyć.

– Powiem moim ludziom na ulicy, żeby go odszukali. Dyskretnie.

Chiren uniosła brwi. Czy on naprawdę myśli, że jego szczury są dyskretne?

– Nawet gdybyś go znalazł w ciągu najbliższych piętnastu minut, wątpię, żeby do jutra wieczorem był gotów do wyścigu.

– Zobaczymy. – Wskazał na jej talerz. – Jeśli skończyłaś, może przebierzesz się w coś wygodniejszego. Mam jeszcze kilka rozmów do załatwienia, a potem do ciebie dołączę. To nie potrwa długo, więc zaczekaj na mnie.

– Jeśli mam jutro pracować, muszę się przespać – zaprotestowała.

– Dobrze, to nie czekaj. Obudzę cię.

Właśnie tego jej teraz trzeba – kolejnej porcji kiepskiego seksu. Chiren wstała i wyszła z pokoju, boleśnie świadoma, że on gapi się na jej tyłek. Cholerne szpilki.

\*\*\*

Vector skontaktował się z Gamotem przez komunikator głosowy i zlecił mu przeprowadzenie potajemnych poszukiwań. Wolałby wykorzystać do tego Soledad, ale kiedy do niej zadzwonił, usłyszał tylko nagrany suchy komunikat, że jest niedostępna, nawet nie poproszono go o zostawienie wiadomości. Zanotował, by potem zająć się tym i sprawdzić, z czego się tak cieszy, że może mieć go w nosie. Ale najpierw musi ululać tego awanturniczego paladyna.

No właśnie...

\*\*\*

Po wszystkim Chiren obróciła się do Vectora plecami, udając, że śpi. I tak go to nie obchodziło. Nie wkładał w to serca.

Zresztą, nigdy go nie wkładał. Miała wrażenie, że on po prostu jest pozbawiony serca, a zamiast niego ma mechanizm, który mówi mu, co się opłaca, a kiedy nie warto się pocić. Co prawda nigdy nie spotkała go spoconego poza sypialnią. W apartamencie było zimno jak w lodówce, a w limuzynie też niemal widziała swój oddech. Może dostosowywał temperaturę powietrza do ciepłoty, a właściwie chłodu swojej krwi.

W każdym razie nie trwało to długo. Potem wstał, włożył jedwabną piżamę

i szlafrok, i wrócił do biura – zupełnie jakby zrobił sobie przerwę na kawę. No i dobrze.

\*\*\*

Kilka godzin później Vector stał obok łóżka, popijając ostatniego drinka i obserwując śpiącą Chiren. Ma szczęście, że jest taka dobra w tym, co robi. Dopóki dba o to, żeby jego paladyni zwyciężali, on może znosić jej gwiazdorskie zachowania. Ale naprawdę poważnie go zawiodła, kiedy straciła Chase'a i chip. Miał nadzieję, dla jej dobra, że nie był to zwiastun na przyszłość. Kiedy zacznie sprawiać więcej kłopotów, niż jest z niej pożytku, wrzuci ją do własnego zsypu na śmieci, a to lądowanie będzie bez porównania twardsze niż przy upadku z Zalem.

Ale na razie nadal była przydatna. Ona i ten dzieciak ze swoją ekipą, Hugo.

Stale zapominał jego imienia, może dlatego, że tamten był nikim.

Choć malec przynajmniej nie uważał się za nie wiadomo kogo. Kiedy coś sknocił, nie zaczynał wciskać kitu. I choć nie był geniuszem, to miał na tyle inteligencji, by nie powtarzać tego samego błędu.

Przyszło mu na myśl, że powinien zachęcić Hugo, aby częściej kręcił się po klinice Ido. Może doktor pracuje nad innymi rzeczami, o których chciałby pogadać. Biedny facet musi czuć się samotny – teraz, kiedy jego córka nie żyje, a żona tak wysoko awansowała. Hugo mógłby udawać, że chce zostać jego protegowanym. Naukowcy uwielbiają mieć podopiecznych, czyż nie?

Vector podszedł do okna i stuknął w kontrolkę, żeby stało się przezroczyste. Nikt inny nie miał tak niesamowicie rozległego widoku. Nie zawracał sobie głowy patrzeniem na Zalem, który w nocy stanowił tylko ciemniejszy cień na niebie. Miasto Złomu natomiast przeciwnie – wyglądało, jakby ktoś rozsypał ogromną garść migoczących klejnotów.

Unoszące się w powietrzu miasto miało być wspaniałym, lepszym światem wypełnionym lepszymi ludźmi. Tymczasem jeśli Chiren i Ido byli typowymi

przedstawicielami tamtejszej rzekomo lepszej społeczności, to Vector nie był nią zachwycony.

## ROZDZIAŁ 15

*Trzeba było zatrudnić pielęgniarkę o wiele wcześniej, pomyślał Ido, przyglądając się, jak Gerhad dostraja cybernetyczną rękę Courage i plotkuje ze Spirit. Powinni z Chiren znaleźć pomoc, kiedy tylko otworzyli klinikę. Rozładowałyby to znaczną część ich konfliktów ze stresu. Niestety wiedział, że Chiren niechętnie wpuściłaby kogoś z zewnątrz, na dodatek z ziemi, do jakiegokolwiek sfery ich życia. Mimo że ów ktoś tylko pomagałaby przy pacjentach. Pracować z osobą urodzoną na ziemi, jakby należeli do tej samej klasy? Całkiem możliwe, że odeszłaby wcześniej, zabierając córkę. Ale może wtedy córka wciąż by żyła.*

Ido bezlitośnie słamsił tę myśl. Nie było sensu gdybać, kiedy miał mnóstwo prawdziwych zmartwień. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że Gerhad spogląda na niego wyczekująco.

– Przepraszam? – zaproponował nieco zakłopotany.

Gerhad i Spirit wymieniły spojrzenia.

– Pytałam przed chwilą, o której zamierza pan wrócić i czy mam poczekać. Ale jeśli pan nie wychodzi, to nie ma znaczenia.

Twarz Ido się rozpalila.

– Mam dużo na głowie – powiedział.

– A kto nie ma? – odparła Gerhad. – Proszę o tym pomyśleć po drodze – odprawiła go lekkim gestem dłoni.

Ido pokiwał głową i ruszył w stronę drzwi, ale po kilku krokach przystanął.

– Zadzwoń do mnie, jeśli...

– Będę pana potrzebowała. – Gerhad jeszcze raz pokazała mu „Sio!”, tym

razem bardziej energicznie. – Proszę już iść, bo wykupią wszystkie dobre części, zanim w ogóle dotrze pan na rynek. Potrzebujemy więcej serw.

– Jak co dzień – zapewnił ją Ido. – Okej, idę. Teraz już na serio.

Wyszedł przez mieszkanie, żeby nie rozmawiać z pacjentami w poczekalni. Wyjście wzbudziło w nim jednocześnie poczucie winy i ulgę, głównie to pierwsze. Gerhad jednak zapewniła go, że poradzi sobie z pacjentami umówionymi na popołudnie, którzy nie potrzebowali nic więcej niż paru poprawek, dostrojenia i testów diagnostycznych. Była w końcu doświadczoną pielęgniarką, wcześniej pracowała na oddziale ratunkowym. Nie rzucał pacjentów na pastwę losu, ani nie rzucał swoich obowiązków na Gerhad, by pójść się wyszaleć na mieście. Ale i tak dręczyło go, że ją okłamał.

To, co powiedział, nie było zupełnym kłamstwem – naprawdę zamierzał szukać serw. Przede wszystkim jednak wyszedł spotkać się z Ajakuttym, który zadzwonił do niego niespodziewanie z informacją, że wpadł na trop Chase'a.

Od kilku dni po mieście krążyły plotki o dezercji superszybkiego paladyna. Vector temu zaprzeczał i zapewniał, że jego najnowsza gwiazda wciąż trenuje, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas, pojawi się na torze i rozegra wyścig, który trafi do historii. Jednak kiedy pozostali zawodnicy zaczęli pytać, co się dzieje, Vector kazał im nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Wiadomo, nie oczekujemy, że będzie z nami szczery – powiedział Ajakutty. – Vector kłamie cały czas, na każdy temat.

Spotkali się w kawiarence na pograniczu południowej dzielnicy. Ajakutty był praktycznie nie do rozpoznania. Ido zdał sobie sprawę, że pierwszy raz widzi go w cywilu. Bez pancerza i ostrzy wydawał się prawie drobnej budowy. Ludzie nie zwracali na nich najmniejszej uwagi.

– Może i tak – odparł Ido, wpatrując się w swoją kawę. – Ale nie rozumiem, dlaczego zadzwoniłeś do mnie zamiast do niego.

Ajakutty zrobił zboląłą minę.

– Bo to nie jest takie proste. Jakbym poszedł do Vectora i przyznał się, że wiem, gdzie jest jego nowy koleś i co wyprawia, to tak naprawdę powiedziałbym

mu, że przyłapałem go na kłamstwie. Nie jestem aż taki dobry, żeby mi to przepuścić. Jak pan myśli, co by się ze mną stało?

– Nic dobrego – przyznał mu rację Ido.

– Obudziłem się pod drzwiami prefekta w pudle części rowerowych, i to nawet nie od mojego roweru. – Ajakutty pokręcił głową. – Powiedział pan, że nie wróci, i ja to szanuję. Ale jak zacząłem się zastanawiać, komu mogę zaufać... – Wzruszył ramionami. – Miałem pomysł, żeby nikomu nic nie mówić i poczekać, aż Vector sam to odkryje. Tak byłoby najbezpieczniej. Ale ten nowy chłopak... Nie wystartował jeszcze ani razu, a na treningach tylko urywa ludziom ręce, a potem tłucze ich nimi po głowie. Nikt nie chce być z nim w zespole. Ja w każdym razie na pewno nie. Ale jest paladynem. Jednym z nas. Vector zachowuje się tak, jakby wszystko było okej, ale nie jest, i to na poważnie. Według mnie chodzi o ten nowy chip.

Ido wpatrywał się w swojego rozmówcę, mając nadzieję, że jego twarz nie wyraża zaskoczenia, które odczuwał. Jeszcze nigdy nie słyszał tak długiej wypowiedzi z ust Ajakutty'ego, zdumiała go też jego troska o innego człowieka, na dodatek o kogoś, kogo ledwie znał. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że jedyny kontakt między nimi miał miejsce w boksie podczas wyścigów i treningów. Znał tylko Ajakutty'ego-paladyna, a nie człowieka kryjącego się pod pancerzem.

– Przykro mi – odpowiedział – ale nie sądzę, żebym mógł coś pomóc. To nie ja zainstalowałem ten chip, tylko Chiren.

– Ale pracowaliście razem. Myślałem, że może będzie pan wiedział, co zrobiła źle.

Ido przyszedł do głowy całe mnóstwo odpowiedzi, których mógłby udzielić Ajakutty'emu, ale postanowił go nie obciążać. – Jeśli go znajdę, spróbuję go przekonać, żeby wrócił do Chiren i pozwolił jej się nim zająć.

Ajakutty wyglądał na zawiedzonego.

– Rzecz w tym, że on nie jest moim pacjentem – wyjaśnił Ido. – Gdybym zrobił coś więcej, Vector mógłby twierdzić, i miałby rację, że ingerowałem w zdrowie jego zawodnika.

Zawiedziony wyraz twarzy Ajakutty'ego przybrał na sile.

– Czyli gdyby potrafiła go ciężarówka i leżałby na środku ulicy w kałuży cyberkrwi, podrygując i puszczając iskry, to zostawiłby pan go w tym stanie, żeby nie ingerować?

– To nie to samo – odpowiedział Ido najserdeczniej jak potrafił.

– Według mnie tak – stwierdził Ajakutty. – Tyle że ja teraz muszę iść na stadion i zachowywać się, jak przystało na paladyna, czyli udawać, że wszystko jest okej. – Kiedy wstał od stołu i zasunął krzesło, jego mina nagle zmiękła. – Przepraszam. Postawiłem pana w niezręcznej sytuacji. Proszę zapomnieć, że cokolwiek mówiłem. – Zawahał się. – Ale gdyby chciał pan wiedzieć, gdzie on będzie dziś w nocy, bo nie na stadionie motorballowym, to wysłałem adres na pana telefon. Proszę nie pytać, jak go zdobyłem. Jakby co, miejsce rozkręca się koło północy.

– Ajakutty, czekaj – zatrzymał go Ido. Ajakutty odwrócił się twarzą do niego. – Gdybyś z jakiegokolwiek powodu chciał odwiedzić moją klinikę, nie wahaj się. Najlepiej po godzinach. Mam wtedy więcej czasu.

Ido przez chwilę miał wrażenie, że Aja go uściśnie.

– Dziękuję. I proszę się nie martwić, zachowam to dla siebie.

Ido przyjrzał się, jak paladyn wychodzi z kawiarni i dosiada żyrocycla zaparkowanego przy krawężniku, po czym doktor zerknął na telefon. Adres, który podał mu Ajakutty, znajdował się w połowie drogi pomiędzy kawiarnią a skrajem wysypiska. Cóż za zbieg okoliczności.

Kupił jeszcze jedną kawę, wmawiając sobie, że kiedy ją wypije, wróci do kliniki i spędzi resztę dnia, przyjmując pacjentów z Gerhad. W żadnym razie nie uda się pod południową granicę wysypiska, żeby szukać serw. A nawet gdyby mu się zdarzyło, na pewno nie zostanie tam do północy.

Gdyby jednak, poszukując części zamiennych, stracił rachubę czasu, a potem zupełnie przypadkiem wpadł na wagarującego paladyna, który z siebie tylko znanych powodów zgodziłby się oddać mu chip, byłby to po prostu łut szczęścia.



\*\*\*

Adres okazał się trudniejszy do zlokalizowania, niż Ido zakładał. Doktor minął wejście co najmniej dwa razy, zanim zorientował się, gdzie ma iść. Drzwi pośrodku wąskiej alejki między dwoma budynkami sprawiały wrażenie, jakby wybudowano je wyłącznie po to, by stały puste i zaniedbane. Zabite deskami okna były pokryte całymi pokoleniami graffiti – niezliczone tagi nanoszono jeden na drugi.

Fluorescencyjne strzałki przymocowane do ścian wewnątrz wskazywały drogę ku klatce schodowej prowadzącej do piwnicy. Pełniły rolę przewodników do głębokości trzeciego poziomu, gdzie ich funkcję przejęły dochodzące z dołu ludzkie głosy. Schodząc z ostatniego ciągu schodów, Ido szacował, że znajduje się co najmniej siedem pięter pod ziemią.

Potęźnie zbudowana kobieta pełniąca wartę u wylotu klatki schodowej była o głowę wyższa od niego. Miała na sobie krótką spódnicę w kratę, niedorzecznie czystą białą bluzkę i krawat zawiązany w węzeł windsorski. Włosy uformowane w kolce, które wyglądały, jakby mogły przebić skórę, odstawały z jej głowy we wszystkich kierunkach. Ido skojarzył jej wygląd z jednym z nostalgicznych trendów modowych.

Kobieta spojrzała na niego tak, jakby był najmniej interesującym obiektem, jaki w życiu widziała.

– Broń – padło z jej ust.

– Słucham? – bąknął zbity z tropu Ido.

– Broń. Ma pan jakąś broń?

– Nie – odpowiedział. – Żadnej broni.

Skinęła głową w stronę torby, którą miał przewieszoną przez ramię.

– Co jest w środku?

– Byłem zbierać złom.

– Coś ciekawego – powiedziała ospale.

Ido potrzebował chwili, żeby zdać sobie sprawę, że to było pytanie.

– Nie... Tylko to... – Wyłowił z torby fragment serwu.

– Okej – odpowiedziała tym samym kompletnie znudzonym tonem, po czym wyciągnęła do niego rękę. – Dłoń. – Ido zastosował się do polecenia, na co kobieta sięgnęła po stempel i przetoczyła go po grzbiecie jego dłoni. – To oznacza, że przyszedł pan bez broni. Nieuzbrojeni są na lewo od wejścia. Albo może pan próbować szczęścia z uzbrojonymi. Zakazu nie ma. – Przepchnęła go przez drzwi do gigantycznego mrocznego pomieszczenia.

Ciepłe powietrze było gęste od oparów alkoholu, potu i zapachu zbyt wielu osób stłoczonych zbyt głęboko pod ziemią. Ido miał wrażenie, że nie starcza mu oddechu, że tu nie wytrzyma. Musiał wyjść, zanim straci przytomność...

Nagle z góry spadł na niego powiew zimnego powietrza, który potrwał tyle, że doktor akurat zdążył wziąć jeden oddech. Może jeśli nie będzie ruszał się z miejsca, doczeka się kolejnego haustu.

– Hej – powiedział ktoś z odległości, którą Ido uznał za o wiele zbyt małą. Odwrócił się i praktycznie dotknął czubkiem nosa spoconej męskiej twarzy, miała w sobie żądzę mordy. – Przesuń się. Nie blokuj powietrza.

Ido usłuchał i stojąc na palcach, rozejrzał się nad głowami tłumu za czymś, co przypominałoby bar. Pośrodku pomieszczenia jaskrawobiałe halogeny oświetlały prostokątny podest otoczony ze wszystkich stron trzema rzędami lin. Platforma przypominała staroświecki ring boksinowy. Ido widział coś takiego w archiwach historycznych Zalemu, ale na żywo jeszcze nigdy.

Nie spuszczać ringu z oczu, poruszał się powoli przez tłok po lewej stronie sali. Nie widział siedzeń – to nie będzie sensowne przedstawienie dla widowni ograniczającej się do klaskania. Miał szczerą nadzieję, że otaczający go ludzie naprawdę nie są uzbrojeni.

Po dłuższej chwili wypatrzył wreszcie bar przy najbliższej ścianie. Ido rozpoznał mężczyznę za ladą, który rozstawiał kieliszki po sześć naraz przy pomocy rozsuwalnych dłoni. Kiedyś wymienił kilka wytartych części w mechanizmach pozwalających rękom zmieniać szerokość.

Barman też go poznał.

– Hej, doktorze – przywitał się z uśmiechem. – Drinka? Ja płacę. Normalne

pieniądze są tutaj bez wartości.

– Od kiedy to się odbywa?

– Bo ja wiem – odparł barman radośnie. Otworzył lewą dłoń niewielką butelkę i popchnął szkło po ladzie w stronę Ido. – Na koszt firmy. Destylowane na Farmie. Nie zrobi panu krzywdy.

– Dzięki – powiedział Ido i posunął w jego stronę kilka kredytów.

– Mówiłem, te pieniądze tutaj...

– Między nami, profesjonalistami... Czy to się zawsze odbywa tutaj?

Barman zgarnął kredyty w sobie tylko znane miejsce.

– Nie.

Ido nachylił się w jego stronę i zniżył głowę.

– Fabryka tego nie sponsoruje, prawda?

– Zgaduję tylko – powiedział rozmówca ostrożnie – bo jestem tylko barmanem i nic nie wiem, ale nie, raczej nie. W przeciwnym razie nie odbywałoby się tego samego wieczora co wyścig.

Ido się rozejrzył. Nie dostrzegł ani jednego ekranu.

– Nikogo nie interesuje wynik dzisiejszego wyścigu?

– Znowu tylko zgaduję – odparł mężczyzna – bo osobiście nie mam o niczym pojęcia... Jasne, jeśli o to chodzi, tak? – Poczekał, aż Ido kiwnie głową i dopiero wtedy kontynuował. – Wygląda na to, że niektórzy nie chcą, żeby pewien osobnik na „V” zabierał część ich wygranych.

– Kto w takim razie prowadzi zakłady? – spytał Ido.

– Mówię panu, doktorze, ja nic nie wiem – powtórzył barman. – Ja tylko podaję drinki. –

Wskazał skinieniem głowy na ring. Światło emitowane przez zawieszane nad miejscem walki jaskrawe reflektory przeszło przez wszystkie kolory tęczy, od czerwonego po fioletowy i z powrotem, a następnie do środka ringu opuściły się po linach dwa cyborgi. Tłum ryknął jak jeden mąż i rzucił się bliżej.

Cyborg po lewej stronie – nieuzbrojonej, przypomniał sobie Ido – przywodził na myśl patchworkową narzutę na łóżko. Każdy jego element był innego rodzaju,

jakby ktoś go sklecił z losowej zbieraniny starych podzespołów. Zupełnie jak Rozswat, Ido uzmysłowił sobie nerwowo z nadzieją, że nie dostrzeże żadnych elementów, które znał z widzenia.

Cyborg uniósł ręce nad głowę w geście powitania z widownią. Za prawą rękę służył mu teleskopowy mechanizm zamknięty w brudnej obudowie z pożółkłego plastiku, lewą zaś miał zbudowaną z elastycznej liny wyginającej się we wszystkie strony pod dowolnym kątem. Pancierz pokrywający tułów sprawiał wrażenie skompletowanego w pośpiechu – niektóre detale wyglądały nie na odcięte, tylko ułamane, a przy krawędziach widać było bąble przemysłowego kleju. Na całej powierzchni cyborga nie znajdował się ani jeden nieponacinany, niezadrapany albo nieotarty fragment.

Drugi cyborg musiał być Chase'em. Jego pancierz – w granatowym kolorze, zdobiony pomarańczowymi hologramami w kształcie płomieni – niewątpliwie pochodził z motorballa. Zawodnik był mniejszy od przeciwnika – kompaktowy, opływowy, smukły. Od razu było w nim widać rękę Chiren, nawet w wąskiej twarzy okolonej pomarańczowymi płomieniami. Jej zamiarem było nadać mu przebiegły wygląd. Zdaniem Ido wyglądał jak chytry dwunastolatek.

Kiedy obaj wojownicy przywitali się z widownią, zajęli się sobą. Nie było sędziego, konferansjera ani widocznego sygnału do rozpoczęcia walki. Ido wdrapał się na bar, żeby lepiej widzieć. Patchworkowy cyborg wystrzelił teleskopową rękę w stronę Chase'a, który tymczasem znalazł się po lewej stronie i podciął konkurentowi nogi.

Zanim rywal do końca zwałił się na ziemię, Chase wrócił na pierwotną pozycję, udając że jest zdumiony tym, co zaszło.

Po chwili mignął Ido przed oczami i jakby teleportował się pod jeden z narożnych słupków, skąd wpatrywał się w przeciwnika z miną wyrażającą naiwne zmieszanie. Kolejne mrugnięcie: przeniósł się pod inny narożnik. Patchworkowy cyborg rzucił się na niego z wściekłym krzykiem, a Chase pojawił się za nim i kopnął go w plecy. Cyborg upadł na brzuch i natychmiast zerwał się na nogi. Niewiele mu to dało, bo kiedy tylko się wyprostował, Chase podciął go jeszcze raz.

Składak podbiegł do Chase'a na czworakach i niezdarnie go chwycił. Ido widział po wyrazie wściekłego zaskoczenia na twarzy chłopaka, że tego nie było w planach. Przeciwnik ścisnął bark Chase'a i zatoczył się do przodu, zmuszając przeciwnika, żeby przewrócił się razem z nim. Przeturlali się i składakowi udało się znaleźć na plecach chłopaka, skąd przycisnął go kolanami do ziemi i wykręcił mu jedną rękę za plecy. Rozległ się przenikliwy metaliczny pisk i z korpusu patchworkowego cyborga zaczęła się wysuwać rozpędzona piła tarczowa.

Widownia wciąż dziko ryczała, kiedy składak stracił równowagę i przewrócił się na bok. Chwilę później Chase zaparł się jedną stopą o jego bok, chwycił jego elastyczną rękę w obie dłonie i wyrwał ją ze stawu barkowego.

Tłum zawył z zachwytu i przerażenia, kiedy cybernetyczna krew zbryzgała ring i widzów w przednich rzędach. Ido zrobiło się ich żal, kiedy zobaczył, jak się odsuwają z wyrazami obrzydzenia na twarzach. Akcja, która na torze motorballowym jawiła się szalenie rozrywkowo, po sprowadzeniu na ziemię okazała się zniechęcająco makabryczna.

Pokonany cyborg ścisnął bark i krzywił się z bólu. Ido dostrzegł, że spomiędzy jego palców wypływa krew sercowa. Mężczyzna z trudem podniósł się na nogi, a kilka osób stojących przy ringu rozchyliło liny, żeby mógł się wydostać. Chase przyglądał mu się, wciąż kipiąc złością. Kiedy jego przeciwnik wraz ze znajomymi ruszyli w stronę wyjścia, zawołał za nimi, a kiedy się odwrócili, rzucił w ich stronę urwaną ręką, dekorując ring i twarze najbliższych kibiców kolejną porcją jasnoniebieskiej cyberkrwi.

Na ring opuścił się kolejny cyborg. Był dwukrotnie większy od Chase'a i wyglądał jak tandetna imitacja Claymore'a, pozbawiona błyszczącej zbroi, kosztownej broni i, jak się okazało, umiejętności. Chase przerobił go na powgniatany wrak w niecałe trzydzieści sekund.

Ido poczuł, że ktoś ciągnie go za nogawkę spodni i spojrzał w dół.

– Z góry wygląda to jakoś lepiej? – spytał barman.

Ido pokręcił głową.

– Nie mogę uwierzyć, że nikogo tu nie obchodzi dzisiejszy wyścig.

– To są amatorzy – odparł barman. – Motorball jest dla nich zbyt wysokich lotów.

– Ale on nie jest amatorem – burknął Ido, którego zaczynała dopadać frustracja. – Mógłby właśnie teraz być na torze. A w każdym razie powinien.

– To proszę, niech mu pan powie, co powinien – zasugerował barman. – Ciekawe, jak pan na tym wyjdzie.

Ido przykucnął, żeby dało się rozmawiać.

– Co o nim wiesz?

Zwrócił uwagę, że skryte w półmroku oczy barmana się zwięzły.

– Powiedziałem panu, doktorze, że jestem tylko barmanem. Nie znam się na niczym poza drinkami. – Zamilkł na chwilę. – Ale słyszałem historie, plotki, o obserwatorach.

– Obserwatorach? – Ido nie rozumiał. – Jakich obserwatorach? Gdzie?

Wzrok barmana był skupiony na ringu.

– Za oczami.

– Obserwujący zza oczu... – Ido poczuł mieszaninę niedowierzania i obrzydzenia. – Zza czyich oczu? Skąd?

Barman spojrzał w jego stronę.

– Czasami nie potrafię zamknąć się na czas. Niech mi pan zrobi dużą przysługę i zapomni, że cokolwiek mówiłem.

– Skąd są ci obserwatorzy? – domagał się Ido szeptem.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – powiedział stanowczo barman.

Ido spojrzał na dłonie swojego rozmówcy, które wróciły do normalnych rozmiarów.

– Może powinieneś zajrzeć do kliniki. Rzucę okiem, czy siłowniki w twoich dłoniach działają jak należy.

– Nic im nie jest – odparł barman. – Przegapia pan walkę.

Nowy przeciwnik Chase'a próbował boksować się z nim nienaturalnie wielkimi pięściami. Udało mu się wyprowadzić kilka celnych ciosów, zanim Chase oderwał mu obie ręce i cisnął je w tłum po prawej.

Cóż, po tamtej stronie sali można było mieć broń, więc pewnie nikt się nie przejmował rękoczynami – pomyślał Ido, żałując, że w ogóle go to nie śmieszyło.

Jeszcze więcej jasnoniebieskiej cyberkrwi ochlapało ring i widzów, wielu spośród nich nie było tym zachwyconych. Inni jednak, zauważył Ido, cieszyli się z rozwoju sytuacji, o wiele za bardzo. Wiedział, że istnieje zjawisko żądy krwi, ale tylko teoretycznie, z artykułów historycznych. Teraz zaczynał rozumieć, jak wyglądało naprawdę. To nie była kreskówkowa przemoc motorballa, tylko coś dużo bardziej zwierzęcego, coś, co sprawiło, że zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno opuści to pomieszczenie żywy.

Cera Chase'a nie wyglądała najlepiej – jego usta przybrały brązowy kolor. Krew sercowa nie krążyła wystarczająco szybko, by spełnić potrzeby ciała, cyborg wymagał od swojego organizmu zbyt wiele. *Chiren powinna zwrócić na to uwagę*, pomyślał Ido, to do niej nie pasowało, żeby pominąć coś tak ważnego...

I nie pominęłaby, zdał sobie sprawę, gdyby Chase nie uciekł. A zrobił to, bo chip przemienił go ze zwykłego człowieka w nieobliczalnego, impulsywnego brutala. Zresztą, jeśli miał być ze sobą szczery, Ido też powinien dostrzec, że taka możliwość istnieje, kiedy sam pracował nad chipem. Każda ingerencja w ciało odbijała się na mózgu, a prawo nieprzewidzianych skutków działało dzień i noc.

Chase krążył po ringu, tupiąc, uderzając się pięściami w pierś i głośno domagając się nowego przeciwnika. Stał pośrodku areny, spojrzał w górę i wykrzyczał żądanie. Nie doczekał się reakcji. Wiwaty przeszły w buczenie, aczkolwiek Ido nie był pewien, czy buczą z powodu zachowania cyborga, czy tego, że nikt więcej nie chciał z nim walczyć.

Chłopak zaczął wskazywać palcem osoby z widowni i wyzywać je na pojedynek. Niektóre potencjalne ofiary odsuwały się od ringu, inne odwracały się do niego plecami i ruszały do wyjścia. Kipiąc wściekłością, Chase przerzucił nogi przez liny i zeskoczył na ziemię. Uniósł pięści, szukając wzrokiem kogoś, z kim mógłby walczyć, ale ludzie zniknęli jak za dotknięciem magicznej różdżki, zostawiając go samego na środku pustej podłogi.

– Cioty – warknął. – Walcie się. – Ruszył w stronę wyjścia, a Ido zeskoczył

z baru i poszedł za nim.

Chłopak sadył w górę po trzy schody naraz. Tupał mocno, doktor przysiągłby, że słyszał, jak niektóre stopnie pękają. Jako łowca głów Ido był w lepszej kondycji niż większość mężczyzn w jego wieku, ale po wyjściu z kiepsko wentylowanego pomieszczenia i przebiegnięciu siedmiu pięter po schodach trząśł się i dyszał. Musiał zebrać się w sobie, żeby zawołać do Chase'a, który maszerował ciemną alejką, tłukąc pięściami w ściany budynków po obu stronach, jakby miał nadzieję, że je zburzy i będzie miał więcej miejsca.

Kiedy chłopak dotarł do wylotu uliczki, nareszcie usłyszał Ido i się odwrócił.

– A ty czego chcesz, emerycie?

– Jest coś, co musisz wiedzieć – wydyszał Ido, robiąc krok w jego stronę. – Jeśli chodzi o tę twoją szybkość. Albo raczej o to, co ci ją daje.

– A co z nią? Też chciałbyś tak zasuwać? – Chase był wkurzony, ale rozbawiony. – Nie dałbyś rady. – Odwrócił się i ruszył dalej.

– Poczekaj! – krzyknął z rozdrażnieniem Ido. Młody cyborg zatrzymał się i odwrócił, a jego twarz przyjęła groźny wyraz. – Ten chip – powiedział Ido. – Jest wadliwy.

– E tam. Działa jak trzeba – odburknął Chase.

Ido zrobił kolejny krok ku niemu na trzęsących się nogach. Musiał oprzeć się o ścianę, żeby ustać prosto. Siedem pięter dało mu popalić. – To jest czarnorynkowa technologia – dodał, z trudem łapiąc oddech. – Jeśli nie pozwolisz mi go usunąć, zabije cię.

– Ach, tak?

*Proszę mu powiedzieć, co powinien zrobić. Zobaczmy, jak pan na tym wyjdzie.*

Ido się rozejrzył. Uliczka była pusta. Nie znajdował się w centrum, gdzie życie toczyło się cały dzień. To była południowa dzielnica, nikt niczego nie widział, nie słyszał ani nie wiedział.

Chase przechylił głowę.

– Czyli mam ci pozwolić wyjąć mój chip – powiedział cicho. – Albo mnie zabijesz.



– Nie ja... Chip – wydusił zdesperowanym głosem Ido. – Chip cię zabije. Czujesz, że coś jest nie tak, prawda? Wymyka się spod kontroli. Albo chcesz coś zrobić i nic się nie dzieje...

– Okej. – Chase uśmiechnął się do niego. – Daj mi znać, jeśli nic się nie stanie. Cyborg mrugnął, ale Ido nie zdążył tego zauważyć.

## ROZDZIAŁ 16

Zdaniem Tanjiego życie z żalem do samego siebie to głupota. Hugo był zdania, że przyjaciel prawdopodobnie ma rację. Problem w tym, że Hugo najwyraźniej nie potrafił się powstrzymać od robienia rzeczy, których później żałował – jego najnowszym osiągnięciem w tej dziedzinie było powiedzenie Hrabinie, że będzie na nią czekał na schodach prowadzących do frontowych drzwi katedry.

Sama Hrabina była w środku z kilkoma osobami, nazywała ich swoimi żołnierzami. Hugo ich nie widział, ale słyszał – a raczej słyszał efekt ich poczynań przeciwko trzem kolesiom z południowej dzielnicy. Hrabina rozmieściła ich wcześniej na straży we wnętrzu katedry. Mieli za zadanie poczekać, aż ekipa z południa wróci po kolejną porcję jej narkotyków. Teraz żołnierze wyjaśniali pojmanym chłopakom w jednoznaczny, acz niewerbalny sposób, jak wielki błąd popełnili, wkraczając na cudzy teren i kradnąc, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak żywiołową urazę poczuli niedawno do właściciela pojazdu nieprzepisowo zaparkowanego na ich terytorium.

Hugo nie do końca rozumiał, jak Hrabina dowiedziała się o jego przygodzie. Na pewno nie od niego. Ale dilerzy narkotyków potrafili wywęszyć wszystko – pewnie dzięki temu utrzymywali się przy życiu.

Hrabina cieszyła się dobrym zdrowiem od dawna. Jeśli miała jakieś zwyczajne imię, nikt go nie znał. Hugo podejrzewał, że pewnego dnia zostanie wezwany i zastanie ją na tylnym siedzeniu limuzyny zamiast Vectora. Nie miał pojęcia, czy będzie to zmiana na lepsze, czy nie. Nie sądził, żeby potrafiła zajmować się motorballem tak samo jak Vector – robiła wrażenie zbyt zimnej i powściągliwej.

Przywódca gangu z południa błagający osobę, która go biła, żeby przestała – zrozumiał już, co zrobił źle, naprawdę – wyrwał Hugo z zamyślenia. Chłopak rozważył zasłonięcie uszu, ale bał się, że urazi w ten sposób Hrabinę, a była to ostatnia rzecz, jakiej chciał.

Zupełnie jakby jego myśli miały moc sprawczą, obiekt jego rozważań pojawił się w głównym wejściu. Połowicznie zapomniane maniery, które wpojono mu w poprzednim życiu, sprawiły, że na widok damy zaczął wstawać, ale ona idąc po schodach, wskazała mu gestem dłoni, że ma siedzieć. Chwilę później stanęła przed nim. Miała na sobie swój zwyczajowy strój: wąską czarną suknię, która wyglądała, jakby składały się na nią dziesiątki czarnych apaszek w różnych rozmiarach i z różnych rodzajów materiału. Niektóre tkaniny były koronkowe, inne półprzeźroczyste, jeszcze inne jedwabne... Połączone w całość pokrywały ją od kostek po szyję, nie odsłaniając nic poza smukłą, ale sugestywnie kobiecą sylwetką, i podkreślając grację jej ruchów. Hugo zwrócił uwagę, że jej pełne wdzięku ramiona były bardzo subtelnie umięśnione. Tylko głupiec pomyliłby jej urodę z bezbronnością.

– Okropna sprawa, prawda? – Skierowała wzrok na ciemny wyświetlacz zawieszony na budynku po przeciwnej stronie ulicy. – Szkoda, że włącza się dopiero, kiedy wykryje trzy osoby. Odciągnąłby twoje myśli od tego zamieszania.

Hrabina zwykle chowała fryzurę pod jeszcze jedną czarną chustą, pozwalając tylko kilku lokowanym pasmom opadać na plecy. Tego wieczora jednak rozpuściła włosy i Hugo dostrzegł, że kobieta powplatała w nie drobne talizmany i paciorki.

– Damy w czerni też lubią mieć tu i ówdzie jakieś świecidełko – powiedziała rozbawionym tonem.

– Przepraszam. – Hugo wbił wzrok w schody. – Nie chciałem się gapić.

– Nic się nie stało. – Już otwierała usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, kiedy z wnętrza katedry dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask, na ten dźwięk oboje zadrżeli. – Przepraszam na chwilę – oznajmiła z dozą irytacji i wróciła do środka.

Hugo oparł łokcie o kolana i przyłożył dłonie do policzków. Powtarzał sobie, żeby myśleć o tym, jak kulił się na ziemi, okładany pięściami i kopany przez tych

chłopaków, o tym, że sikał potem krwią cholera wie ile dni. Tamto zajście wydawało mu się jednak takie odległe. Prawie o nim zapomniał, pamiętał za to jeden drobiazg.

Usłyszał jak Hrabina coś mówi, ale nie zdołał rozpoznać słów. Ktoś odpowiedział, też niewyraźnie. Pewnie któryś z żołnierzy, bo nie kojarzył głosu. Potem urażonym, jękliwym tembrem odezwał się jeden z chłopaków z południa.

– O jejku, wielka mi rzecz. Weź się w garść! – usłyszał karcący głos Hrabiny.

*Może jednak poradziłaby sobie jako promotorka motorballa*, pomyślał Hugo.

Rozległo się głośnie uderzenie dłoni w policzek i jeden z chłopaków krzyknął:

– Dobra! No dobra!

Hugo usłyszał kolejny policzek. Dłuższą chwilę później Hrabina pojawiła się znów na zewnątrz. Tym razem usiadła obok niego.

– Mówię ci – oznajmiła – wszyscy faceci z południowej to mazgaje. Gdyby nie to, że nikt nie kazał im umrzeć, dawno by nie żyli.

Ku swemu zaskoczeniu Hugo na jej słowa zachichotał.

– To nie tylko moje zdanie – dodała. – Moja ciotka, Frida, pracuje w... – przerwała i wykonała lekceważący gest dłonią. – Nieważne. Zamiast opowiadać plotki, powinnam ci dziękować ponownie za informację, że ktoś mnie okrada. Chyba zasługujesz na większą nagrodę niż to...

Sięgnęła w gąszcz pasów czarnego materiału i wyciągnęła spomiędzy nich bransoletkę. Trzymała ją w jednej dłoni, przyglądając się obręczy z kutej miedzi i podrabianemu zielonemu klejnotowi osadzonemu pośrodku.

– Nie ma sprawy – powiedział Hugo. – Nic więcej nie chcę. – Pauza. – Tylko żeby ci kolesie się nie dowiedzieli, że dostała pani cynk ode mnie.

– Znaczy dla ciebie aż tyle? Ta bransoletka? – Hrabina przeciągnęła po niej palcem, badając fakturę kutego metalu, po czym skierowała na niego wyczekujące spojrzenie.

– Dawna sprawa – wyjaśnił Hugo. – Byłem bardzo mały. – Zamierzał powiedzieć po prostu, że biżuteria należała do jego matki.

Zamiast tego z jego ust wydostała się skondensowana historia o śmierci brata.

Pominał okoliczności i nie wnikał w szczegóły, jak wszedł w posiadanie bransoletki.

– No tak, rodzina – stwierdziła Hrabina. – Tylko to mogło jej nadać taką wartość. – Wcisnęła ozdobę w dłoń Hugo, który poczuł przypływ euforii. – Znow należy do ciebie. Możesz też liczyć na moje wdzięczność i przychyłność. Warto mieć takich przyjaciół jak ja, wiesz?

– Dziękuję – odpowiedział Hugo.

Odczuwał skrępowanie i pewien niepokój.

– Założę się, że ty też potrafisz być dobrym przyjacielem – kontynuowała. – Ale na pewno masz lepsze rzeczy do roboty od przysłuchiwania się, jak jacyś lescze dostają, co im się należy. – Przechyliła głowę w stronę żyra Hugo, który stał przy krawężniku. – No, dalej. Zmykaj stąd.

Hugo wstał, mając nadzieję, że nie widać po nim niesamowitej ulgi, którą odczuwał. Zszedł stopień w dół, ale zawahał się i odwrócił głowę do Hrabiny.

– Ale... Pani ich nie... Tych chłopaków... Pani nie... – Skrzywił się. – Oni... No wie pani... Wrócą do domu, tak?

Hrabina roześmiała się, jakby opowiedział dowcip.

– Oj, Hugo, spokojna twoja rozczochrana. Bez sensu poświęcać tyle czasu i wysiłku, jeśli nasi znajomi z południa nie przeżyją dość długo, by pożałować, co zrobili. A teraz się ulotnij, póki jesteśmy młodzi.

Hugo się ulotnił.

\*\*\*

Hugo i przyjaciele siedzieli w kawiarni Kawiarnia. Tanji zerknął na bransoletkę.

– No, masz ją.

Koyomi spojrzała na niego spode łba.

– Nieźle, Tanji. Pierwsza klasa.

– O rany – zachnął się Tanji – to biżuteria. Jestem chłopakiem. Co mam niby

powiedzieć?

– Może przestań nabijać się z mamy, która umarła? – zaproponowała Koyomi.

– Nie nabijałem się – bronił się Tanji.

– Według mnie jest piękna – powiedziała Koyomi do Hugo. – Naprawdę. – Rzuciła Tanjiemu ponagłające spojrzenie.

Tanji westchnął teatralnie.

– Naprawdę pasuje ci do ubrania, Hugo – powiedział głosem pozbawionym wyrazu. – Zieleń podkreśla kolor twoich oczu. – Odwrócił głowę w stronę Koyomi.

– Może być?

– Odzyskałem ją i nic więcej mnie nie obchodzi – oznajmił Hugo. Zakrył bransoletkę rękawem bluzy, po czym zmienił zdanie i z powrotem ją odsłonił. – A teraz wróćmy do naszego niewykonanego zadania.

Tanji wydał ni to chichot, ni to stęknienie.

– No, jeśli o to chodzi...

– Co? – Hugo spojrzał na Koyomi, której twarz wyrażała niepokój, po czym przeniósł wzrok na Tanjiego.

– Powinniśmy zgarnąć go wtedy – powiedział Tanji. – Bo od tamtej nocy nikt go nie widział. Dif i Louie rozglądają się za nim, ale wygląda na to, że zniknął.

Hugo pokręcił głową.

– Gdzieś jest. Musimy tylko sprawdzić gdzie. Koleś lubi się popisywać. Szukali gdziekolwiek poza północną?

Tanji odpowiedział zakłopotanym wzruszeniem ramion.

– Kogo jeszcze chcesz w to mieszać?

– Nikogo poza Difem i Louiem – odpowiedział Hugo.

– Dobrze. Na pięciu to i tak jest kiepska kasa. Jeśli weźmiemy więcej ludzi, to szkoda w ogóle się narażać.

Hugo przytaknął. Miał te same odczucia. Chodziło mu nawet po głowie, by dokończyć robotę we trójkę, ale wciąż bolała go kość ogonowa i pachy, jakby chciały mu przypomnieć, że pragnie zemsty bardziej od pieniędzy.

\*\*\*

Ido odkrył, że podstawową zasadą przy schodzeniu ze schodów, kiedy zostało się pobitym do nieprzytomności i nie miało się ani jednej części ciała pozbawionej siniaków, obtłuczeń i zmiążdżeń, było nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Cierpliwość, skupienie, precyzja – jako żywo przypominało to prowadzenie operacji. Póki zachowywał skupienie, schodzenie na parter bolało mniej niż ubieranie się.

Usłyszał pogaduszkę, którą Gerhad prowadziła z pacjentem, co sprawiło, że odruchowo się uśmiechnął. Nawet to trochę bolało. Po raz kolejny miał ochotę dziękować bogom czy innym siłom, chociaż w żadną nie wierzył, że miał dość rozsądku, żeby zatrudnić pielęgniarkę, która mogła przejąć jego obowiązki, kiedy brak rozsądku doprowadził go do konfrontacji z impulsywnym samowolnym cyborgiem zupełnie niepanującym nad złością.

Kiedy Ido nareszcie doczłapał do stóp klatki schodowej, podszedł do wieszaka, na którym zwykle zostawiał swój fartuch lekarski. Nie było go tam.

– Rany, doktorze, mam nadzieję, że spisał pan tablicę tej maszyny, co skopała panu dupsko – powiedział pacjent.

Ido rozpoznał Corky'ego, cyborga zajmującego się zbiorem owoców. Corky czasami pracował w sadach, resztę czasu spędzał w ośrodku wstępnej dystrybucji i kontroli jakości, gdzie spośród zebranych owoców wybierał najlepsze, które trafiały do Zalemu. Fabryka mocno eksploatowała jego wyspecjalizowane ręce, ale miała parszywą politykę serwisową.

Ido uznał, że skoro sam tyle pamięta, z pewnością nie doznał urazowego uszkodzenia mózgu. Lekkiego wstrząśnienia jak najbardziej, ale to było nie do uniknięcia, skoro prowadził takie życie.

– Przepraszam na sekundkę – powiedziała Gerhad do pacjenta i pomogła lekarzowi usiąść w drugim fotelu. Ustawiła oparcie tak, żeby Ido siedział prosto z dodatkowym podparciem w okolicy lędźwiowej. – Muszę przypiąć pana pasami, czy będzie pan grzeczny i poczeka spokojnie, aż skończę z Corkym? – spytała.

– Cześć, Corky – powiedział Ido, siląc się na taki ton, jakby nic mu nie było. – Jak leci?

– Na pewno lepiej niż panu. Ma pan dwa lima. Dwa!

– Przy złamanym nosie to normalne – wyjaśnił rzeczowo Ido.

– Kurde... Niezły matoł z tego kolesia, co pana napadł.

*Dobra przykrywka*, uznał Ido – banalna, niebudząca wątpliwości. Szykował się, żeby powiedzieć coś jeszcze, kiedy poczuł ukłucie w ramię.

Kiedy z powrotem otworzył oczy, przez okna sączyło się światło nisko zawieszono popołudniowego słońca, a Gerhad odprowadzała do drzwi innego pacjenta.

Ido spróbował podnieść się z fotela i odkrył, że jest przypięty pasami. Może gdyby udało mu się obrócić głową w dół, mógłby wyslizgnąć się jak Hugo. Sęk w tym, że nie mógł znaleźć panelu kontrolnego.

Gerhad przekręciła fotel.

– Wszyscy lekarze są tragicznymi pacjentami – oznajmiła, po czym zaświeciła mu jasną latarką w oboje oczu i zacisnęła mu nos, żeby otworzył usta. – Ale pan to już w ogóle jest poniżej wszelkiej krytyki.

– Długie przebywanie w łóżku jest szkodliwe – odparł Ido, starając się, żeby zabrzmiało to jak racjonalny argument, a nie tłumaczenie się. – Tworzą się skrzepy.

– Dużo bardziej szkodliwe jest spacerowanie po klinice bez opatrunków uciskowych – skarciła go Gerhad.

– Bez... – Ido zamrugał, wpatrując się w nią w osłupieniu.

Coraz mniej kręciło mu się w głowie, ale twarz rozmówczyni mimo to drżała w jego polu widzenia. Podobnie jak reszta świata.

– Prawdziwy geniusz z pana. Przecież najpierw musi zejść opuchlizna. – Gerhad zachichotała. – Już prawie. Właściwie to już prawie zeszła. Albo zeszłyby, gdyby nie to, że przez pańskie wygłupy leki przeciwzapalne muszą drugi raz robić tę samą pracę.

– Nie wygłupiałem się – bronił się Ido. – I nie czuję się opuchnięty.

– Kto tu jest pielęgniarką? – spytała Gerhad. – W tych kwestiach musi mi się



pan podporządkować. Proszę tu poczekać. Przyniosę coś, co się panu spodoba.

*Proszę tu poczekać?* Żartownisia się znalazła. Usłyszał, jak ktoś kręci się po kuchni. Po chwili Gerhad wróciła i uniosła oparcie fotela.

– Otwieramy buzię – poleciała.

Między jego usta wsunęła się łyżka z czymś zimnym i smacznym.

– Gazpacho! – zachwycił się Ido. – Skąd wiedziałaś?

Gerhad się roześmiała.

– Zawsze co najmniej litr stoi w lodówce i trzyma pan kilka kopii przepisu w szufladzie z receptami.

– A no tak. – Poczul się odrobinę zażenowany. – Nie musi mnie pani karmić.

– Owszem, muszę – odpowiedziała Gerhad stanowczo. – Przynajmniej dopóki nie założę panu rękawiczek uciskowych.

Słyszac to, Ido aż zadrżał. W ułamku sekundy wróciła mu czujność, senność prawie zupełnie się rozproszyła.

– Ile kości połamałem?

– Mniej, niż zakładałam – przyznała Gerhad. – Same mikrołamania. Założymy opatrunki uciskowe i będzie dobrze.

Ido pozwolił się karmić i spróbował przypomnieć sobie, co się stało. Ostatnie wyraźne wspomnienie miał ze słabo wentylowanej, bardzo głębokiej piwnicy, gdzie stał na barze i obserwował, jak cyborg w niebiesko-pomarańczowym pancerzu odrywa rękę innemu cyborgowi. Od tego momentu pamiętał tylko urywki.

– Ma pan wyjątkowo mocne kości, doktorze – powiedziała Gerhad. – Zdecydowanie ponadprzeciętne jak na Miasto Złomu. Nie wiem, gdzie się pan wychował, ale na pewno nie tu.

Ido nic nie odpowiedział.

Gerhad przez dłuższą chwilę podawała mu zupę, nie odzywając się.

– Skaner wykazał, że ma pan za sobą mnóstwo innych obrażeń – powiedziała wreszcie. – Więcej niż wielu poszkodowanych, z którymi miałam do czynienia na oddziale ratunkowym. Wiem, że nie spędza pan weekendów, grając w amatorskiej

lidze motorballa. Zresztą te urazy są innego rodzaju. Wygląda, że odniósł je pan w walce wręcz. I to nie podczas sparingów. To są uszkodzenia, które się odnosi, walcząc o życie. – Pauza. – Albo próbując je komuś odebrać.

Ido milczał przez kilkanaście sekund.

– Nie jestem pewien, czy wiesz, ale przepis na gazpacho wzięłem z tego baru z tacos naprzeciwno – powiedział. – Lubię warzywa w kawałkach. Bardziej mi smakuje taka niż zmiksowana wersja.

– Nie chcę się wtrącać w pana osobiste sprawy. – Gerhad odłożyła miskę na tray-table i kontynuowała: – Jeśli jest pan jednym z tych dziwaków, co chodzą się bić od jakiegoś podziemnego klubu w południowej dzielnicy, bo nie czują, że żyją, jeśli raz czy dwa w miesiącu nie dostaną po mordzie, i nie chce mi pan powiedzieć, to nie ma sprawy. Chciałabym tylko podkreślić, że prowadzi pan tu popularną klinikę. Ludzie na panu polegają...

– To nie tak – powiedział Ido.

– Uff, na szczęście – odparła Gerhad, podnosząc z powrotem miskę. – Niektórzy twierdzą, że nie powinniśmy nikogo oceniać, ale żaden z tych mądrali nie pracuje na intensywnej terapii.

– Jestem łowcą – powiedział Ido.

Gerhad odstawiła miskę i skrzyżowała ręce na piersi.

– Ten idiotyzm przyszedł mi do głowy w drugiej kolejności.

– Mam swoje powody.

– Każdy ma jakiś powód. – Gerhad westchnęła. – Czyli musiałam pana zeszkrobywać z alejki w południowej dzielnicy, bo był pan na polowaniu?

– Nie – powiedział Ido. – Ale powinienem być. Nie popełnię drugi raz tego błędu.

– To brzmi mało obiecująco – stęknęła smutno Gerhad. – Nie słyszał pan, jak mówiłam, że pacjenci na pana liczą?

– Dlatego powinniśmy jak najszybciej założyć te opatrunki uciskowe – odparł Ido.

Gerhad nadeła policzki i wypuściła powietrze z wyraźnym rozdrażnieniem.

- Powinnam nafaszerować pana prochami i przypiąć z powrotem do tego fotela.
- Wtedy ludzie skończą gorzej niż ja – ostrzegł Ido. – I to nie tylko na południu.
- Nie powiedziałam, że to zrobię – odparła Gerhad.

## ROZDZIAŁ 17

Słońce zachodziło, kiedy Tanji znalazł Hugo na betonowej balustradzie przy krawędzi zniszczonej grobli, kilka przecznic od miejsca, gdzie szosa odchodziła łukiem od resztek sieci autostrad, której układu nikt już nie rozumiał. Za Hugo na wysokich podporach ze zwiertzałego betonu sterczały kolejne poniszczone fragmenty drogi. Tu i ówdzie powierzchnię filarów znaczyły dziury, widać było przez nie pręty zbrojeniowe. W wyobraźni Hugo budowle te przypominały szkielety trupów ukrytych w szafie Miasta Złomu.

– Co ty tu robisz? – spytał Tanji. Zaparkował za żyrem swojego przyjaciela i usiadł obok. – Koyomi czeka w kawiarni. Jest już tak późno, że właściciel pewnie postawił jej świeczkę.

– Musiałem spokojnie pomyśleć – odparł Hugo.

– Wpadłeś na jakiś sensowny pomysł? Na przykład w jaki sposób wyrobimy się na czas z zamówieniem dla szefa?

– Dla Vectora – poprawił Hugo, powstrzymując się ze wszystkich sił, by nie dodać, że Vector nie był ich szefem.

Tanji skierował wzrok na bransoletkę na nadgarstku Hugo.

– A to ci coś podpowiedziało?

– To mój talizman na szczęście – odpowiedział Hugo. – Ale chyba już nie działa, bo mnie znalazłeś.

Tanji przyłożył dłoń do piersi.

– Aua! To żeś mi pojechał. Ale chyba przeżyję – dodał, przyglądając się sobie.

– A teraz na serio, co ci się stało? Capniemy dzisiaj tego kolesia czy nie?

– A masz jakiś lepszy plan? – odpowiedział trochę gniewnie Hugo.

– Ja nie. – Tanji spojrział przez ramię na zachwaszczony teren u ich stóp, który wyznaczał granicę dolnego poziomu ulic. – Nie przyjechałeś tu oglądać nieruchomości, co nie?

Hugo powiódł oczami za jego wzrokiem. Ulica z dolnego poziomu kończyła się ślepo w tym samym miejscu, gdzie szosa na nasypie przechodziła w łuk. Jeśli ktoś chciał znaleźć więcej fragmentów drogi, musiał się udać o wiele dalej, brodząc w trawie i chwastach. Nikt tego nie robił. Trawa była pełna dziwnych, brzydkich, gryzących owadów, do tego miała krawędzie tak ostre, że przecinały skórę. Spotykało się tu tylko jeden rodzaj ludzi: wraków – upodlonych do tego stopnia, że górny poziom Miasta Złomu był ich Zalemem. Kryli się bezpośrednio pod groblą i utrzymywali się przy życiu, wygrzebując jedzenie po śmietnikach.

Fabryka prowadziła kilka przedsięwzięć na dolnym poziomie, ale nikt nie wiedział, na czym polegają, bo fabryczne budynki nie miały okien. Pewien żebrak powiedział Hugo, że produkuje się tu wadliwe roboty, które niepostrzeżenie przemycano wśród populacji. Była to paranoiczna bujda, taka teoria mogłaby się wydawać racjonalna tylko osobie niebiorącej potrzebnych leków. Jednocześnie Hugo uważał za normalne mieszkanie w mieście, które pełniło dwie zasadnicze funkcje: a) żywiciela i zaopatrzeniowca Zalememu oraz b) jego śmietnika. Czasami Hugo zaczynał się zastanawiać, jakie to byłoby uczucie: żyć w świecie mającym sens.

Tanji szturchnął go po męsku.

– Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się, jakby cię nie obchodziło, czy dorwiemy tego kolesia.

– Obchodzi mnie – odpowiedział Hugo. – I go dorwiemy. Dostałem wcześniej wiadomość od Difa. Wiedzą z Louiem, gdzie dokładnie jest.

Tanji zamrugął oczami.

– I nie uznałeś za stosowne podzielić się tą informacją ze mną i Koyomi?

Hugo zrobił zabawną minę.

– Jest w Aksamitnej Orchidei.

Słyszając to, Tanji zaniósł się śmiechem.

– Najwyraźniej żaden klient im niestraszny. Chociaż nigdy nie rozumiałem, po co PW-ty chodzą do takich miejsc.

– No więc, po pierwsze, pełne cyborgi mają takie same zmysły jak każdy. Ich ciała odczuwają. To nie tak, że od szyi w dół nie mają żadnych doznań. A po drugie, on nie poszedł tam jako klient.

– Skoro nie jest klientem, to... A... – Tanji zrobił obrzydzoną minę. – Może lepiej zabierzmy kilka dużych butli odkażacza, żeby go wykąpać, zanim wyjmemy mu rdzeń. – Przeszedł go lekki dreszcz. – Cholera, jak o tym myślę, to nie chcę go dotykać nawet w rękawiczkach.

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie świętoszek – stwierdził Hugo, którego rozbawiła ta sytuacja.

– Wcale nie – powiedział Tanji obronnym tonem. – Po prostu... – Zadrżał jeszcze raz.

Hugo poczekał, czy Tanji jeszcze coś powie, po czym dodał:

– Okej, nie jesteś skończonym świętoszkiem. Tylko na pół gwizdka. Tylko tak trochę. Kim zostaniesz, jak dorośniesz? Obrońcą dobrych obyczajów? – Przerwał na chwilę, kiedy przypomniał sobie Koyomi we Wdowich łydkach – Aksamitna Orchidea jest chyba dość kulturalna w porównaniu z innymi lokalami?

– Jakimi lokalami? – spytał Tanji. – Daj mi jakiś przykład.

– Skąd mam wiedzieć? Nie chodzę do żadnego. – Hugo wzruszył ramionami. – Rusz głową.

Tanji się otrząsnął.

– Nie, dzięki. Nie chcę, żeby ten syf utkwiał mi w pamięci. To jak mamy go dorwać? Wejść tam, rozebrać się do rosołu, pokopać go kilka razy prądem i wyrzucić przez okno?

Hugo pokręcił głową.

– Dif i Louie powiedzieli, że zwykle wychodzi koło trzeciej rano i idzie do całodobowego po batony.

– Zwykle? – Zmarszczone brwi Tanjiego wyrażały sceptycyzm. – Co jeśli

dzisiejsza noc nie będzie taka jak zwykle?

– Nie wiem – odpowiedział Hugo, zdradzając irytację. – Zadzwoń i zamów wizytę do domu. Uruchom alarm pożarowy. Przestań się zachowywać jak jakaś panikująca babcia. Zgarniemy go.

– Najlepiej. Jeśli to spieprzymy, Vector pozbędzie się nas. Będziemy mieli przerąbane.

– Wiem. Wiem, okej? – Hugo się wściekł.

Poprawił się na siedzeniu, co spowodowało bolesną reakcję kości ogonowej i sprawiło, że wstał.

Tanji podążył jego przykładem.

– Wracam do Kawiarni. Idziesz ze mną, czy zamierzasz zostać i przysłuchiwać się, co szepczą tam na dole? – spytał.

– Słyszysz szepty w swojej głowie? – spytał go Hugo. – Od kiedy to trwa?

– Zamknij się! – skarcił go Tanji, po czym odpalił swoje żyro.

\*\*\*

Koyomi czekała na nich na swoim tradycyjnym miejscu przy oknie.

– Już zaczynałam myśleć, że się nie pojawicie – pożałowała się.

– Następna... – westchnął Hugo.

– O co ci chodzi? – odpowiedziała, marszcząc brwi.

– Tanji w kółko pieprzy o tym, że dzisiaj mamy ostatnią szansę.

– No bo tak jest, prawda? – odpowiedziała Koyomi. – Jeśli znów się spóźnimy, nie dostaniemy więcej roboty od Vectora.

– Po prostu Dif i Louie potrzebowali paru dni, żeby go znaleźć.

Hugo wyjaśnił jej, gdzie przebywa cyborg i w jaki sposób go pojma.

– To... Naprawdę dziwne – stwierdziła, kiedy chłopak skończył opowiadać.

– Ja bym to ujął trochę inaczej – skwitował sprawę Tanji. – Zakładam dzisiaj dwie pary rękawiczek. I zabieram zapasowe, tak na wszelki wypadek.

– Nie rozumiem tego – stwierdziła Koyomi.

– Nie rozumiesz, dlaczego chcę mieć dwie pary rękawiczek? – spytał zdumiony Tanji.

– Nie, to akurat rozumiem. Wszyscy wiedzą, jakim jesteś świętoszkiem. Nie rozumiem, dlaczego ktoś z tak zaawansowanym cybernetycznym ciałem został luksusową męską prostytutką. To nie ma sensu.

*Bo cały świat nie ma sensu*, odparł Hugo w myślach, kiedy jego przyjaciele zaczęli kłócić się o to, czy Tanji jest świętoszkowaty.

\*\*\*

– Nie jest pan stąd – powiedziała kobieta siedząca naprzeciw Ido przy niedużym stoliku na rynku w zachodniej dzielnicy. Wysłała mu wcześniej wiadomość z informacją, że dostała cynk na temat pewnego dość szybkiego cyborga, i jeśli doktor stawi się tu o pierwszej rano, usłyszy wieści. Przez piętnaście minut, od kiedy przyszedł, kobieta nie powiedziała jednak nic wartego uwagi. Tymczasem działanie środków przeciwbólowych krążących w krwi Ido słabło. Miał cały stos tabletek w kieszeniach płaszcza i w futerale młota rakietowego stojącym przy jego nodze niczym pies-stróż, ale z jakiegoś nieokreślonego powodu nie chciał brać ich w tym towarzystwie. Niestety, jeśli niedługo nie łyknie kolejnej porcji, będzie miał problem, żeby wstać z krzesła, czego też nie chciał po sobie pokazywać.

Realia nowoczesnego łowcy głów: wyruszyć w pogoń za celem, zanim ciało w pełni zregeneruje się po ostatnim pobiciu. Było to ryzyko zawodowe. Jedno z kilku. Czasami też dostawał anonimowe wiadomości prowadzące go w ślepią uliczkę, na przykład na spotkanie z wróżką. Gdyby Gerhad wiedziała, co jej szef właśnie robi, zabiłaby go.

– Mieszkam tu od lat – powiedział Ido. – Przez moją klinikę przewinęła się większość cyborgów z Miasta Złomu. Możliwe, że zanim odejdę na emeryturę,



zobaczę wszystkie.

– Tak, ale nie powstał pan z deszczu, rdzy i pyłu Miasta jak oni – odparła.

– A czy my wiemy, z czego ktoś powstał?

Ido poczuł silne pragnienie, by jej powiedzieć, że sama nie wygląda, jakby urodziła się w Mieście Złomu. Coś w jej obliczu... Było nie do końca normalne. Nie była brzydka, wręcz przeciwnie. Ido jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że to nie jest jej naturalna twarz, że przeszła szeroko zakrojoną rekonstrukcję i choć chirurg bardzo umiejętnie poumieszczał wszystko w pierwotnym miejscu, ostateczny efekt miał w sobie coś trochę nieludzkiego.

Największy wkład w jej niecodzienny wygląd miały jednak jej oczy. Ido pierwszy raz widział przypadek całkowitej różnobarwności tęczówek w Mieście Złomu: prawe oko było ciemnego miodowego koloru, a lewe – zielonego. Jeśli osiągnięto ten efekt poprzez soczewki kontaktowe, były o wiele zbyt dobrej jakości, żeby pochodziły z Miasta. Wyglądały raczej na podebrane z dostawy dla Zalemu. Tylko Vector mógł sobie pozwolić na wykradanie...

Ale po co kobieta z takimi koneksjami miałby przepowiadać przyszłość na nocnym rynku? Na pewno nie prowadziła wywiadu dla Vectora, bo istniały łatwiejsze metody szpiegowania. Nie wspominając, że Vector nie miał najmniejszej potrzeby zatrudniać osoby, która prześwieciłaby Ido. Chiren chętnie mówiła mu wszystko, co chciał wiedzieć, łącznie z szyfrem do sejfu w piwnicy.

Następna myśl przyszła do niego nieproszona: może rozmówczyni pracowała dla kogoś postawionego jeszcze wyżej.

Ido zerknął w górę na Zalem, krąg bezgwiazdnej czerni na nocnym niebie. Zalemczycy zabierali Miastu wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, i nie komunikowali się z nikim poza Vectorem. Nie mieli możliwości nawiązania kontakt z kimkolwiek innym na ziemi...

Chyba że podszepty o tym, jakoby Fabryka umieszczała w głowach ludzi chipy, dzięki którym ci z góry mogli przejmować kontrolę nad tymi z dołu, były prawdą. Ido nie wierzył w te historie. Brzmiały jak typowe bajki z krainy zdiagnozowanych paranoików. Po przeskanowaniu wszystkie rzekome chipy umożliwiające

„wycieczki” w ludzkich ciałach okazywały się zwykłymi implantami identyfikacyjnymi. Zresztą czemu ktokolwiek z Zalemu chciałby oglądać świat oczami rezydenta ziemi? Nie było tu niczego, co mogłoby ich interesować.

Sęk w tym, że znał osobę, którą ekscytowałaby taka turystyka przyglądania się ludzkiej nędzy. Ido odruchowo pomacał dłonią kark, gdzie cyborgi nosiły swoje chipy rejestracyjne. Sam nie był ulepszony, więc nic tam nie miał. Chiren też nie. Jeszcze raz spojrzął na Zalem, po czym nagle zdał sobie sprawę, że kobieta coś do niego powiedziała.

– ...Słucham? – spytał, czując jak na twarzy wykwita mu rumieniec.

Wróżka nachyliła się, opierając łokcie o blat, i przyjrzała mu się uważnie.

– Powiedziałam, że wygląda pan, jakby obawiał się pan napaści.

Ido wzruszył ramionami. Ostry ból w żebrach sprawił, że natychmiast tego pożałował.

– Pewnie dlatego, że już się panu dostało – dodała. – Te okulary całkiem dobrze maskują podbite oczy. Proszę się nie przejmować, większość ludzi nie zauważy.

– Nie przejmuję się – stwierdził Ido.

– Nie o to mi chodzi. Boi się pan, że może trochę za szybko wpakuje się w nowe kłopoty. – Wzięła z blatu talię kart leżącą po jej lewej i ją przetasowała. Była trochę za duża w stosunku do jej dłoni, ale poradziła sobie bez trudu. – Zobaczmy, co powiedzą karty.

Ido się poddał, wyjął kilka tabletek leku znieczulającego z pudełeczka w kieszeni i popił je wodą z butelki.

– Chyba ja powinienem tasować? – spytał. – Nie tak to działa?

– Karty wyczuwają pańską obecność. – Wyłożyła trzy karty grzbietami do góry, poczynając od jego lewej strony. – Kiedy będzie pan gotowy, proszę odwrócić pierwszą. Lewą dłonią – dodała, widząc, jak doktor wyciąga prawą rękę.

Obrazek przedstawiał czaszkę i skrzyżowane kości. Ido wpatrywał się we wróżkę szeroko otwartymi oczami. Uważał, że to bzdury, ale jego serce i tak załomotało.

– Rzadko widzę, żeby ktoś pierwszą wyciągnął Śmierć – oznajmiła kobieta

radośnie.

Ido parsknął bez cienia humoru.

– To znaczy, że dziś w nocy zginę?

– Nie, to znaczy, że już pan nie żyje. – Uśmiechnęła się do niego jeszcze weselej. – W niedawnej przeszłości doszło do ostatecznego rozwiązania pewnej kwestii w pana życiu. Coś się nieodwołalnie skończyło.

– Pewnie można to powiedzieć o większości ludzi – stwierdził Ido, starając się nie myśleć o swojej córce i Chiren.

– Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy – odpowiedziała wróżka. – Ale zakończenie, które pana spotkało, było naprawdę niecodzienne. Stracił pan życie. Następną kartą, dowolną dłonią.

– Wciąż żyję – powiedział Ido trochę obronnym tonem i jeszcze raz posłużył się lewą ręką.

Serce znów zadudniło mu w piersi. Druga karta przedstawiała zrujnowaną katedrę z perspektywy obejmującej wyświetlacz na budynku po drugiej stronie ulicy i tunel zaopatrzeniowy przechodzący łukiem nad jedyną ocalałą iglicą. Zalemu nie było widać.

– W tradycyjnym tarocie jest Wieża. W tarocie Miasta Złomu zastąpiono go Zrujnowaną świątynią – wyjaśniła kobieta. – To jest pańskie tu i teraz.

– To jest wszystkich tu i teraz – skwitował sprawę Ido, nie zadając sobie trudu, by ukryć pogardę w głosie.

Wziął kolejnych kilka tabletek.

– Ale pańskie w szczególności – upierała się wróżbitka. – Ostatnia karta. Tym razem prawą dłonią.

– Domyśliłem się – powiedział Ido, obracając kartę.

Z kolei ten obrazek ukazywał mężczyznę zwisającego głową w dół na linie zaciśniętej wokół jego jednej kostki i przymocowanej do konstrukcji leżącej na stercie śmieci. W górnym lewym rogu widniała niewielka sekcja zalemskiego zsyphu. – Czyli co, powieszają mnie za przestępstwa, które popełnię?

– Nie jest powieszony. Zawieszony. – Kobieta uśmiechnęła się do niego. – Daje

sobie chwilę na zastanowienie.

– Dziękuję. To było bardzo pouczające. – Ido podparł się o futerał młota, żeby wstać. – Ale muszę się zająć rzeczywistymi sprawami w rzeczywistym świecie.

– Proszę spojrzeć na karty – nakazała mu wróżbiarka, przybierając nagle stanowczy, zniecierpliwiony ton, jakby to on marnował jej czas.

– No dobrze, już patrzę – powiedział Ido. – Nadal wyglądają tak samo.

– Nieprawda. – Jedną dłonią przykryła lewą kartę, a opuszką palca drugiej postukała w środkową kartę, tę przedstawiającą ruiny katedry. – Nie może pan żyć przeszłością, ona nie wróci. A do przyszłości jeszcze pan nie dotarł. Jutro na razie nie istnieje. – Przykryła trzecią kartę dłonią. – Musi pan żyć w teraźniejszości.

Ido westchnął trochę zażenowany, że potrzebował tyle czasu, by to dostrzec. Nie rozumiał tylko, dlaczego ta kobieta uparła się zmuszać go do udziału w tej głupkowatej szaradzie, by powiedzieć mu, że cyborg ukrywał się w katedrze. Mogła po prostu wyszeptać mu to do ucha. Albo wysłać anonimową wiadomość.

– Nigdy nie wiemy, kto nas obserwuje – dodała. – Albo zza czyich oczu. – Przechyliła głowę. – Poza panem, prawda? Pańskie oczy zawsze należą do pana.

– To rozmowa na inny raz. Muszę iść – skwitował Ido i przypomniał sobie słowa barmana. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Położył na stole kilka kredytów, potem dodał parę. Hojna suma szybko zniknęła pod ubraniem kobiety.

– Dziękuję – powiedziała. – Jak mówili nasi przodkowie, miłej zabawy, zatrzęś twierdzą.

Ido był zdania, że źle rozumiała to wyrażenie, ale i tak zanim ruszył położył na blacie jeszcze jeden kredyt.

\*\*\*

*Dobra, zrobiłam, co miałam. Wysłałam go tam, gdzie pan chciał, pomyślała w stronę cienia na niebie.*

Wysoko w górze mężczyzna w chromowanych goglach oparł się o balustradę

i z uśmiechem spojrział w dół. Szykowała się niezła zabawa.

\*\*\*

Katedra wydała się Ido zupełnie opustoszała, ale to niewiele znaczyło. Legenda głosiła, że dilerzy narkotykowi przechowywali tu swoje zapasy, ale jemu nie chciało się wierzyć, że wybraliby miejsce tak oczywiste, a jednocześnie mało dogodne. Na dodatek klimat katedry ucierpiał, od kiedy obrał ją sobie za łowisko psychopatyczny cyborg-zabójca.

Czyli może to było dobre miejsce na magazyn narkotyków.

Ido potrząsnął głową. Pograżał się w niepotrzebnych rozważaniach jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wylądowali w Mieście i z braku pewności siebie musiał się posiłkować determinacją, by jak najlepiej wyjść ze złej sytuacji, nie mając pojęcia, że czekają go o wiele gorsze rzeczy.

A teraz proszę. Katastrofę przeżył, nabrał doświadczenia. Wciągnął futerał, w którym trzymał młot raketowy, po spękanych, obtłuczonych schodach katedry.

Poziom gruzu wzrósł kilkukrotnie, od kiedy był w środku poprzednim razem. Inna sprawa, że rzadko przekraczał drzwi – wygodniej było składać młot na zewnątrz, pod osłoną cieni. Dziś jednak miał inny plan. Chciał mieć futerał pod ręką, gdyby potrzebował kolejnej dawki leków znieczulających.

Ido poruszał się wzdłuż muru po swojej lewej. Zwieńczone łukami puste wnęki okienne sięgały daleko wwyż, a ściana, w której były osadzone, robiła solidne wrażenie. Po tej stronie leżało też mniej dużych kawałów gruzu, co ułatwiało poruszanie się z futerałem. W końcu łowcy udało się znaleźć miejsce za stosem okazałych, popękanych kamieni i butwiejących belek, tam dało mu się ułożyć walizkę na boku i ją otworzyć. Zanim zrobił cokolwiek więcej, wziął nową porcję wszystkich tabletek.

Ewidentnie przedawkowywał część leków, ale uznał, że o ile nie zacznie regularnie udawać się na łowy z niewyleczonymi obrażeniami z wcześniejszych

niefortunnych przygód, to nic mu nie będzie. Kiedy powtórzył to w myślach, prawie zaśmiał się na głos. „Niefortunna przygoda”, zupełnie jakby był postacią z powieści szykującą się do odważnego, ale niemądrego, a na dodatek niezbyt legalnego posunięcia.

Można się spierać, czy to, co robił, było głupie czy odważne, ale niewątpliwie pozostawało nielegalne. Jeśli za cyborgiem nie wysłano listu gończego, nie ustalono nagrody za jego głowę, to zgodnie z literą prawa Ido nie miał upoważnienia, żeby na niego polować. Nawet jeśli nie miał najmniejszego zamiaru go zabić, a zależało mu wyłącznie na tym, by wyciągnąć z niego swój układ. Bez chipa chłopak przestanie mieć napady niekontrolowanej, agresji.

*Nieprawda*, pomyślał posępnie Ido. To czcze gadanie. Chase nigdy już nie będzie taki jak kiedyś. Przeżył tyle ataków niepowstrzymanej złości, że prawie na pewno się uzależnił, a mógł być niebezpieczny, nawet nie posiadając nadludzkiej szybkości. Był tak samo zrujnowany jak ta katedra. Vector nie zechce go w zespole, a Chase nie nadawał się do niczego innego poza nielegalnymi walkami w południowej dzielnicy.

Sekundę po tym, jak Ido skończył składać młot, usłyszał głos:

– Wiem, że tu jesteś, emerycie.

Ido zamarł, klęcząc za stosem potłuczonych kamieni.

– Myślałem, że po tamtej nocy będziesz miał dość – powiedział cyborg. – Mogłem cię wtedy zabić, wiesz? Mogłem po prostu zmiażdżyć twoją głowę, zmienić ją w kupę zgniłego mięsa w koszyku z połamanymi kośćmi albo oderwać ci ją i posłać z buta na wysypisko. Mogłem tłuc cię na ziemi, aż zostałaby z ciebie mokra plama. Tyle różnych sposobów, żeby cię zabić. Ale ci odpuściłem, bo wyglądałeś na smutnego staruszka, który próbował zgrywać bohatera. Nawet załatwiłem ci transport do domu.

Ido powstrzymał się od westchnięcia. Czego się spodziewał? Przecież to Miasto Złomu. Wróżka nie obiecała, że nie uprzedzi cyborga. To był brutalny świat i jeśli dziś Ido znów skończy po przegranej stronie, wyrzuty będzie mógł mieć tylko do siebie. Przyszedł tu, dobrze wiedząc, że nie jest w pełni zdolny do walki.

– Będziesz się tak chował, emerycie? – spytał Chase. – Masz cykora? Będę musiał cię szukać?

Ido wstał z młotem w ręce, ignorując przytłumiony ból żeber i pleców. Jego oczy zdążyły dostosować się do ciemności na tyle, że dość dobrze widział Chase'a.

– Nie, tu jestem. – Ido poczuł odrobinę satysfakcji, kiedy jego głos rozniósł się echem, a Chase zaczął się bezradnie rozglądać, ewidentnie nie potrafiąc zlokalizować źródła odgłosu. Może noktowizja, którą wbudowała mu Chiren, była słabej jakości. – Ale dzisiaj nie będę staruszkiem, którego zatłukłbyś jedną ręką.

Chase dostrzegł doktora kroczącego w jego stronę i wybuchł śmiechem.

– Co to jest za strój?

– Strój starego człowieka – odpowiedział Ido.

– I nawet przyniosłeś zabawkę! – Chase rzucił się do przodu, wyciągając rękę w stronę młota, na co Ido przygrzmocił tępą stroną obucha w sam środek jego klatki piersiowej. Uderzenie poderwało Chase'a z ziemi i rzuciło go na niedużą stertę gruzu. Zrobił zdziwioną minę.

– Okej! Nareszcie porządna zabawa! – Poderwał się na nogi, zakołysał się, jakby prawie stracił równowagę, po czym uniósł dłonie i ugiął nogi, przyjmując pozycję do walki.

Ido doznał krótkiego, ale intensywnego *déjà vu*. Otrząsnął się i zaczął okręzać od lewej Chase'a, który uważnie śledził go wzrokiem.

– Myślisz, że jesteś łowcą głów czy kimś takim? Nie ma na mnie nagrody. Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Nie możesz mnie atakować. To niezgodne z prawem i Kodeksem łowcy.

– Co ty możesz wiedzieć o Kodeksie... – wyrwało się Ido, zanim zdążył się powstrzymać.

– Wiem wiele różnych rzeczy od obserwatora. – Chase przyjął przemądrzały ton. – Nie wiesz, że ktoś taki istnieje, prawda? Jasne, że nie. Nie rozmawiałby z tobą, jesteś tylko worem starego mięsa i nigdy nie będziesz nikim więcej. A ja zostałem wybrany.

– Do czego? – spytał Ido.

Pomyślał, że jeśli da Chase'owi się powymądrzać, chłopak na chwilę zapomni o swoich superszybkich ruchach, i będzie mógł zaatakować go w kolano. Trudno było wykonywać jakiegokolwiek ruchy, nie wspominając o superszybkich, mając tylko jedną działającą nogę.

– Do ulepszeń! – krzyknął dumnie Chase.

– Gratuluję.

Ido zamarkował cios z góry. Kiedy Chase zareagował i uniósł ręce, Ido przekreślił młot i zanurkował pod gardą chłopaka, aktywując dopalanie. Szpiczasty koniec obucha wbił się w sam środek lewego kolana przeciwnika, odrywając mu dolną połowę nogi. Chase zawył z wściekłości, po czym upadł na ziemię, tryskając cyberkrwią z uda.

Ido ogarnęło zdumienie. Oczekiwał, że staw pęknie, nie całkiem się ułamie. Chiren w życiu nie pozwoliłaby sobie zbudować kończyny tak byle jakiej, że jeden cios młota wystarczył, by ją amputować...

I nie pozwoliła sobie. Chase przecież uciekł ponad tydzień temu i od tego czasu nie był serwisowany. Zamiast zadbać o siebie, wdawał się w bójkę i odrywał ręce innym cyborgom, jakby nic nie mogło mu się stać, jak gdyby miał niewyczerpane zasoby sił. Obecnie więc był pewnie bliski rozsypania się na kawałki, a ten cały „obserwator”, bez względu na to, kimkolwiek lub czymkolwiek jest, nie uznał za stosowne uświadomić mu, że poza znajomością Kodeksu łowcy Chase potrzebuje też przeglądu.

Chłopak usiłował się podnieść i stanąć na jednej nodze.

– Dobra, staruchu. Chcesz się bić, to proszę. Wcześniej się powstrzymywałem, ale teraz cię zabiję. – Udało mu się podnieść na jedno kolano, podpierając się kikutem lewej nogi. – Myślisz, że w tym stanie nie mogę walczyć?

– Na razie nawet mnie nie tknąłeś – przypomniał mu Ido. – Słuchaj, jesteś o krok od ogólnosystemowej awarii. Potrzebujesz serwisu...

– Sam o siebie dbam – odparł Chase pogardliwym tonem. – I czuję się lepiej niż kiedykolwiek. Co, myślisz, że ze mną wygrasz? To dawaj!

Ido westchnął i uniósł młot raketowy nad głowę, celując w miejsce, w którym



ręka Chase'a łączyła się z barkiem. Chłopak się uśmiechnął, wywołując w doktorze jednoczesny przypływ współczucia i poczucia winy.

A potem zamigotał.

\*\*\*

Kiedy Ido doszedł do siebie, Chase potrząsał nim niczym pies zabawką do gryzienia, a jego ciało płonęło każdym możliwym rodzajem bólu.

– Obudź się, stary gnoju! No, dalej, chcę widzieć, jak się poddajesz! – Chase miał obie dłonie zaciśnięte na jego szyi. – Trochę się pomęczysz. Tak łatwo ci nie odpuszczę!

Dłonie Ido były puste. Gdzie młot? Jak długo on sam był nieprzytomny? Spróbował się rozejrzeć, ale w tej samej chwili znów zgasło mu światło.

Tym razem z nieprzytomności wyrwało go uderzenie potylicą o betonową podłogę. Ignorując koszmarny ból promieniujący z klatki piersiowej, zaczął się przesuwać byle dalej od drwiącego śmiechu Chase'a. *Jakim cudem udało mu się tak... Mignąć... Mając do dyspozycji tylko jedną nogę, zastanawiał się Ido. Jak to...*

Coś na podobieństwo stalowego imadła objęło i ścisnęło jego kostkę.

Na dźwięk pękających kości brzuch podskoczył mu do gardła. Po chwili smak żółci i pyłu w ustach spowodował, że zwymiotował jeszcze raz.

– Nie trzeba było jeść takiego dużego obiadu! – ryknął Chase, śmiejąc się jeszcze głośniej.

Trzymając Ido za kostkę, ciągnął go po betonowej podłodze pokrytej kurzem i fragmentami gruzu. Ido desperacko wymachiwał rękami, żeby chwycić cokolwiek, co mogłoby posłużyć mu za broń. W końcu jego prawa dłoń zacisnęła się na szorstkim kawałku kamienia albo betonu.

– Dobrze, to na czym skończyliśmy? – powiedział Chase gawędziarskim tonem, przyciągając rywala do siebie i wyciągając ręce w stronę jego szyi. Ido uniósł prawe ramię i najmocniej jak potrafił dźgnął Chase'a w twarz znalezionym

kamieniem.

Wszystko stanęło w miejscu.

W pierwszej chwili Ido panicznie bał się poruszyć. Jednak kiedy czas mijał, a Chase wciąż stał absolutnie nieruchomo, Ido wydostał się z jego chwytu i przebijając po ziemi rękami i nogami, odepchnął się na pewną odległość. Jak przez mgłę docierało do niego, że jego kostka puchnie w szybkim tempie.

Chase siedział naprężony jak struna i nadal się nie ruszał. Obtłuczony fragment kamienia też wciąż sterczał z miejsca, w które trafił Ido, przecząc prawu grawitacji i wszelkiej logice.

– Najwyraźniej nie żyję – stwierdził Ido na głos, żeby sprawdzić, czy może mówić. Włócząc poślady po ziemi, przysunął się do Chase'a i przyjrzał się jego lewemu bokowi, chciał zobaczyć, co utrzymuje kamień w powietrzu. Nie dostrzegł nic ciekawego.

Zajęło mu kilka sekund, żeby zdobyć się na odwagę i dotknąć kamienia. Ku jego zdziwieniu, nadal nie chciał się poruszyć, a kiedy za niego pociągnął, odłączył się od twarzy z ohydny mlaśnięciem. Wtedy dopiero Ido zobaczył, że z drugiej strony wystaje krótki fragment żeliwnego pręta, który wbił się w oko cyborga. Obrzydzone widokiem rzucił kamień na bok. W tej samej chwili zwłoki Chase'a przewróciły się na plecy.

Ido odczekał kilka chwil. Widząc, że Chase się nie rusza, przeturlał go na brzuch i wyjął z kieszeni płaszcza scyzoryk. Musiał to zrobić, zanim przybierający na sile ból w kostce stanie się tak nieznośny, że uniemożliwi mu normalne funkcjonowanie. Chip powinien być u szczytu kręgosłupa, minimalnie poniżej zakończenia rdzenia przedłużonego. Ido przyłożył ostrze do syntetycznej skóry.

– Wolałbym, żebyś tego nie robił – powiedział Chase.

Ido odskoczył od niego z okrzykiem. Chłopak przeturlał się z powrotem na plecy.

– Zasadniczo nie żyję, ale wolałbym, żebyś nie wyjmował chipa. Nie skończyłem się nim bawić.

Głos należał do Chase'a, ale brzmiał, jakby posługiwał się nim ktoś inny. Ido

poczuł smak żółci. To jego żołądek znów się buntował.

– Nie chciałem cię... Go... Zabić – powiedział Ido.

– Muszę przyznać, Ido, że mnie zaskoczyłeś. W życiu nie spodziewałbym się, że jesteś zdolny do czegoś takiego. Będę musiał przemyśleć na nowo pewne sprawy. Ale nie martw się, nie stracę cię z oczu. Ja widzę wszystko.

Ido czekał na ciąg dalszy, ale nic więcej się nie stało. Po dłuższej chwili przeturlał ciało znów na brzuch i usunął z niego chip. Efekt końcowy wyglądał bardziej na dzieło psychopatycznego zabójcy niż chirurga – doktorowi trzęsły się ręce, a kurz, pleśń i ból ze złamanej kostki sprawiały, że ledwo widział przez łyzy. Kiedy udało mu się wyjąć układ, nastawił się psychicznie na kolejne niezapowiedziane oświadczenie, ale wyglądało na to, że cybernetyczne ciało Chase'a wyzionęło ducha. Normalnie Ido poświęciłby chwilę na przemyślenie tego, co się właśnie stało, ale ból w kostce był tak piorunujący, że doktor przestał mieć pewność, czy to, co widział, nie okaże się wytworem jego wyobraźni.

Zadzwoił do Gerhad ze świadomością, że ją rozzłości, może nawet do tego stopnia, że będzie chciała go zabić. W każdym razie taką miał nadzieję.

## ROZDZIAŁ 18

Jakiś czas po tym, jak Dyson Ido usłyszał odgłos pęknięcia kości we własnej kostce, Hugo wpatrywał się w ciemną otchłań otwartego wjazdu w alejce po wschodniej stronie miasta i zastanawiał się, czy to warto zejść w dół, by wykonać zadanie.

– To w rzeczywistości nie jest ściek – powtórzył Dif chyba po raz setny. – Raczej tunele, konserwatorzy poruszają się nimi pod ziemią, kiedy muszą coś naprawić. Są wszędzie, niczym niewidoczne podziemne ulice. Możesz zejść tutaj, a wyjść w dowolnym miejscu Miasta Złomu.

– W każdym razie jeśli wiesz, dokąd idziesz – wtrącił Louie.

– Macie mapę? – spytał go Hugo.

Louie i Dif wymienili spojrzenia.

– Niekompletną – odezwał się Dif. – Ale wiem, jak dostać się stąd do Aksamitnej Orchidei. I wiem, że ten koleś tam właśnie bywa.

– Aksamitna Orchidea nie znajduje się bezpośrednio nad kanałem ściekowym – stwierdziła Koyomi. – Gdyby tak było, nie zrobiliby wielkiego interesu.

– Nie, ale są praktycznie nad głównym zejściem do podziemi. Dzięki temu goście mogą wchodzić i wychodzić tak, że nikt ich nie widzi.

Hugo prychnął.

– Tak jakby ich goście korzystali z kanałów zamiast z tylnego wejścia. Naprawdę jesteście stuknięci.

– Żonaci by mogli – bronił się Dif.

– Zgadzam się – odparła Koyomi.

– A ja nie – oświadczył Tanji.

– Tylko dlatego, że jesteś takim świętoszkiem – stwierdził Dif.

– Widzisz? – Koyomi zwróciła się do Tanjiego. – Mówiłam ci, wszyscy to wiedzą.

– A czy wszyscy mogliby na chwilę umilknąć? – wtrącił zirytowany Hugo. – Nie słyszę nawet własnych myśli.

Podszedł do ciężarówki i oparł się o nią. Po chwili dołączyła do niego Koyomi, zostawiając pozostałą trójkę nad otwartym włazem.

– Mnie też ten pomysł nie zachwyca – powiedziała – ale możemy załatwić cyborga w miejscu, gdzie nikt nie będzie widział. Żadnych świadków.

Hugo się skrzywił.

– Jak duży jest ten tunel? – spytał.

Dif i Louie spojrzeli po sobie.

– Hm, jest wyższy i szerszy, niż sięgnę – powiedział drugi z nich, demonstrując, jak to wygląda.

– O ile wyższy i szerszy? – dopytywał się Hugo, wzdychając.

– Nie mieliśmy linijki – burknął Dif. – Nasz koleś jest wielki i spokojnie przechodzi. Więc tunele są co najmniej na trzy metry wysokie. I co najmniej tak samo szerokie, jak myślę.

Hugo znów westchnął.

– To nie daje nam zbyt dużo przestrzeni na jakiegokolwiek manewry.

– Ale jemu będzie jeszcze ciasniej – zauważył Louie.

– To niekoniecznie musi wyjść nam na dobre – stwierdził Hugo.

– Nie podoba mi się to – odezwał się teraz Tanji. – Tam na dole jest pełno paskudnych rzeczy. I słyszałem, że Grewishka też.

– Naprawdę? – Oczy Koyomi się rozszerzyły.

– To tylko plotka – odparł Louie. – A jeśli nawet prawda, to on jest w samych kanałach, nie przy włazie.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytał spokojnie Tanji.

– Słuchajcie, przecież nie planujemy tam mieszkać, tylko jednorazowo wyciągnąć stamtąd jednego cyborga – odezwał się Dif. – To nie zajmie długo.

Wejdziemy i wyjdziemy. O co takie wielkie halo?

– Tam śmierdzi – oświadczył Hugo.

– Ledwo to zauważysz – zapewnił Louie. – I nie jest tak źle jak w kanale ściekowym.

– To niewiele nam mówi – mruknął Tanji.

– Dobrze, dobrze! – przerwał im Hugo, uciszając ich gestem rąk. Wszyscy umilkli. – To musi odbyć się szybko, bez żadnych wygłupów. Musimy go powalić w sześćdziesiąt sekund, maksymalnie dziewięćdziesiąt. Jeśli to spieprzymy, nie będziemy mieli drugiej szansy. Ani następnej roboty od Vectora. Koyomi, ty podjedź ciężarówką, tak żeby stała nad włazem.

– Może warto też rozciągnąć na nim lepką sieć? – zaproponował Tanji. – Na wypadek, gdyby nam się wyslizgnął i próbował wydostać.

– Dobry pomysł – pochwalił Hugo.

– Nieźle jak na świętoszka – stwierdziła Koyomi i wymierzyła mu lekkiego kuksańca w ramię.

Tanji spojrzał ponad jej głową na Hugo.

– Dzięki, ale nie musisz być taki zaskoczony.

– Uzbrójcie się – polecił Hugo ekipie. – Tylko bez butelek zapalających.

– Dlaczego? – spytał Dif.

– Bo ten smród to gazy kanalizacyjne, w tym metan i inne paskudztwa, są łatwopalne. – Zwrócił się do Difa. – Kiedy przeszukiwałeś kanały, czułeś jakiś wietrzyk czy przeciąg?

Dif zmarszczył czoło z niedowierzaniem.

– Jaja sobie robisz?

– Brak wentylacji – odparł Hugo. – Ogień zużywa tlen. Jeśli zapalimy tam butelkę, nie będziemy mieli czym oddychać. Jak wtedy chcecie walczyć?

Louie spojrzał na niego z cieniem podziwu.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

Hugo wzruszył ramionami.

– Gdzieś tam podłapałem. – Prawdę mówiąc, wcale nie był pewien, czy dobrze

zapamiętał. – Pogadamy o tym później. Teraz musicie uwierzyć mi na słowo. Jeśli ktoś weźmie butelkę zapalającą do tunelu, wylatuje z ekipy, nawet jeśli nie zginiemy.

\*\*\*

Kiedy w końcu znaleźli się w tunelu, Hugo prawie chciał odwołać całe przedsięwzięcie. Było tu znacznie jaśniej, niż się spodziewał. Okazało się, że Dif wcale nie przesadził, opowiadając, jak mocno świecą wysoko zamontowane podłużne jarzeniówki, a zapaliły się, zanim skończyli schodzić po drabinie. Tak jasne oświetlenie nasunęło Hugo myśl, że muszą tu gdzieś być kamery monitoringu, choć nie dostrzegł niczego przypominającego soczewki.

Miejsca natomiast było jakby mniej w porównaniu z obrazem, który stworzył sobie po opowieściach Difa. Nie cierpiał na klaustrofobię, ale w kapturze, goglach oraz bandanie na nosie i ustach czuł, że się dusi. Co gorsza, bandana tylko w niewielkim stopniu łagodziła smród, a ten z kolei był ostrzejszy, niż Hugo wywnioskował. Żałował, że nie zmusił ich do trzymania się pierwotnego planu, by złapać kolesia przy włazie.

I czemu, u diabła, cyborg poruszał się podziemnymi tunelami? Przecież trzeba było spłukiwać podziemia kilka razy dziennie, żeby usunąć ten okropny odór, który wydawał się równie trwały, co ściany tunelu.

Dif pokazał im dwa rozgałęzienia – bliżej kolejny tunel odbiegał w prawo, a następny pozwalał skrócić w lewo. Hugo, Tanji i Koyomi ruszyli pierwszą odnogą, natomiast Dif i Louie drugą. Plan był bardzo prosty – we trójkę wyskoczą na cyborga od przodu, a pozostali dwaj zajdą go od tyłu z siecią. Zarzucą siatkę, po czym wszyscy na raz zaatakują paralizatorami. Zazwyczaj, by powalić cyborga, wystarczyło porazić go u nasady szyi, ale tym razem Hugo chciał razić dodatkowo barki, łokcie i kolana, co da pewność, że cały mechanizm zostanie unieruchomiony.

Dwadzieścia minut po zajęciu pozycji lampy się wyłączyły. Tanji i Koyomi

podskoczyli, a Hugo miał nadzieję, że nie zauważyli, że on też.

– To tylko czujniki ruchu – szepnął do Koyomi. – Kiedy się poruszymy, światła znów się włączą.

Koyomi szarpnęła w dół szalik zakrywający jej dolną połowę twarzy.

– Wiem o tym – warknęła.

– Szal w górę – polecił.

Skrzywiła się, ale posłuchała.

– Nie mogę oddychać.

– Oddychaj później, a teraz bądź cicho – szepnął Tanji. – Chyba coś słyszę.

Hugo też to usłyszał: szmer odległych głosów. Nie potrafił rozróżnić słów, ale dźwięki brzmiały metalicznie, jakby dochodziły z dna wielkiego pustego zbiornika.

Co zrobią, jeśli cyborg nie jest sam?

*Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej*, skarcił się w duchu Hugo. Nawet jeśli ofiara zawsze chodziła sama, gdy Dif i Louie ją śledzili, to nie znaczyło, że dziś będzie tak samo. Miał ochotę walić głową w ścianę. Jeśli jest z nim drugi PW-et, to zapewne nici z roboty. Czy w piątkę zdołaliby powalić dwa duże cyborgi w takiej ciasnocie?

Teoretycznie mogłoby się udać. Mając dwa cyborgi zaplątane w sieć, musieliby tylko razić je paralizatorami, aż przestaną się ruszać. A Vector? Czy zapłaci za ciało dodatkowego cyborga, czy zechce, żeby dostarczyli je za darmo? Musieliby omówić to przed dostawą.

A co jeśli są trzy?

Nagle uświadomił sobie, że głosy umilkły. W dalszej części tunelu zaczęły zapalać się światła. Telefon Hugo zawibrował. Chłopak zerknął na wyświetlacz. *Idzie*, pisał Dif.

„Jest sam?” – odpisał, a w odpowiedzi dostał uniesiony kciuk. Ale teraz sam już słyszał kroki jednej osoby i niemal zasłabł, czując ulgę. *Następnym razem muszę lepiej planować*, pomyślał. *I nie mogę dać się namówić na takie skoki, szczególnie gdy namawiać mnie będzie niezbyt rozgarnięta osoba.*

Zapalały się kolejne światła, a smród stawał coraz intensywniejszy. Zanim



włączyły się lampy w ich części tunelu, Hugo oddychał już tylko ustami, ale to też niewiele pomagało. Cyborg niósł ze sobą porcję świeżych ścieków czy co?

Telefon Hugo rozjaśnił się kolejną wiadomością od Difa: „TERAZ”.

Wyskoczyli zatem przed cyborga z Koyomi i Tanjim tuż za Hugo. Smród uderzył chłopaka w twarz ze zdwojoną siłą. Szef bandy usłyszał, jak Koyomi wydaje dźwięk obrzydzenia.

– Czego wy tu szukacie, robaczki? – spytał cyborg ze śmiechem. Pod prawym okiem miał ciemną smugę i plamy na metalowych rękach, ale większość odoru pochodziła z opatrunku na stopach. – Lepiej się tu nie kręćcie, bo przyjdzie po was eksterminator.

Dif i Louie podkradali się do niego od tyłu. Dlaczego nie rzucają tej sieci? Na co czekają?

Niespodziewanie cyborg zadrżał, a jego twarz całkowicie straciła wyraz.

– W podziemnym świecie żyją moje dzieci – powiedział niskim głosem, wywołując ciarki na skórze Hugo. – Wy nie macie tu czego szukać.

*W pełni się zgadzam*, pomyślał Hugo i spojrzał na stojących za olbrzymem Difa i Louiego.

– Rzućcie już sieć!

Ale cyborg zdążył się obrócić. Dif i Louie nie mieli szansy go zaatakować, bo natychmiast chwycił każdego z nich jedną ręką i zderzył ich głowami. Potem zrobił gwałtowny zwrot i zarzucił sieć w kierunku Hugo. Ten zanurkował pomiędzy jego nogami, wdychając kolejną porcję fetoru. Tanji zrobił unik, ale Koyomi nie zdążyła się uchylić i cyborg przyciągnął ją w sieci do siebie, nadal mamrocząc, że to nie miejsce dla nich. Hugo zerwał się na nogi i przyłożył paralizator do jego karku.

Koyomi wydała z siebie krzyk, który w ułamku sekundy nauczył Hugo, co oznacza pojęcie „mrozący krew w żyłach”. Słyszał, jak przyjaciółka wali pięściami w metalową klatkę piersiową cyborga, i zobaczył, że z ramion przeciwnika wysuwają się mniejsze, wewnętrzne ręce. Po bardzo długiej chwili Koyomi upadła na dno tunelu i starała się uciec drobnymi kroczkami. Łkała i dławiła się, wyplątując się z sieci jedną ręką, a drugą trzymając przyciśniętą do piersi. Hugo

jeszcze raz poraził cyborga w nasadę szyi, co nareszcie sprawiło, że rażony upadł na twarz z wyciągniętymi przed siebie dodatkowymi ramionami.

Przy Hugo nagle znalazł się Tanji, który dźgnął giganta paralizującą pałką w nasadę kręgosłupa. Nie w samą kość ogonową, ale na tyle blisko, żeby Hugo odczuł przelotną złośliwą satysfakcję. Wtedy jak na sprężynie otworzyło się udo rywala i wysunął się z niego kabel, który mocno oplótł nogi Tanjiego.

– Bo się porzygam – wrzasnął Tanji, padając niemal na cyborga. – Zabieraj to ze mnie, zabieraj!

Hugo przeskoczył nad cyborgiem, chwycił sieć i narzucił ją na niego, jednocześnie jeszcze raz rażąc go w kark.

Tułów cyborga uniósł się, a wszystkie ramiona zaczęły podkurczać. Tanji wrzeszczał, żeby Hugo przestał, bo kabel zaciska się jeszcze mocniej. *Zabieraj to, zabieraj!* Chwiejnym krokiem dowlóknął się do nich Dif i wetknął swój paralizator w miejsce, gdzie noga cyborga łączyła się z tułowiem. Usłyszeli ostry trzask i kabel wokół nóg Tanjiego zwiotczał i opadł.

Zataczając się, Tanji schylił się po swoją pałkę paralizującą i uderzył w to samo miejsce na drugiej nodze cyborga.

– Tak na wszelki wypadek – powiedział ponuro. – Sukinsyn. Będę musiał kapać się przez miesiąc, żeby pozbyć się tego smrodu.

Olbrzym zaczął się śmiać. Na ten dźwięk Hugo aż odrzuciło z obrzydzenia, ale Dif, Tanji i Louie rzucili się naprzód i dźgali paralizatorami kark cyborga. Śmiech ucichł.

– Nigdy w życiu nie chciałbym usłyszeć znowu czegoś tak koszmarnego – wybuchnął Hugo.

– Ten facet to jakiś wariat – rzucił Tanji. – W jednej chwili nazywa nas robaczkami, w następnej mówi o swoich dzieciach. O co mu, do diabła, chodziło?

– Rozszczepienie osobowości – stwierdził wszystkowiedzącym tonem Dif. – Niektórzy mogą mieć nawet sto tożsamości.

– Mam to w nosie – oświadczył Hugo. – Lepiej rozłączmy, co trzeba, zanim się ocknie...

– Hm, jeśli o to chodzi – zaczął Louie, rzucając Difowi znaczące spojrzenie – zapomniałeś im powiedzieć.

– My zapomnieliśmy – poprawił go Dif.

– O czym? – wrzasnął Hugo.

Dif się zmieszał.

– Słyszycie to brzęczenie?

Hugo miał już powiedzieć, że niczego nie słyszy, kiedy uświadomił sobie, że jednak tak.

– Raczej buczenie – wtrącił Louie.

– To eksterminator – powiedział szybko Dif. – Nasze poruszenia i walka go włączyły. Myśli, że są tu szczury lub coś innego, co musi wytepić.

– Dobra, to zawińmy ciało w sieć, żeby wciągnąć je po drabinie – poleciał Hugo i obrócił się do Koyomi.

Stała z ręką nadal przyciśniętą do piersi.

– Nie dam rady się wspiąć – powiedziała słabym głosem. – Złamał mi rękę. – Zaczęła płakać. – Sukinsyn.

Dociągnęli więc cyborga do drabiny, a potem Hugo poleciał dziewczynie, żeby wskoczyła na cyborga i zdrową ręką chwyciła się sieci.

– Mowy nie ma – odparła. – Nienawidzę cię za sam pomysł.

Tanji obrócił się do niej plecami i pochylił.

– A możesz wsiąść na mnie?

Zrobiła to, a on wniósł ją po drabinie na barana. Hugo, Dif i Louie zabierali się już do wciągania na górę nieprzytomnego, zamotanego w sieć cyborga, kiedy na drugim końcu tunelu pojawił się eksterminator.

– To jest eksterminator? – spytał zaskoczony Hugo.

Była to metalowa kopuła o wysokości około metra dwudziestu, mająca na sobie coś w rodzaju spódnicy pokrytej nieustannie poruszającymi się nożami.

– Paskudny, co? – rzucił Louie, gdy z trudem pięli się po drabinie, ciągnąc za sobą cyborga.

Hugo chrząknął. Mnóstwo rzeczy w Mieście Złomu było paskudnych. Ta

przynajmniej nie potrafiła się wspinać.

\*\*\*

– Czego chcesz? – spytał Vector, nie odrywając wzroku od ekranu na ścianie. – I dlaczego, na Boga, tak śmierdzisz?

Hugo zatkąło. Spojrzał na ciało cyborga leżące przy drzwiach laboratorium. Kiedy podrzucili Koyomi i Tanjiego na oddział ratunkowy, wraz z Difem i Louiem owinęli olbrzyma w kilka wielkich worków na śmieci. Louie rzucił pomysł, żeby wsypać sody oczyszczonej do środka, co usunie paskudny zapach, ale jej nie mieli ani nie wiedzieli, gdzie ją można kupić nad ranem. Teraz Hugo się cieszył, że kazał chłopakom zostać na zewnątrz, kiedy już pomogli mu wtaszczyć olbrzyma do laboratorium.

– Dostarczam pana zamówienie – odparł w końcu. – Ciało cyborga ze wszystkimi udoskonaleniami. To jego fetor pan czuje.

*Proszę, uwierz w to*, błagał w myślach, zrozpaczony.

Vector odwrócił głowę i spojrzał na niego z wyrazem twarzy człowieka, który ma już dość nieustannych rozczarowań i za chwilę wybuchnie.

– Może się wytłumaczysz? I lepiej, żebyś mnie przekonał, bo jestem pewien, że nigdy nie prosiłem o coś tak śmierdzącego jak to.

Hugo się zawahał. Na drugim końcu pokoju Chiren krążyła między stołem do badań, szafkami a półkami. Podnosiła różne rzeczy i odstawiała je z hałasem lub trzaskała drzwiami szafek, a przy tym przez cały czas mamrotała coś pod nosem. Udawała zajęta, uświadomił sobie Hugo, a Vector udawał, że ten hałas nie doprowadza go do szału.

– Znaleźliśmy pana zamówienie w kanałach ściekowych – powiedział wreszcie.

– Nie zamawiałem niczego ze ścieków. – Vector wyprostował się na krześle i spojrzał na Hugo, marszcząc czoło. – Co jest z tobą? Najpierw włączysz się po południowej części miasta, a teraz w ściekach? Nie możesz już niżej upaść,

chłopcze. Nie w tym życiu.

– Myśleliśmy, że jest w Aksamitnej Orchidei – odparł ponuro, starając się zachować twarz bez wyrazu.

– Jak, do diabła, trafiliście z Aksamitnej Orchidei do ścieków? – dopytywał się Vector.

*Kwestia wprawy, Vectorze, kwestia wprawy.* Hugo musiał ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć tego na głos.

– Przez tunel konserwacyjny – odparł w końcu. – Tam go też złapaliśmy, kiedy wychodził z niższego poziomu.

Vector jeszcze przez chwilę rzucał mu groźne spojrzenia, po czym nagle zaczął się śmiać.

– Naprawdę? Znaleźliście go w kanałach ściekowych? Do licha, dzieciaku, to wprost idealnie. Nie masz pojęcia, jaki to idealny zbieg okoliczności.

Obrócił się, żeby spojrzeć na Chiren, która grzechotała szklanymi naczyniami laboratoryjnymi w jednej z szafek, udając, że czegoś szuka.

– Halo, Chiren – zawołał do niej Vector.

Nie dała po sobie poznać, że go słyszy i dalej przeglądała zawartość szafki.

– Halo, kotku, mam dla ciebie dobre wieści! – ciągnął Vector. Kiedy nadal nie odpowiadała, dodał: – Skończ z tym i poświęć mi uwagę, kiedy do ciebie mówię, albo przyjdę i cię do tego zmuszę.

Nie podniósł głosu. Wręcz go ściszył, ale to wystarczyło, żeby Chiren zamarła. Potem powoli zamknęła szafkę i obróciła się, żeby spojrzeć na Vectora.

Hugo starał się zachować obojętny wyraz twarzy. W życiu by nie pomyślał, że ktoś może być tak blady. Jej błękitne oczy nie były już lodowate i pełne wyrazu, lecz wodniste i matowe. Dziś wieczorem musiało się zdarzyć coś naprawdę okropnego i Vector obwiniał za to ją, nawet jeśli to nie była jej wina. Hugo zaczął się zastanawiać, jak stąd uciec i wrócić później. Nikt nie miał prawa oglądać Vectora w takim stanie, a już z pewnością nie on.

– Nasz przyjaciel Hugo właśnie doręczył nam specjalne zamówienie – Vector wyjaśnił Chiren. – Wiesz, ciało tego cyborga ze wspianymi udoskonaleniami typu

ramiona w ramionach, dodatkowe płuca i inne cudenka. Wiesz, gdzie chłopak go znalazł? Nigdy byś nie zgadła: w ściekach! – Vector wskazał na Hugo jak prezydent teleturnieju na wspaniałą nagrodę. – Tak, kotku, nasz „kolejny hit” szalał sobie z „poprzednim hitem”! Który powinien być „zaprzyszłym”, ale główniane sytuacje po prostu się zdarzają, i to nie tylko w ściekach.

Vector nagle obrócił się znów do Hugo, prezentując szeroki fałszywy uśmiech, który chłopak uznał za coś najbardziej odrażającego, co dotychczas widział.

– Słuchaj, chłopcze, a nie widziałeś tam także Grewishki, co?

Hugo wpatrzył się w niego, kompletnie zbity z tropu. A co Grewishka ma tu do rzeczy?

– Nie? A nasze szanse na mistrzostwo w motorballa? – dodał Vector. – Musiałeś je widzieć, przecież zostały splukane w toalecie!

Hugo poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia i aż podskoczył. Okazało się, że pochyła się nad nim jeden z ochroniarzy Vectora. Chłopak z ledwością się powstrzymał, żeby nie uciec, tymczasem mężczyzna odezwał się do niego głosem odrobinę głośniejszym od szeptu:

– To była okropna noc. Ktoś zabił tego nowego cyborga i uciekł z przyspieszającym chipem.

Chase nie żyje? Hugo wprost nie mógł w to uwierzyć. Jakim cudem ktoś zdołał go zabić? I kto w ogóle się odważył, wiedząc, że olbrzym należy do stajni Vectora? Jakby tego było mało, ten ktoś ukradł superchip. Kto poza Chiren wiedziałby, jak go wyjąć, i kto mógłby być tak szalony...

Hugo wstrzymał oddech. Ido. Tylko Ido.

– Wróć tu jutro popołudniu – szeptał ochroniarz. – Tak koło drugiej. – Zaczął go prowadzić w stronę drzwi, a Hugo nie protestował.

– Stój, dzieciaku! – dobiegł ich krzyk Vectora. Hugo aż się skurczył, oczekując strzału w plecy. – Muszę ci zapłacić! Jesteśmy profesjonalistami! – Przywołał go niecierpliwym gestem, więc Hugo ruszył w jego kierunku.

Vector podskoczył do niego z jeszcze szerszym fałszywym uśmiechem i pociągnął go do stojącej niedaleko szafki z klawiaturą. Próbował aż trzy razy,

zanim ją otworzył, a Hugo wolał w tym czasie udawać, że jego uwagę przykuło coś w telefonie.

– Proszę, do trzech razy sztuka! – zawołał Vector tonem, który miał być triumfalny, ale słysząc już w nim było początki hysterii. Otworzył drzwiczki z takim rozmachem, że odskoczyły z powrotem. Zatrzymał je jedną ręką, drugą sięgając po plik kredytów na półce. – Dobra robota. Dziękuję bardzo. – Przesunął plik do Hugo, obdarzając go kolejnym sztucznym uśmiechem – Tylko nie wydaj wszystkiego na raz.

– Postaram się, proszę pana.

Hugo nie mógł pozbyć się myśli, że spełnienie tego polecenia byłoby trudne, zwłaszcza jeśli policzyć, jak mała będzie jedna piąta tej sumy. Ale nie zamierzał nikogo skrzywdzić. Tworząc ekipę, obiecał podział na równe części. Nie wycofa się z tego, ani teraz, ani nigdy.

– Świetnie. Cieszę się, że zdążyłeś na czas. Zawsze to doceniam. Ale przy tym obrocie spraw, mógłbyś mieć na to jeszcze jeden tydzień. – Poklepał Hugo po ramieniu, uśmiechając się jak obłąkany, i zaczął go popychać w kierunku wyjścia. Potem podniósł głos, tak żeby go było słyszeć w całym pomieszczeniu – A teraz niech ktoś, obojętne kto – spojrzał znacząco na ochroniarza – zabierze to śmierdzące coś na zewnątrz i spłucze wodą z węża. Natychmiast!

*Idź*, powiedział ochroniarz bezgłośnie i Hugo czym prędzej wyszedł.

\*\*\*

Dif i Louis mieli na szczęście tyle przyzwoitości, żeby nic nie mówić na temat wysokości swojego udziału w nagrodzie. Hugo podwiózł ich do kawiarni Kawiarnia, gdzie stały ich żyra, a potem podjechał przed szpital, żeby sprawdzić, co z Koyomi.

W prawie pustej poczekalni znalazł tylko Tanjiego, który zdążył zdjąć bluzę i wepchnąć ją do plastikowej siatki.

– Hura, hura – powiedział bezbarwnym tonem jego przyjaciel. – I jak niesamowicie był zachwycony Vector, że wykonaliśmy zadanie na czas?

*Dzięki Bogu, że nakłoniłem go, by został z Koyomi, pomyślał Hugo.*

– Pewnie by tańczył i śpiewał alleluja, ale mieli akurat upiorny wieczór.

– A czy chociaż ci podziękował?

– Tylko słownie.

Tanji zrobił smutną minę.

– Będziemy musieli podnieść stawkę – stwierdził. – Powinniśmy uwzględnić liczbę osób przy obliczaniu ceny.

– Myślisz, że poradzilibyśmy sobie tylko we trójkę?

Tanji potrząsnął przecząco głową.

– Pewnie nadal byśmy z nim walczyli, kiedy nadjechał eksterminator. I cyborg mógłby nam wszystkim połamać ręce. – Podciągnął do nosa brzeg T-shirta i powąchał go. – Wygląda na to, że bluza pochłonęła większość smrodu.

Hugo też zdjął bluzę i powąchał koszulkę.

– Na mnie też wszystko śmierdzi. Skąd wzięłeś torbę?

Tanji skinął głową w kierunku rejestracji, gdzie mężczyzna w biało-niebieskim uniformie siedział przy biurku z twarzą opartą na dłoniach i zamkniętymi oczami.

– Poproś pielęgniarza, to ci da.

Hugo ledwo zdążył się zbliżyć do biurka, gdy mężczyzna sięgnął po plastikową torbę i przesunął ją w jego stronę, nie zmieniając pozycji ani nie otwierając oczu. Hugo podziękował mu i włożył do środka bluzę. Tanji miał rację – fetor natychmiast zelżał.

Czekali jeszcze godzinę, zanim zza drzwi wyłoniła się Koyomi i dumnie zaprezentowała prawe przedramię włożone w gips w kolorze wściekłego rózu. Była ubrana w jednorazowy szpitalny fartuch i trzymała plastikową torebkę z kilkoma rzeczami, które wcześniej miała w kieszeniach, ale nic poza tym. Jej warkocze były rozplecione, a włosy mokre.

– Kazali mi wziąć prysznic – wyjaśniła. – Nie śmierdziałam tak jak wy, ale najwyraźniej dostatecznie mocno. Powiedzieli, że spalili moje rzeczy i dali mi to,



żebym miała w czym wrócić do domu. Czy wyglądam jak doktor Koyomi?

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miała przeprowadzić operację – odparł Tanji. – Ale ty zawsze tak wyglądasz.

Roześmiała się, a w tym czasie Hugo włożył do trzymanej przez nią torebki należną jej część zapłaty od Vectora. Kiedy przestała się śmiać, spojrzała niepewnie na swoją działkę.

– Chyba nie powinnam tego brać – stwierdziła po chwili.

– Dlaczego nie? – jednocześnie wykrzyknęli z zaskoczeniem Hugo i Tanji.

– Tylko dałam sobie złamać rękę, nie zrobiłam nic więcej – powiedziała ze smutkiem. – Nawet nie mogłam wejść po drabinie.

– No co ty, zasłużyłaś sobie na to. – Hugo głową wskazał torbę.

– Poza tym gdyby tobie nie złamał ręki, złamałby komu innemu – dodał Tanji.

– Może nawet mnie, a to by było naprawdę okropne, bo ja jestem o wiele ważniejszy od ciebie.

Koyomi westchnęła.

– Przeanalizowałabym to, ale jestem za bardzo zmęczona i kręci mi się w głowie od leków przeciwbólowych.

Kiedy ruszyła w stronę wyjścia, Hugo złapał ją za zdrową rękę.

– Chwileczkę, chcę ci coś dać. – Wsunął miedzianą bransoletkę na nadgarstek ręki zakutanej w gips.

– Hugo, nie możesz! – wykrzyknęła wstrząśnięta. – Nie bransoletkę swojej matki... I nie po tym wszystkim, co przeszedłeś...

– Potrzebujesz jej bardziej ode mnie – odparł. – Miedź ma właściwości leczące. Jest dobra dla twoich kości.

– A jak to działa? – spytała zaciekawiona, patrząc to na niego, to na bransoletkę na nadgarstku.

– Nie mam pojęcia – przyznał Hugo. – Nie jestem lekarzem ani naukowcem. Po prostu działa.

– Doktor Ido ci mówił? – spytał Tanji.

– Właśnie – skłamał Hugo. – Wygłosił mi na ten temat długi wykład, ale nie

zrozumiałem ani słowa.

– No, dobrze, skoro doktor mówi, że to działa, nie będę się sprzeczać – ustąpiła Koyomi. – Ale jesteś pewien? – spytała ze zboląłą miną.

– Najbardziej na świecie. Poza tym ona nie pasuje mi do stroju.

– Do mojego też nie za bardzo.

– Ale ty jesteś dziewczyną – wtrącił się Tanji, patrząc na Hugo z prawdziwym szacunkiem. – W twoim przypadku ujdzie. A poza tym i tak nikt na ciebie nie patrzy.

– Nienawidzę cię – oświadczyła Koyomi.

Idąc w stronę wyjścia, zdrową ręką chwyciła Hugo pod ramię.

– Myślałem, że mnie też nienawidzisz – odezwał się Hugo.

– Teraz trochę mniej. Może później.

\*\*\*

Hugo podrzucił Koyomi do jej mieszkania i ruszyli z Tanjim dalej do magazynu, gdzie zostawili swoje żyra. Tanji pomógł mu naciągnąć brezent na ciężarówkę i odjechał. On sam najchętniej przespałby się w kabinie, ale w końcu stwierdził, że lepiej ograniczyć kontakt ciężarówki z jego cuchnącymi džinsami. To mu przypomniało, że miał przewietrzyć tył pojazdu i go zdezynfekować. A skoro już o tym mowa, może powinien też spalić swoje ubrania albo przynajmniej je wyrzucić, zanim wejdzie do mieszkania.

Wsiadł na żyro i miał już odjeżdżać, gdy jego wzrok padł na katedrę – poszarpany ciemny kształt na tle nieba o świcie. Przeniósł wzrok z platformy wokół jedynej niezniszczonej iglicy na Zalem i pożałował, że nie ma sił na wspinaczkę. Zalem był taki piękny o wschodzie słońca.

Pewnego dnia spoglądanie na Zalem z dołu stanie się dla niego przeszłością, którą będzie mógł wspominać, żyjąc szczęśliwy w teraźniejszości tam, na górze. Koniec z polowaniem na cyborgi, koniec z kanałami ściekowymi, koniec

z łamaniem kości przez przyjaciół dla kilku marnych kredytów. Pewnego dnia naprawdę znajdzie się ponad tym wszystkim. To była jego przyszłość. Obiecano mu ją i nic mu nie przeszkodzi w osiągnięciu celu.

## ROZDZIAŁ 19

Nie było miesiąca, by Claymore nie zgłaszał się do Chiren z pokiereszowanymi stawami.

Tym razem chodziło o barki i kolana. Następnym razem będą nadgarstki i biodra, a potem łokcie i kostki. Aż w końcu pewnie będzie musiała zbudować je wszystkie od nowa.

Kiedy nie zajmowała się Claymore'em, trzymała pieczę nad Juggernautem – dbała, by jego trzy koła i cztery ręce były gotowe do gry. Czasami wymagało to tyle zachodu, że musiała oddawać serwis Claymore'a w ręce asystentów, choć i tak potem zawsze wszystko osobiście sprawdzała. Bała się, że jeśli choć na sekundę straci panowanie nad stanem Juggernauta, to jego stare, wielkie przednie koło w końcu odpadnie w cholerę. Robiła wszystko, co w jej mocy, by podczas każdego wyścigu miało pełny zakres ruchu.

Niestety choćby nie wiadomo jak się starała, nie była w stanie poprawić jego amortyzatorów. Jedyne, co mogła robić, to wymieniać je, kiedy tylko traciły stabilność. Co oczywiste, każda taka zmiana wymagała dopasowania wszystkich przylegających elementów, wyważenia i wyrównania tylnych kół, a na koniec pracy nad drugą stroną korpusu i zajęcia się ramionami.

Chiren była pewna, że dwa ramiona po dwie ręce wymagały szesnaście razy więcej wysiłku. Nie chodziło o stawy ani zasięg ruchu, tylko o to, że kończyny musiały być dobrze wyważone, zresztą jak wszystkie elementy. Bez idealnej równowagi Juggernaut stawał się zwykłym zawalidrogą. Na szczęście miała w tej kwestii wrodzone wyczucie: wystarczył jeden rzut oka na paladyna, by oceniła, czy

jego ciało jest poprawnie zbalansowane.

Wielokrotnie demonstrowała to wyczucie przy Vectorze, który jednak nie rozumiał, co w nim wyjątkowego, bo nie był naukowcem ani technikiem. Na pewno słyszał, jak stadionowe ekipy techniczne i paladyni opowiadają, że nigdy nie pracowali z lepszym stroicielem. A Chiren wiedziała na pewno, że mówią prawdę.

Od pewnego czasu przygotowywała szkice i wykonywała obliczenia potrzebne do przeprojektowania Juggernauta. Gdyby pozwolił zbudować sobie nową dolną połowę ciała, mógłby zaważać o zwycięstwo w tym sezonie, a już całe lata nie było ostatecznego mistrza posiadającego inne ciało niż dwunożne. Gdyby Juggernaut dał jej zielone światło na przeróbki, zostawiłby wszystkich daleko w tyle, nawet Jashugana.

Jashugan był ciekawym przypadkiem, bo mimo tego, że posiadał lekkie uzbrojenie, coraz więcej kibiców widziało w nim swojego faworyta. Jedynym narzędziem walki, jakie posiadał, stanowiły wirujące szlifierki na przedramionach, co jednak nie miało większego znaczenia, bo walczył niewiele. Zazwyczaj udawało mu się uniknąć karamboli, które normalnie wprawiały widzów w dziką ekstazę.

Zdaniem Chiren Claymore albo przeprojektowany Juggernaut byliby lepszymi kandydatami na ostatecznego mistrza. Jednak gdy wszyscy paladyni znajdowali się na torze, nieważne czy w drużynie, czy w konkurencji wolnej amerykanki, czarny, złoto zdobiony pancerz Jashugana przyciągał wzrok wszystkich. Tkwiło też coś szczególnego w jego osobie, w tym, że potrafił grać tak samo bezwzględnie jak największe zabijaki, ani na chwilę nie tracąc panowania nad sobą.

Dla Jashugana motorball był w tym samym stopniu sportem, co pojedynkiem umysłów. Podejście Juggernauta polegało na rzucaniu się w wir akcji i trzymaniu kciuków, by wszystko dobrze się skończyło. Ajakutty powtarzał sobie, że wygra. Czasami mu się udawało. Claymore wychodził na tor przygotowany na wszystko, ale pełen nadziei. Crimson Wind była aktualnie jedyną paladynką w stajni Vectora. Co wyścig próbowała nowej broni, ale póki co żadna nie zaskarbiła sobie jej sympatii, więc z konieczności preferowała defensywny styl gry. Jej strategia była

prosta: być szybszą od pozostałych, nie dać się złapać, nie pozwolić się zmusić do walki ani pokonać. Od chwili, gdy w poprzednim roku dołączyła do zespołu, wygrała dwa wyścigi i na mecie obu wyglądała na równie zaskoczoną, co pozostali uczestnicy.

W miarę upływu czasu Chiren zrozumiała, że Crimson Wind starała się imitować Jashugana, co nie było złym pomysłem. Kiedy się ścigał, Jashugan całkowicie panował nad sytuacją na torze. Poza stadionem zaś całkowicie panował nad swoim życiem. Kiedy Ido zwolnił się ze stadionu, Jashugan jako jedyny z paladynów zdecydował się wziąć odpowiedzialność za swoje naprawy i serwis.

Ido był jego ulubieńcem. Chiren często natykała się na nich, kiedy coś wspólnie omawiali – dwóch poważnych mężczyzn sprawiających wrażenie, jakby omawiali losy świata. Jednak już wtedy to Jashugan zwracał Ido uwagę na pewne ważne kwestie, a Ido nie miał nic przeciwko postępowaniu według jego instrukcji. Niewątpliwie przyłożyło się to do niezachwianego przekonania cyborga o własnej wartości. Jashugan potrafił zachować godność osobistą, nawet kiedy jego części leżały porozrzucone po całej stajni.

Chiren jednak nie miała wątpliwości, że zdarzały mu się słabsze chwile. Jak każdemu. Na pewno od czasu do czasu Jashugan tracił panowanie na sobą, stawał się na moment wrakiem. Nikt nie potrafił bez ustanku postępować tak rozsądnie i kompetentnie, ani w motorballu, ani w żadnej innej dziedzinie. Chyba że był Dysonem Ido.

Chiren poznała swojego byłego męża, kiedy oboje szkolili się na lekarzy. Wzięła go za jednego z instruktorów. Rozwścieczyła ją ta pomyłka, bo uznała za niesprawiedliwe, że student – zasadniczo chłopiec do bicia – budził taki respekt swoim opanowaniem.

Upomniała się, że to nie jest dobry moment na wspomnienia. Teraz sama była doświadczoną profesjonalistką i to ona, nie Ido, dzierżyła autorytet, któremu wszyscy musieli się podporządkować. Ido się zwolnił, zrezygnował, porzucił paladynów – nie ona. Niechętnie przyznawała to przed sobą, ale doprowadzało ją do szału, że niektórzy, na przykład Ajakutty, wciąż opowiadali, jak tęsknią za Ido.

Niestety zawodnicy motorballa byli jak dzieci – nie można było oczekiwać dojrzałości od ludzi, którzy zarabiali na życie, grając w grę.

Chiren próbowała dowieść Ajakutty’emu, że nie ma powodu, by tęsknić za Ido. Nie poprzez rozmowę – o czym można rozmawiać z facetem, który wzdłuż rąk montował sobie pasy najeżone ostrzami? Zamiast tego zapewniała mu doskonały serwis i naprawiała, co trzeba, zanim miało okazję się zepsuć.

Nie doceniał tego tak, jak powinien, ale w gruncie rzeczy nie żywiła do niego urazy. Ajakutty zwyczajnie nie rozumiał, jakie ma szczęście – inteligencji ledwie mu starczało, żeby samodzielnie oddychać.

Chiren poprawiła układ ostrzy na jego rękach, upodabniając go do wystających zębów rekina. Pomysł przyszedł jej do głowy, gdy po raz pierwszy zobaczyła go na torze. Ajakutty nie miał pojęcia, co to jest rekin. Nawiasem mówiąc, rany, czego uczyły szkoły w Mieście? Oddychania bez niczyjej pomocy? Rozważyła, czy nie pokazać mu zdjęcia, ale doszła do wniosku, że jeśli uzna widok za przerażający, może później mieć koszmary. Motorballowi paladyni byli dziećmi, wszyscy bez wyjątku.

Jashugan też, niezależnie od tego, jak opanowany wydawał się na co dzień. Z rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że prędzej czy później pozwoli się przyłapać na chwili słabości, rozpadnie się na kawałki, akurat kiedy Chiren będzie siedziała w pierwszym rzędzie. Pozbiera go wtedy i zmontuje z powrotem w lepszej konfiguracji. Od tej chwili, choćby nie wiadomo jak się starał zachować pozory, będzie na niej polegał. A ona stanie się dla niego niezawodną podporą, tak samo jak kiedyś dla męża.

Nie było łatwo przebić się przez mechanizmy obronne Dysona Ido. Potrzebne było oblężenie. Słabsza osoba poddałaby się – Chiren zakładała zresztą, że niejedna słabsza osoba tak właśnie zrobiła i wyjaśniało to, dlaczego Ido pozostawał taki samotny i niewzruszony. Ostatecznie jednak pokonała wszystkie bariery, którymi odgrodził się od świata. Dotarła do autentycznego Dysona Ido i naznaczyła jego osobowość, unaoczniając mu, że bycie silnym czasami oznaczało pozwalanie sobie na wrażliwość, a nawet słabość. Czowała całkiem sporą dumę ze swojego osiągnięcia.

A teraz, mimo że Ido spaprał sobie życie i przestał cokolwiek znaczyć, wciąż o nim rozmyślała. Ido, człowiek, o którego sile krążyły legendy, ale kiedy Nova kazał im się wynieść z Zalemu, poddał się bez walki. Pewnie mieli szczęście, że znalazł w sobie dość odwagi, by poprosić o kapsułę, dzięki której przeżyli upadek.

Bogu dzięki, że Vector był o wiele silniejszy. W pewnym sensie to logiczne – tylko silny mężczyzna mógł zarządzać Miastem Żłomu. Nigdy nie zakocha się w nim po uszy, ani on w niej, i odpowiadało jej to. Oboje wiedzieli, co dostają: on najlepszą stroicielkę na świecie i możliwość pokazywania się z piękną kobietą u boku, ona bilet do domu. Żadnych nieporozumień.

Dyson Ido mimo geniuszu, mądrości, spostrzegawczości i empatii nie potrafił nawet utrzymać miejsca należnego ich rodzinie, tymczasem ten słabo wykształcony, ale przebiegły, inteligentny i zaradny mężczyzna urodzony na ziemi – w brudzie – miał moc wysłać ją z powrotem do Zalemu. Kto w takiej sytuacji wybrałby miłość?

Tylko głupiec. Kiedyś była głupia, ale zmądrzała.

\*\*\*

– Widzę, że jest pani wcześniej. Zawodnicy jeszcze nie zaczęli się schodzić – powiedział kobiecie głos za plecami Chiren.

Wydał się jej prawie znajomy. Słyszała go wcześniej, ale nie w stajni.

– Paladyni – odpowiedziała, nie prostując się znad szuflady na części, której zawartość spisywała. Po raz pierwszy od dawna mieli dość serw i uszczelek na cały wieczór, chyba że wszyscy staną w płomieniach. – Zawodowców nazywamy paladynami. – Chiren skończyła ponownie liczyć uszczelki o średniej średnicy i dopiero wtedy się odwróciła.

Kobieta usadowiona na krawędzi jednego z tronów do serwisowania paladynów ani nie była znajoma, ani zupełnie obca. Jak większość przedstawicielek płci żeńskiej nie dorównywała Chiren wzrostem. Miała na sobie spraną, niebieską,



flanelową koszulę narzuconą na czarny podkoszulek, a do tego dżinsy i mocno wyeksploatowane, czarne, ciężkie buty. Na podłodze niedaleko jej stóp leżała torba podróżna, a na niej ciemnobrązowy kapelusz.

– Ja panią znam? – spytała Chiren.

– Ja znam panią – odparła kobieta i uśmiechnęła się w tak, że wydała się Chiren jeszcze bardziej znajoma. Wciąż jednak jej nie kojarzyła. – Od dłuższego czasu pracuję w okolicach Fabryki.

– W okolicach? – Chiren zmarszczyła brwi. – Nie bardzo rozumiem. Pracuje się w Fabryce albo poza nią, na Farmach. W ośrodkach zaopatrzeniowych albo dla stacji wysyłkowych. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś pracował w okolicach.

– Wykonywałam różne nietypowe zadania w okolicach głównego budynku – odparła nieznajoma. – Dla Vectora.

– Rozumiem. – Chiren wyprostowała się, prezentując swój wzrost plus dziesięć centymetrów, które dodawały jej szpilki. Była to jedna z nielicznych okoliczności, kiedy była wdzięczna, że Vector upierał się, by nosiła je do pracy. – Ma pani na myśli, że jest jedną z naszych... Nazwijmy to... Mniej oficjalnych pracownic. Tych, które zatrudniamy, żeby... – Cokolwiek zamierzała powiedzieć, wyleciało jej z głowy. Coś się działo z twarzą kobiety.

Na oczach Chiren kości policzkowe jej rozmówczyni nieznacznie uniosły się i rozstąpiły. Podbródek przyjął bardziej trójkątny kształt, a górna część nasady nosa zagłębiła się w czaszkę. Oczy przestały być tak głęboko osadzone i zmienił się ich obrys, choć nie potrafiła powiedzieć jak. Tę twarz w każdym razie rozpoznawała.

– Pani jest woźną – wyrwało się jej, bo nie mogła powstrzymać zdumienia. – Rekonfiguracja twarzy jest nielegalna. Dlaczego nie siedzi pani w więzieniu?

– Jestem użyteczna – odpowiedziała kobieta i zachichotała pod nosem.

– Dla Vectora?

– Dla Fabryki.

– W Mieście Złomu Vector i Fabryka są jednym i tym samym – oznajmiła Chiren, jeżąc się trochę.

– Dostaję zadania od Vectora – uściśliła rozmówczyni. – Ale zatrudnia mnie

Fabryka. Kiedy przyjmowałam tę pracę, dano mi jasno do zrozumienia, że to rozróżnienie jest bardzo ważne.

– Jak ma pani na imię? – spytała Chiren.

– Soledad. – Pauza. – Zazwyczaj.

– Zgaduję, że wie pani, kim ja jestem. Niezmiennie – odpowiedziała Chiren. –

Vector polecił pani tu przyjść?

– Nie. – Uśmiech Soledad nieco zbladł. – Przyszłam się pożegnać.

Chiren przechyliła głowę.

– Nie pamiętam, żeby się pani witała.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Tak to już jest w moim życiu.

– Dokąd pani wyjeżdża? – Ciało Chiren się napięło. – Vector wysyła panią... –

Zawahała się. – Gdzieś indziej?

– Nie wie nawet, że znikam. Proszę się nie stresować. Nie zamierzam ukraść pani transportu do... – Przelotnie spojrzała ku górze.

– Skąd pani o tym wie?

Chiren zrobiła krok w jej stronę.

Kobieta ani drgnęła.

– Różne rzeczy wpadają do ucha, kiedy się pracuje w Fabryce i okolicach. Tylko spokojnie, nikomu nie powiedziałam. Gdyby wyszło na jaw, że Vector ma takie wtyki, wszyscy chcieliby jechać i całe miasto zaczęłoby się dobijać do jego drzwi. Nasłabym centurionów na natrętów, ale tego nie chciałabym mieć na sumieniu. – Sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale tylko pokręciła głową.

Wstała, a Chiren zwróciła uwagę, że jest jeszcze niższa, niż się wydawało.

– Nie, po prostu wyjeżdżam – powiedziała, zakładając kapelusz. Był duży i miał obwisłe rondo. Upchnęła do środka większość włosów, zostawiając kilka pasemek po obu stronach twarzy. – Wynoszę się stąd najdalej jak tylko możliwe. Tak daleko, że nie będę widziała Zalemu nawet przez lornetkę.

– Nie boi się pani skażenia? – spytała Chiren. – Minęło trzysta lat od Wojny,

ale próbki gleby z tak zwanych Pustkowi wciąż wykazują obecność mikroorganizmów bojowych i metali ciężkich.

– Świat jest duży – powiedziała kobieta. – Nawet w czasach, gdy wszystkie dwanaście latających miast unosiło się w powietrzu, z wielu obszarów nie było widać żadnego z nich. Są miejsca, w gdzie ludzie na co dzień widzą ptaki, a latające miasta znają tylko z obrazków w książkach. Odwrotnie niż tutaj.

Chiren wzruszyła ramionami.

– Sporo zachodu, żeby pooglądać ptaki.

– Przed wojną ludzie często odbywali długie podróże tylko po to, żeby coś zobaczyć – powiedziała rozmówczyni, wciąż uśmiechając się pod nosem. – Używali do tego latających maszyn, nic ich nie zestrzeliwało. Tak w każdym razie słyszałam.

– Krąży wiele legend o tym, co było – stwierdziła Chiren. – Opowieści o rasie wielkich jaszczurów eksterminowanej przez spadającą gwiazdę, o rybach, co wyszły na ląd po tym, jak wyrosły im nogi, a potem zmieniły się w ludzi. O ogólnoświatowej powodzi, która spowodowała, że część organizmów zmieniła zdanie i przeniosła się z powrotem do oceanów. Ludzka wyobraźnia nie zna granic.

– W odróżnieniu od ludzkiej rzeczywistości znającej tylko granice. – Kobieta chwyciła torbę i przewiesiła ją przez pierś, a Chiren bardzo zaciekawiło, co jest w środku. Cokolwiek to było, nie wyglądało na bardzo ciężkie.

Chiren myślała, że kobieta wyjdzie, ale nieznajomej się nie śpieszyło. Przypatrywała się Chiren z zamyśloną miną.

– Chciała pani jeszcze coś powiedzieć? – spytała Chiren. – Czy kiedy teraz przyszło co do czego, zwątpiła pani? Może nie pierwszy raz?

– To pani powinna mieć wątpliwości – powiedziała nieznajoma.

Chiren znów się zjeżyła. Cholera, a już zaczynała lubić tę kobietę.

– W jakiej sprawie?

– Myślę, że pani wie – odpowiedziała.

– Proszę mi powiedzieć i tak...

Jak ona miała na imię? Chiren musiała się chwilę zastanowić. Soledad.

– Każdej – tłumaczyła kobieta. – Pani całego życia, obecnego i przyszłego.

Z ust Chiren wydostało się zgorzkniałe prychnięcie.

– To samo mogłabym powiedzieć o pani. Wyjeżdża pani diabli wiedzą dokąd bez żadnego powodu poza tym, żeby znaleźć się hen daleko od Zalemu. Tymczasem moje obecne życie polega na wykonywaniu wartościowej pracy, w której jestem wybitnie dobra, na poczet czegoś lepszego: mojej przyszłości.

– Jest wiele rzeczy na temat pani przyszłości, o których pani nie wie.

– Wiem, gdzie będę i co będę robić – powiedziała Chiren opanowanym tonem.

– A pani?

Kobieta pokiwała głową.

– Coś w tym jest...

– Ale? – spytała Chiren.

Rozmówczyni odpowiedziała pytającym zmarszczeniem brwi.

– Wydawało mi się, że będzie jakieś ale.

Kobieta uśmiechnęła się przelotnie.

– Na każdego z nas czeka jakieś ale. Warunki zapisane małym druczkiem, haczyk w umowie, nóż na gardle, ukryte zobowiązania, które okazują się więzieniem. Dostrzeże pani własne, kiedy przyjdzie pora. A póki co: powodzenia w dzisiejszym wyścigu.

I wymaszerowała ze stajni krokiem, który Chiren, odprowadzająca ją wściekłym wzrokiem, uznała za prawie zawadiacki. Może chodziło o ten kapelusz. Albo po prostu o to, że „pani chodząca tajemnica” umywała ręce od wszystkiego, za co odpowiadała. Zawsze o wiele łatwiej było uciec, niż zmierzyć się z tym, co nas czekało.

Chiren powiedziała do siebie w myślach, że kiedy ona wyjedzie, nie będzie przed niczym uciekała. Uda się w konkretne miejsce. Do domu.

Miała jednak mnóstwo zadań do wykonania, zanim to się stanie. Paladyni wymagali ulepszeń, serwisu, napraw, a czasami nawet odbudowywania pewnych podzespołów, by wygrywać wyścigi i zdobywać tytuły mistrzowskie. Musiała wracać do pracy, upewnić się, że ma w magazynie każdą część, która może okazać

się potrzebna. Musiała zrobić wszystko i musiała zrobić to dobrze.

\*\*\*

Vector pojawił się parę sekund po tym, jak skończyła z Claymorem. Cyborg na jego widok uśmiechnął się szeroko, po czym przywitał się ciepło i serdecznie. Vector powitał go równie ochoczo, szczerząc się od ucha do ucha, jakby miał wszelkie powody spodziewać się, że to będzie najlepszy wyścig w historii, najlepszy wieczór w życiu ich wszystkich.

Jednak kiedy tylko Claymore wytoczył się ze stajni, z oczu Vectora zniknęła wszelka wesołość, a jego twarz przyjęła kamienny wyraz.

– Wszystko gotowe?

– Spędziłam tu całe popołudnie, żeby było – zapewniła go. – Cokolwiek się stanie, damy radę.

– No, mam nadzieję.

Kiedy z nią skończył, zaczęła się schodzić roześmiana załoga. Vector miał dla każdego szeroki uśmiech. Poklepał kilka osób po plecach, przybił kilka żółwików i pokazał wszystkim dwa uniesione kciuki, a potem napuszczonym krokiem wyszedł do swojej łoży. Normalnie robił to tylko wtedy, gdy miał specjalnych gości albo był na coś wkurzony i Chiren wiedziała, że na pewno nie chodzi o to pierwsze. Nie była pewna, co wkurzyło go bardziej: strata Chase'a czy chipa. A może to, że nie udało się jej zbudować nowego z pamięci. Jakby to była jej wina.

Gdyby włożył więcej wysiłku w odnalezienie Chase'a – jeśli nakazałby dzieciakom, których nazywał ulicznymi szczurami, potraktować sprawę Chase'a priorytetowo – sprawa mogły się zakończyć inaczej. Mogłaby wydobyć chip i wypróbować go w bardziej zaawansowanym cybernetycznym ciele. Niestety stało się zupełnie inaczej i teraz Vector siedział w łoży, dąsając się jak pięciolatek.

Wiedziała, że nie wytrzyma tam całego wyścigu – jeszcze ani razu mu się nie udało. Zanim paladyni skończą pierwsze okrążenie, wróci do warsztatu, żeby

patrzeć jej na ręce, wykrzykiwać polecenia i żądać wyników. Czyli zasadniczo będzie robił to, co każdego dnia, nieważne w jakim humorze wstał.

Musiała znaleźć sposób, by mu pokazać, że jej umiejętności biją na głowę wszystko, co mógł dać specjalny chip. Że mogła zbudować mu czempiona. Gdyby udało jej się chociaż raz, zrozumiałby, że nie musi wpadać w apopleksję z powodu głupiego podzespołu, który od początku nie działał jak należy. Dostrzegłby, że wywiązuje się ze swojej części umowy, więc kiedy nadejdzie czas, będzie musiał wywiązać się ze swojej i odesłać ją do Zalemu.

Nie był to idealny układ, ale jeśli tylko tak mogła zapewnić sobie możliwość powrotu, to była gotowa to znieść. Mogła to znieść. Mogła to znieść.

Mogła. Mogła.

## ROZDZIAŁ 20

Jest pan nie do zniesienia – pozaliła się Gerhad. – Jeśli to ma być norma, odchodzę.

– Dobra – odparł Ido.

– Co dobra? – Wbiła w niego wściekły wzrok godny inkwizytora. – Dobra, przestanę robić wszystko, żeby się zabić? Czy: dobra, miło się razem pracowało, proszę, oto rekomendacja?

Siedzieli we dwójkę przy kuchennym stole. Ido skubał quesadillę z baru po drugiej stronie ulicy, swój pierwszy stały posiłek od czasu nocnej walki w katedrze. Gerhad zamieszkała w sypialni dla gości, żeby się nim opiekować, i podjęła decyzję o zamknięciu kliniki dla każdego poza nagłymi przypadkami. W innych warunkach Ido przekonywałby ją pewnie, że wszyscy, którzy do niego przychodzili, nawet jeśli ich życiu nic nie groziło, zaliczali się do nagłych przypadków: mieli pracę, rodziny, które na nich polegały, obietnice do spełnienia. Był jednak zbyt poobijany, żeby się kłócić. I dziękował Bogu, że Gerhad zamknęła klinikę, bo nie miał pacjentom nic do zaoferowania.

Pielęgniarka wpatrywała się w niego. Ido zdał sobie sprawę, że wciąż czekała na odpowiedź, więc sprezentował jej szeroki, zakłopotany uśmiech i poprosił o dolewkę, unosząc kubek.

– Żartujesz? Robisz kawę sto razy lepiej ode mnie. Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że odmówię sobie tej przyjemności.

– Nie, to pan oszalał – powiedziała, napełniając jego kubek.

– Pewnie masz rację – odparł serdecznym tonem.

– Proszę sobie nie żartować. – Gerhad się nie uśmiechała. – Poświęcę chwilę,

by podkreślić, że wspierałam się na wyżyny wyrozumiałości, odkładając tę rozmowę, żeby nie zakłócać pańskiego powrotu do zdrowia.

– Zauważyłem – odpowiedział szczerze Ido. – Ja i moje ciało jesteśmy bardzo wdzięczni. Dziękuję też za pogodzenie się z faktem, że lubię quesadillę na śniadanie.

– Z tym jeszcze się nie pogodziłam – westchnęła Gerhad – ale staram nie przejmować się tym faktem. Mogę zrobić panu listę rzeczy, którymi nie będę się przejmowała. Ale ostrzegam, będzie krótka.

Ido skrzywił się przepaszajaco.

– Przyznałem się, że jestem licencjonowanym łowcą głów. Z nagród utrzymuję klinikę i wypłacam ci pensję. Jeśli nie możesz się z tym pogodzić, to przykro mi, za nas oboje.

– Nie powiedziałam wcale, że przeszkadza mi pański drugi zawód – odpowiedziała Gerhad wciąż bez uśmiechu. – Ale nie zgodzę się na takie sytuacje, że ma pan niezaleczone obrażenia po poprzedniej walce i wychodzi pan znowu polować. Co to było, do diabła?

– Miałem pewność, że jeśli go nie powstrzymam, to kogoś zabije – wyjaśnił.

– I prawie zabił. Pana. – Gerhad się wściekła. – I po co? Nie wyznaczono za niego nagrody.

Ido odgryzł kolejny kawałek quesadilli. Była mniej pikantna, niż by chciał. Mógł się założyć, że Gerhad specjalnie zamówiła łagodną wersję dla inwalidy.

– To był szczególny przypadek.

– Najwyraźniej, bo kiedy przywiozłam pana do domu, miał pan tylko to.

Gerhad pogrzebała w kieszeni, wyciągnęła chip i położyła go na środku stołu.

Ido westchnął z ulgą.

– Bogu dzięki. Nie mogłem sobie przypomnieć, co z nim zrobiłem.

– Nic pan nie zrobił. Musiałam go wydłubać z pańskiej dłoni. To jest ten superchip, o którym pan jęczał?

– Co powiedziałem? – spytał Ido trochę przestraszony.

– Sporo. – Gerhad zachichotała. – Ktoś się włamał i go ukradł, a pan nie wie



ani jak, ani kto, ale jest pan pewien, że stoją za tym Vector i pańska była żona, Chiren. Zamontowali go w jednym ze swoich zawodników, żeby ruszał się szybciej, ale nie zadziałał, jak należy. Zawodnik zwariował i to wszystko pańska wina. – Zamilkła na chwilę. – Zebrałam to z kilku delirycznych tyrad, więc mogło mi się coś pomylić.

– Nie, zasadniczo wszystko się zgadza – odparł Ido. – Próbowałem znaleźć sposób, by zapewnić cyborgom po pełnej wymianie stuprocentową płynność i naturalne odczucia w każdym względzie. Miałem nadzieję, że gdyby mi się udało, mógłbym też poprawić warunki osób z jednym ulepszeniem czy dwoma.

Gerhad oparła łokieć o blat stołu i uniosła przedramię. Obróciła je najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Na końcu zamiast narzędzia chirurgicznego miała zamocowaną dłoń.

– Ja nie narzekam.

– I wrażenia nie różnią się ani trochę od tych z organicznej ręki? – spytał Ido.

– Różnią się, ale tego się spodziewałam. Powiedział mi pan, że tak będzie i będę musiała się przyzwyczaić. Ale wie pan co? Niespodzianka: łatwiej przyzwyczaić się do ręki, z którą czasami jest trochę dziwnie, niż do nieposiadania jej w ogóle.

Ido upił łyk kawy, trzymając kubek w obu dłoniach, żeby nim nie trząść.

– Masz bóle fantomowe?

– Raczej nie – odparła Gerhad. – Często się to zdarza?

– Przy amputacjach urazowych takich jak twoja częściej. Rzadko u osób, które wymieniają kończynę z wyboru – odpowiedział Ido. – Czasami homunkulus w mózgu walczy z protezą, bo widzi w niej intruza albo uzurpatora.

– Proteza. – Gerhad zaśmiała się pod nosem. – Ani razu nie nazwałam jej w myślach protezą. To po prostu ręka. Moja ręka.

– Założyliśmy ją dość szybko. Twój mózg nie miał wiele czasu, żeby odnotować brak oryginału.

Gerhad zachichotała.

– Może po prostu łatwo się przystosowuję. Nie zauważyłam żadnej

desynchronizacji ani utraty czucia.

– Ale nie eksploatujesz ręki jakoś szczególnie mocno, prawda?

Gerhad zmarszczyła brwi.

– To znaczy jak?

– Właściwie nie wiem... – Ido wzruszył ramionami i tego pożałował. Górna połowa jego ciała wciąż sprzeciwiała się nawet drobnym ruchom. – Wbudowałem możliwość bardzo szybkiego zakładania szwów. Może gdybyś musiała z niej korzystać codziennie po kilka razy, zaczęłoby się pojawiać niezdecydowanie.

– Mam trochę opóźnienia zaraz po wstaniu z łóżka – przyznała Gerhad. – Ale reszta ciała też nie pracuje wtedy na pełnych obrotach.

– Zwracaj na to, proszę, uwagę – polecił Ido. – Chciałbym, żebyś zapisywała każdy przypadek i powiedziała mi za jakiś czas, czy takie epizody zdarzają się coraz częściej czy rzadziej.

– Dobrze, skoro pan prosi. Ale właściwie nie wiem, czy to takie ważne.

– Jak to? – zdziwił się Ido.

– To jest sztuczna ręka współpracująca z organicznym mózgiem. A przecież nawet normalne kończyny nie zawsze działają tak, jak byśmy chcieli. – Gerhad skinęła głową w stronę chipa leżącego na stole. – Moim zdaniem pan próbował gonić za ideałem, a na to nie ma szans. – Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Wszyscy mamy ułomne ciała, doktorze. Nie potrzeba nam idealnych rozwiązań, tylko takich, które się sprawdzają.

Ido delikatnie poprawił się na krześle, ignorując ból w żebrach. Spędził całe życie na dążeniu do perfekcji, wiedząc, że nieważne, jak bardzo się postara, na pewno popełni jakiś błąd. Po prostu nie wyobrażał sobie, żeby obrać sobie za cel coś innego niż ideał.

Rzecz w tym, że w Zalemie obowiązywała dużo bardziej precyzyjna definicja perfekcji. Łatwiej było ją sobie wyobrazić. Miała bardziej oczywisty kształt, bo w Zalemie wydawała się bliższa – a przynajmniej tak sądził. Kiedy Nova skazał ich na wygnanie z powodu tak zwanej niedoskonałości ich córki, Ido odkrył, że Zalem był w rzeczywistości bardzo, bardzo daleki od ideału.

A Miasto Złomu wcale nie było bardziej odległe od perfekcji – różniło się tylko tym, że stało na ziemi.

Gerhad wstała od stołu.

– Sprawdzę pilne wiadomości – powiedziała. – A pan niech dokończy tę quesadillę. Musi pan jeść.

– Jest trochę bez smaku – stwierdził Ido pół żartem.

– Jeśli chce pan coś pikantniejszego, proszę najpierw skończyć to.

Ido odprowadził ją wzrokiem, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. Chciał pójść za nią do kliniki, ale najzwyczajniej w świecie nie miał siły podnieść się z krzesła.

\*\*\*

Późnym popołudniem Gerhad uznała, że Ido wypoczął dostatecznie, by spędzić trochę czasu przy stole roboczym.

– Tylko żadnych wygłupów – zarządziła stanowczo. – Pozwalam panu czytać, notować, myśleć o skomplikowanych rzeczach i wpatrywać się w przestrzeń.

– Zostawiłem tu rękę... – oznajmił Ido, rozglądając się, kiedy Gerhad pomagała mu usadowić się na krześle.

– Dokończyłam za pana – wyjaśniła Gerhad. – Pacjentka zabrała ją do domu, twierdzi, że wszystko jest w porządku.

Ido uniósł na nią zdumiony wzrok.

– Dokończyłaś łokieć Gladys-Jean?

– Ja? Nie. – Gerhad zachichotała. – Ja tylko zamknęłam obudowę i zamontowałam rękę. To był jedyny nie nagły przypadek, którym się zajęłam, i to tylko dlatego, że ręka była praktycznie gotowa. Nie widziałam sensu, żeby kazać pacjentce czekać.

– Zrobiłaś dobry uczynek – powiedział Ido. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Jest pan pewien, że nie woli się przespać?

– Nie, coś tu sobie porobię – odparł i włączył jeden z dwóch monitorów.

To „coś”, które miał na myśli, oznaczało przeczytanie wszystkich notatek na temat superchipa leżącego w tej chwili w małym pojemniku na stole. Czytanie szło mu jednak tylko odrobinę lepiej niż wszystkie inne czynności. Nic nie zostawało mu w głowie. *No tak*, pomyślał, *leki znieczulające*. Powinien się zająć opracowaniem mniej odurzającego specyfiku uśmierzającego ból, po którym dałoby się normalnie funkcjonować.

*Patrząc na to od drugiej strony*, podpowiedział głos z tyłu jego głowy, *jeśli potrzebujesz tak silnego znieczulenia, może nie powinieneś funkcjonować. Może to niezdrowe, że zapominasz o swoich poważnych obrażeniach*.

Ido zmarszczył brwi. Nie poznawał samego siebie... Ale głos miał rację. Od kiedy doktor skupił się w swojej karierze na cyborgach, nabrał skłonności, by rozważać leczenie chorób i obrażeń głównie od strony fizycznej. Cybermedycyna zrobiła z niego absolutnego dualistę, który widział w ciele i umyśle dwa niepowiązane i niepodobne do siebie układy. Może cała ludzkość zmierzała w tym kierunku – mózgi w skrzynkach, duchy w maszynach i tak dalej.

A mózgi, nawet te w skrzynkach, lubiły być na haju.

Mimo to, gdyby udało się wyrugować euforyczne skutki uboczne leków zażywanych przez paladynów w celu synchronizacji funkcjonowania mózgu z ciałem, zniknęłaby plaga uzależnionych byłych graczy sprzedających części własnego ciała, gotowych dla kolejnej działki zrobić wszystko, na przykład włamać się do kliniki i zabić przypadkową niewinną osobę. Byli zawodnicy mogliby stopniowo zmniejszać dawkowanie do poziomu odpowiedniego dla osoby niegrającej w niezwykle wymagającego fizycznie motorballa. Dałoby im to szansę na normalne życie.

Sęk w tym, że większość z nich nie była zainteresowana normalnym życiem. Jeśli czegoś pragnęli, to zostać w zespole, nie stawać się byłym paladynem. Euforia powodowana przebywaniem na stadionie pełnym rozszalałych kibiców uzależniała równie mocno, co najgorsze narkotyki, i póki co nikt nie wpadł na pomysł, by opracować odpowiedni detoks.

Wzrok Ido padł na chip przypominający mu, że miał poszukać swoich notatek na temat wynalazku. Wybudził ekran z uśpienia i znalazł zapiski. Twarde dane – materiały, płytki drukowane, czas poświęcony na konstrukcję. Informacje były bardzo szczegółowe, ale doktor co minutę, czasami nawet częściej, gubił wątek. I było ich mnóstwo, w tym wszystko, co odnotował, kiedy jeszcze pracował na stadionie z Chiren – lista wszystkich usterek: desynchronizacji, wahan, zacinań się, blokad, odbijania i oporów. Miał też kopię notatek Chiren.

Czytając to wszystko od nowa, Ido zdał sobie sprawę, że zapisy mówiły dużo o wydolności fizycznej paladynów – kiedy dobrze grali, co robili źle – ale bardzo niewiele o ich stanie umysłowym, chyba że o upośledzeniu poznawczym albo zmianie świadomości, a już zupełnie nic o emocjach.

Bo celem, do którego dążył, była idealna wydajność na torze. Za to zresztą Vector płacił i jemu, i Chiren. Mieli zrobić z jego paladynów maszyny idealne, zwycięzców.

Wpisał numer telefonu Chiren, zanim rozsądek podpowiedział mu, żeby się zastanowił.

– Czego chcesz, Ido? – usłyszał zniecierpliwiony głos Chiren. – Jestem zajęta. Szykuję się do jutrzejszego wyścigu.

– Wiem, co zrobiłaś – powiedział. – Wiem, że włamałaś się do kliniki i ukradłaś chip.

– A ja wiem, że ukradłeś go z powrotem, zabijając przy okazji człowieka, który miał zostać naszą gwiazdą – odparła Chiren bez cienia emocji. – Jeszcze coś ci leży na sercu?

Ido poczuł, jak wszechświat rozszczepia się na dwoje. W pierwszym powiedział: Wróć do domu. Zagubiliśmy się i teraz oboje żyjemy w sposób, który nas nie zadowala. Wróć. Uda się nam znaleźć drogę ku czemuś lepszemu.

W drugim stwierdził: Mam dość. Właściwie czuję to już od pewnego czasu, ale teraz nabrałem pewności. Nie cieszy mnie to. To nie jest miłe uczucie. Ale pogodziłem się z tym i jakoś sobie poradzę.

Najwyraźniej jednak wszechświat rozszczepił się na trzy wersje, bo słowa,

które padły z jego ust, brzmiały:

– Nie. A tobie?

Nastąpiła długa cisza. Aż w końcu:

– Obawiam się, że też nie. Nie mamy sobie do powiedzenia nic, czego oboje nie wiemy.

– Czego się boisz? – spytał Ido.

– Nie mam czasu na twoje psychologiczne gierki, Dyson. – Przerwała połączenie.

– To nie jest odpowiedź – stwierdził i mimo że Chiren go nie usłyszała, zrobiło mu się trochę wstyd nuty arogancji, która pojawiła się z jego tonie.

Ido skierował wzrok w dół i zobaczył chip, który teraz leżał na przeciwko na blacie. W którymś momencie musiał wyjąć go z pojemniczka i złamać na pół. Po jednej części dla każdego wszechświata, w którym Ido nie istniał. Może dlatego nie pamiętał, że to zrobił.

W tej samej chwili przypomniał mu o sobie pulsujący ból żeber i kostki. Widok Gerhad zbliżającej się ze strzykawką sprawił, że prawie rozplakał się z radości.

\*\*\*

Hugo polubił spędzanie godzin przed wschodem słońca na przejażdżkach żyrem po Mieście. Wmawiał sobie, że jeździ, bo sprawia mu to przyjemność, a nie dlatego, że rzadko udawało mu się przespać choćby cztery godziny i codziennie budził się przed świtem zbyt nerwowo, by zasnąć z powrotem.

Zdumiało go, jaki spokój panował na ulicach. Miejsca normalnie kompletnie zakorkowane były puste, jakby cała populacja wyparowała, porwana bez ostrzeżenia do odległego wymiaru przez jakąś niesamowicie potężną istotę. Może gdyby ktoś się obudził przed powrotną teleportacją, mógłby zostać w tym lepszym miejscu. Dotychczas jednak wszyscy wracali.

A Hugo jako jedyny tego nie doświadczał. Potężna moc nie zabierała go, bo

codziennie budził się przed świtem.

*Przez ten brak snu dziwaczej*, pomyślał Hugo, mijając klinikę Ido. Na ścianie wciąż wisiała tablica informująca, że przyjmują tylko nagłe przypadki. Ale nie jechał tędy, żeby to sprawdzić, po prostu zmierzał okreśną drogą do Kawiarni.

Podobnie jak w żadnym razie nie zastanawiał się, czy nie wrócić później, by jeszcze raz spróbować porozmawiać z tą pielęgniarką. Poprzednio usłyszał od niej, że doktor miał wypadek – złamał kostkę, ale nic mu nie będzie, a jeśli Hugo chciał się dowiedzieć więcej, będzie mógł spytać Ido, kiedy otworzą z powrotem klinikę.

Hugo nie powiedział jej, że musiał się dowiedzieć, czy w „wypadek” doktora był zamieszany Vector. Uznał, że będzie chciała wiedzieć, dlaczego pyta o coś takiego, a nie przychodziło mu do głowy żadne przekonujące kłamstwo. Czyli będzie musiał poczekać i porozmawiać z Ido.

Rzecz w tym, że zupełnie nie wiedział, jak to rozegrać. Spytać, czy pobili go ludzie Vectora? Przyznać się, że powiedział Vectorowi o chipie? I co dalej? Czy Ido się wścieknie i powie, że nie chce go więcej widzieć? A może mu wybaczy? Hugo nie miał pojęcia. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, wydawało mu się w tym samym stopniu prawdopodobne, co niedorzeczne.

Tak naprawdę jednak nie potrafił sobie wyobrazić, że spowiada się Ido z tego, co zrobił. Nie był aniołem – wiele razy w życiu nawalił, zostawił kolegów na lodzie, wybrał źle albo nie zdołał zrobić dobrze. Teraz jednak dopuścił się czegoś, do czego bał się przyznać. Wolał się łudzić, że nie jest zdolny do takiej zdrady.

Ale był i będzie mu to ciężko, nawet jeśli nikt się nie dowie.

Hugo zaparkował przed Kawiarnią, zamówił kawę i zajął miejsce przy blacie pod bocznym oknem, który nie był tak długi jak ten na froncie, a siedząc przy nim miało się widok poza miasto, na podpory zdewastowanej grobli. Obecnie to, jak podpory utrzymywały w powietrzu fragmenty drogi, miało w sobie coś wyzywającego, jakby nie przejmowały się, że era szos się skończyła. Stały, bo po to je zbudowano, i będą tak sterczały, aż skończy się czas.

Brak snu naprawdę sprawiał, że działo się z nim coś dziwnego, nawet bardzo. Nigdy wcześniej nie wymyślał pokręconych historii o szmelcu, który ostał się

z dawno zapomnianych czasów. Od małego jedyne, co go tak naprawdę interesowało, nad czym czasami rozmyślał, to Zalem.

Z miejsca, gdzie siedział, kiepsko było widać latające miasto. Powinien wziąć kawę na wynos i zabrać ją do katedry. Żeby wspiąć się z kubkiem w ręce na podest na iglicy trzeba było sporo cierpliwości, ale kiedyś już mu się udało. Zaczął żałować, że nie wpadł na to wcześniej. Skoro musiał być na nogach o świcie, mógł przynajmniej spędzić poranek, przyglądając się, jak wschodzące światło dnia rozświetla Zalem, najpiękniejsze miejsce na świecie.

Milion kredytów: tyle wynosiła cena biletu w jedną stronę z Miasta Złomu do jedyne miejsca, gdzie zawsze chciał mieszkać. Milion kredytów – za tę cenę mógł kupić przyszłość, w której nie musiałby spoglądać w górę na podbrzusze lepszego świata. Zamiast tego patrzyłby w górę i widział... Właściwie co? Cuda tańczące po niebie nad Zalemem.

Ciekawe, jak wyglądało niebo z miejsca unoszącego się wśród chmur. Na pewno milion razy lepiej niż z ziemi, ale cena za ten widok wynosiła milion kredytów i tylko to się liczyło. Mógł porwać cyborga z tunelu prowadzącego do kanałów ściekowych, mógł przejść do porządku dziennego nad tym, że cyborg złamał rękę dziewczynie z jego ekipy, mógł pracować dla złego człowieka i zdradzić dobrego, mógł nie spać – żadna z tych rzeczy nie miała dla niego znaczenia w obliczu ceny za wolność. Milion kredytów. Tak powiedział Vector.

Vector może i nie był dobrym człowiekiem jak Ido, ale dzierżył władzę. Hugo był przekonany, że nie osiągnąłby tej pozycji, gdyby nie dotrzymywał danego słowa.

Chłopak miał też pewność, że nie wyśpi się, póki się nie dowie, czy to Vector był pomysłodawcą „wypadku” Ido. To i tak nic by nie zmieniło. Wciąż nie liczyłoby się dla szefa nic poza ceną, a ta wynosiła milion kredytów.

Telefon Hugo zawibrował, wyrrywając go z drzemki, w którą niepostrzeżenie zapadł, kiedy oparł policzek na dłoni. Wiadomość od Tanjiego. Przyjaciel chciał wiedzieć, co zrobić ze skrzynką serw, która spadła z ciężarówki. Hugo odpisał, żeby ją ukrył w ich dostawczaku wciąż stojącym na terenie stacji załadunkowej.



„Ale nie sprzedawaj doktorowi za pół ceny, okej?” – odpisał Tanji.

„Nie miałem zamiaru” – skłamał Hugo. – „Wracam do wyra”.

– Nie wiedziałem, że mają tu łóżka.

Hugo się odwrócił i zobaczył, że Tanji stoi w drzwiach.

– Naprawdę trafiła ci się ci skrzynia serw? – spytał Hugo znużonym głosem.

– Ta, i już ją spakowałem do dostawczaka. – Tanji usiadł obok niego. – Możemy ją zawieźć na stadion przed następnym wyścigiem. Serwy są zupełnie nowe, mechanicy posikają się z radości.

– Dobra – stwierdził Hugo. – Poza tym doktor i tak na razie chyba nic nie kupuje. Klinika ciągle zamknięta.

– Mogłem to przewidzieć. Jakby była otwarta, już byś mu to sprzedał.

– Doktor ma dobre serce – powiedział Hugo.

– Doktor za mało płaci – stwierdził Tanji. – Idę po kawę. Chcesz jeszcze jedną?

– Ta. Największą.

– Jaką? – spytał Tanji.

– Nie za gorącą, żebyś mógł mi nią chlusnąć w twarz.

– Nie kuś mnie. – Tanji zachichotał i oddalił się złożyć zamówienie.

Hugo odwrócił się z powrotem twarzą do Zalemu i w tej samej chwili, nieproszona, rozjarzyła się przed oczyma jego wyobraźni tablica, którą widział na drzwiach kliniki Ido. Cena wynosiła milion kredytów i nic więcej się nie liczyło.

*Przepraszam, doktorze, powiedział Hugo bezgłośnie.*

Tymczasem obraz w jego umyśle przybrał postać Nany, żony jego brata. Wyobraził sobie, jak mówi: *Musiałam – miałam do wyboru jego albo nas, życie lub śmierć. A jaką ty masz wymówkę?*

Nie miał konkretnej wymówki – miał ich milion. Bo liczyło się tylko jedno, nieważne, kto będzie musiał za to zapłacić.

# EPILOG

Czas zrobił to, co miał w zwyczaju, czyli upłynął, a to nawet w Piekłe potrafiło goić wszystkie rany.

Tydzień po niefortunnym incydencie w ruinach katedry Dyson Ido przywrócił w klinice politykę otwartych drzwi. Widok doktora kuśtykającego w ortezie był dla pacjentów pewnym szokiem, ale przynajmniej noga odwracała uwagę od sińców na jego twarzy i szyi oraz od ogólnej sztywności jego ruchów. Większość przyjmowała ogólnikowe wytłumaczenie, że potracił go samochód. Tylko niewielka grupa pacjentów wiedziała o jego nocnych poczynaniach łowcy, a jej przedstawiciele nie odwiedzali go w normalnych godzinach pracy.

Możliwe, że spośród osób wykonujących różne przyziemne zawody ani jednej nie przyszłoby do głowy, że doktor utrzymywał klinikę z nagród za głowy przestępców. Mieli dość własnych problemów. Kiedy przytrafiało im się coś miłego, szczególnie coś pokroju prawie darmowej opieki lekarskiej, po prostu korzystali z tego i mieli nadzieję, że potrwa to jak najdłużej.

Bardziej prawdopodobne jednak było, że pewien odsetek pacjentów zdawał sobie sprawę z tego, jak Ido finansował działalność, odkąd porzucił motorballa. To nie był pierwszy raz, kiedy wyglądał, jakby ktoś go sprzął. Ale w Mieście Złomu prawie każdy o czymś nie mówił.

\*\*\*

Ido wykorzystał czas, kiedy nie mógł się sprawnie ruszać, na ulepszenie młota raketowego. Nie umknęło mu, że zawdzięczał tej broni życie. Całkiem serio rozważył umieszczenie w futerale kieszonki na kawał betonu z wystającym odcinkiem pręta zbrojeniowego, ale brakowało na nią miejsca. Może powinien przerobić tępą stronę obucha tak, by wysuwał się z niej piętnastocentymetrowy żeliwny pręt? Zakłóciłoby to niestety pracę układu napędowego.

Ostatecznie podjął decyzję, że zostanie przy pierwotnej konstrukcji – sprawdzała się i zadawała śmiertelne obrażenia, więc wymienił tylko kilka zużytych podzespołów i wzmocnił system raketowy, co potroiło siłę uderzenia. Czuł się usatysfakcjonowany wynikami testów, które przeprowadził w piwnicy. Mógł liczyć, że młot raz na zawsze unieszkodliwi wszystko, co trafi, chyba że łowca wda się w walkę z cyborgiem o niespotykane potężnej posturze.

Te kilka dni spokoju dało mu też czas na przemyślenie pewnych spraw. Doszedł do wniosku, że bardzo długo miał nadzwyczajne szczęście. To był pierwszy raz, odkąd zdobył licencję łowcy, kiedy odniósł większe obrażenia niż parę nieznacznych urazów. Na szczęście dzięki pomocy Gerhad miał pewność, że jego kostka zrośnie się bez powikłań.

Kiedy wrócił do domu po walce z Chase'em, jego kostka była tak połamana, że nie chciał słyszeć o składaniu jej bez pomocy skanera. Tego wieczora odkrył, że Gerhad ma prawdziwy talent do takiej pracy – przywróciła wszystko na swoje miejsce za pierwszym razem, sprawiając mu minimalny ból. Żałował, że nie znalazł jej wcześniej. Może gdyby zatrudnił ją, kiedy tylko otworzył klinikę, sprawy potoczyłyby się inaczej.

A może uzależniony cyborg, który się włamał, zabiłby i ją, a on miałby na sumieniu dwie śmierci. A może to ona zginęłaby zamiast...

Ido zmusił się, żeby przestać. Gdybanie na temat rzeczy, za które miał do siebie żal, było niezbyt konstruktywne. Kolejny powód, by wrócić do przyjmowania pacjentów, kiedy tylko trochę wyzdrowieje. Był im potrzebny, a oni jemu, bo potrzebował dyscypliny, organizacji i kontaktu z ludźmi. W przeciwnym razie groziło mu, że zapadnie się w sobie na zawsze. Wygnanie było nieprzyjemne, ale

izolatka – o wiele, wiele gorsza.

Więzienia bowiem miały najróżniejsze postaci. Zbudował ciało do pełnej wymiany dla swojej córki, żeby uratować ją z więzienia niepełnosprawności i słabego zdrowia. Chciał być bohaterem, który ją wyzwolił. Potrafił się już przyznać – do tego, że zrobił to w równym stopniu dla siebie, co dla niej. Ale chęć, by zostać bohaterem własnej córki, nie była takim znowu złym motywem. Niektórzy robili wszystko dla korzyści materialnych. Może postępując w ten sposób, czuli się wolni.

Ido wątpił, by Chiren cieszyła się obecnie wolnością, chyba że wolnością od niego. Inna sprawa, że być może tylko takiej wolności potrzebowała. Bez niego nie miała nic do stracenia.

\*\*\*

Gerhad nie mogła się nadziwić, jak szybko wyzdrowiała kostka Ido. Zdjęli orteż cały miesiąc wcześniej niż u przeciętnego pacjenta z Miasta Złomu. Kobieta zdawała sobie przy tym sprawę, że jako pielęgniarka z ostrego dyżuru rzadko interesowała się dalszym przebiegiem choroby pacjentów. Przyjeżdżali do szpitala, robiła, co w jej mocy, żeby utrzymać ich przy życiu, i ruszała do kolejnego przypadku. Jednak nie każdy, kto trafiał na ostry dyżur, był o krok od śmierci, więc widziała w swoim życiu niejedną złamaną kość i pomagała przy zakładaniu gipsu, opatrunków uciskowych i ortez. Wiedziała stąd, że typowy czas zrastania się każdego gorszego złamania wynosił od ośmiu do dwunastu tygodni. Dieta przeciętnego mieszkańca Miasta Złomu nie sprzyjała budowaniu silnych, zdrowych kości, między innymi z tej przyczyny wielu decydowało się wymienić złamaną kończynę na coś odporniejszego.

Ido pozbył się ortezy już po czterech tygodniach. Gerhad chciała go namówić na dodatkowy tydzień dla świętego spokoju, ale skaner wykazał, że nie było takiej potrzeby. Następnego dnia doktor zszedł do swojej piwnicznej siłowni i wrócił do

treningów. Miało to w sobie coś nadprzyrodzonego, jakby naprawdę był superbohaterem, a przy tym wydało się niedorzeczne, bo prawdziwi superbohaterowie nie potrzebowali pomocnika, który zbierałby ich z ulicy albo kamiennej podłogi ruin katedry. Nie zażywali też leków przeciwbólowych.

Gerhad uparła się sporządzić kartotekę medyczną swojego przełożonego. Ido w odpowiedzi burknął coś pod nosem, ale wyjaśniła mu, że nie chce robić mu szeregu podstawowych badań za każdym razem, gdy jakiś cyborg rozłucze go na krwawą miazgę. Miała okazję przeprowadzić mnóstwo testów, które potwierdziły to, co już wiedziała: Ido nie był ani stąd, ani z żadnego znanego jej miejsca. Bez względu na to, skąd pochodził, ludzie cieszyli się tam stałym dostępem do zdrowej żywności i środowiskiem wolnym od zanieczyszczeń wszechobecnych w Mieście Żłomu.

Choć zżerała ją ciekawość, Gerhad dała Ido spokój. Nie próbowała też odkrywać prawdy na własną rękę. Uznała, że nieważne jak wyglądała przeszłość doktora, bo to, że zamierzał spędzić resztę swych dni w Mieście Żłomu, mówiło samo za siebie.

\*\*\*

Kiedy Ido otworzył na powrót klinikę, Hugo w pierwszym odruchu chciał spytać, co się stało. Nie od razu, rzecz jasna – miał plan pokręcić się trochę jak dawniej, aż prędzej czy później, przy okazji wykładu na temat jakiegoś związku chemicznego czy czegoś w tym rodzaju Ido napomknąłby o śmiesznym plastikowym bucie, w którym kuśtykał po pracowni.

Klinikę jednak natychmiast zalała rzeka pacjentów. Niektórzy, których cybernetyczne kończyny uległy tak poważnym awariom, że się powyłączały, uniemożliwiając im pracę, koczowali wcześniej w kolejce na chodniku przed domem. W Mieście Żłomu było więcej cyberchirurgów, ale ani jednego, który najpierw leczył, a dopiero potem pytał, czy pacjenta stać. I żaden z nich nie godził

się na zapłatę w postaci domowej roboty sosu mole poblano albo worków pomarańczy – nawet pomarańczy ukradzionych z sadu tego samego dnia.

Hugo chciał wykorzystać zaistniałą sytuację, by pokazać, jaki jest użyteczny dla Ido. Doktor jednak zatrudnił teraz do pomocy pielęgniarkę i Hugo zamiast pomagać, głównie wchodził im w drogę. Gerhad chyba nic do niego nie miała – wnioskował po tym, że nie zdzieliła go przez łeb – ale poprzekładała wszystko w szafkach i na półkach. Nic nie leżało tam, gdzie kiedyś, a Ido z jakiegoś powodu to nie przeszkadzało, choć kiedyś zawsze narzekał, kiedy Hugo odłożył coś o centymetr w prawo od miejsca, z którego to wziął.

Jeszcze bardziej zaskoczyło go, że kiedy spytał Ido, czy potrzebuje jakichś konkretnych części, usłyszał, że ma porozmawiać z Gerhad. Chyba że chodziło o serwy – tych zawsze i we wszystkich rozmiarach mieli za mało.

Hugo nie potrafił określić, czy Ido obarczał go winą za kradzież chipa. Może nie, skoro nie zabronił mu przychodzić do kliniki. Ale też nie był tak gadatliwy jak kiedyś. Hugo pocieszał się, że doktor był bardzo zajęty, bo musiał nadganiać zaległą pracę. Ale od czasu do czasu Ido spoglądał na niego niewidzącym wzrokiem i prosił o coś Gerhad.

Hugo zdał sobie sprawę, że będzie musiał spytać. Ale jak?

*Hej, doktorze, czy to Vector pana pobił, bo ukradł pan chip z powrotem? Czy wspomniał coś o mnie?*

A może powinien wyłożyć kawę na ławę: *Doktorze, jest szansa, żeby mi pan wybaczył?*

Jasne, bo ekipy porywające cyborgi, żeby sprzedać je na części, słyną z przejmowania się takimi bzdurami. Popełnił błąd, pozwalając sobie na więcej niż kontakty biznesowe z Ido. Co z tego, że bardzo go lubił? Wszędzie, gdzie w grę wchodziły uczucia, sprawy się komplikowały. Pojawiały się problemy. Nie miał na to ochoty. Posiadał swoje jedno marzenie i wszystko, co robił, było temu podporządkowane. Nic innego się nie liczyło, nic i nikt...

Nagle zobaczył oczyma wyobraźni Koyomi wychodzącą z oddziału ratunkowego w niebieskim papierowym fartuchu i z jaskraworóżowym gipsem na

ręce, a potem ten wyraz twarzy, kiedy założył bransoletkę po mamie na jej nadgarstek, pełen zaskoczenia i wzruszenia, jakby nikt nigdy nie okazał jej takiej czułości. Bardziej niż prawdopodobne, że tak właśnie było.

Czyli zrobił dobry uczynek, bo mu na kimś zależało. A ponieważ mu zależało, gdyby go nie zrobił, postąpiłby źle.

Tylko czy to cokolwiek zmieniało w kwestii jego marzenia?

Może nie... Ale na pewno znaczyło wiele dla Koyomi.

\*\*\*

Czas na zmiany, uznał obserwator, który jedną, całkiem pokąźną zmianę miał już przygotowaną za kulisami, a mówiąc dokładniej – w kanałach. Grewishka nie był pierwszej świeżości, ale obserwator nie zbadał jeszcze w pełni jego potencjału, a poza tym, jeśli miał być szczery, cieszył się, że nie będzie musiał szkolić zupełnie nowej osoby. Pierwotnie zakładał, że połączy siły Grewishki z tym cyborgiem wyposażonym w różne fikuśne dodatki, który zaczął przekonywać kompana do powrotu na ulice. Gdyby tylko namówił Grewishkę, żeby za nim poszedł, zapewniłby porywaczom w tunelu noc, której mimo najszczerzych chęci nie zapomnieliby do końca życia.

Ale nie, Grewishka wrócił kryć się w swojej zatęchłej norze, jak przystało na człowieka będącego totalną porażką. Obserwator musiał więc wymyślić jakiś inny sposób, by wyciągnąć totalną porażkę z kanałów na ulice, przypomnieć mu, jak to jest chodzić prosto, potrzebował rozniecić żarzącą się w nim iskrę rozgoryczenia, aż cyborg przemieni się w ogniste tornado nienawiści. To by dopiero była dobra zabawa!

*A przy okazji, pomyślał obserwator, trzeba by zajrzeć do chipa, który Fabryka zainstalowała u nasady czaszki Vectora. Vectorowi chyba się wydawało, że to on dyktuje warunki. Pora mu przypomnieć, kto tu naprawdę rządzi.*

\*\*\*

Ido stał po pas w śmieciach, dosłownie i w przenośni. Przez miesiąc, który minął od jego ostatniej wizyty na wysypisku, góra odpadków i gratów zauważalnie zmieniła charakter. Większość tego, co widział, było świeże, zdeponowane na powierzchni albo wyniesione na nią przez kombinację wielu czynników – nieustające patrole zbieraczy, świeże porcje śmieci sypiące się z góry o różnych porach dnia i nocy, a okazjonalnie również burze z piorunami, kiedy rozpętywał się wiatr dostatecznie silny, by zmieść pewną ilość śmieci z północnego kwadranta na południe.

Wśród tych świeżych śmieci nie było jednak nic nowego. I wszystkie niezaprzeczalnie pochodziły z zalemskich śmietników.

Mimo to Ido czuł, że poprawia mu się humor. Grzebiąc w odpadkach w pewien sposób wracał do normalności, jakby zobaczył starego przyjaciela.

A skoro o starych znajomych mowa, to od prawie dziesięciu minut śledził go Hugo. Jeśli dzieciak nie zdobędzie się wkrótce na odwagę, Ido będzie musiał oszczędzić mu cierpienia.

*Dzieciak.* Ido roześmiał się w głębi duszy. Ile on właściwie miał lat... Siedemnaście? Osiemnaście? Pewnie nie czuł się dzieckiem. Dzieci szybko dorastały w Mieście Złomu, wszyscy to powtarzali, przede wszystkim same dzieci. Sęk w tym, że było inaczej. Dzieciaki doświadczały sytuacji, których zdecydowanie nie powinny przeżywać, reagowały jak dzieciaki, radziły sobie jak dzieciaki, a jeśli udało im się przetrwać, docierały na drugą stronę jako dzieciaki z ranami na psychice.

Dzieci nie dorastały tu szybciej, tylko doznawały traumy w zbyt młodym wieku. Niektóre kończyły tak psychicznie pokiereszowane, że nie były w stanie dojrzeć – zamiast wydorosnąć, tylko się starzały.

Ido wolał sobie nie wyobrażać, że Hugo tak skończy. Był przecież taki pogodny, bystry i pełen życia. Chciał wierzyć, że Hugo miał w sobie coś, dzięki czemu był lepszy, że nosił w piersi coś, co w porę rozkwitnie, rozżarzy się albo



przebudzi i pozwoli mu się uratować.

Żeby tak się stało, rzecz jasna, potrzebował kogoś, komu będzie na nim zależało.

Ido przystanął i się odwrócił.

– Zamierzasz się przywitać, czy będziesz się za mną skradał całą noc?

\*\*\*

Doktor wyglądał raczej przyjaźnie, ale Hugo i tak był nerwowy. Ido jest na wysypisku, powiedziała mu pielęgniarka, a chłopak uznał że albo zrobi to teraz, albo nigdy. Jednak kiedy zlokalizował doktora, stwierdził, że boi się podejść, zupełnie jak dzieciak, który się bał klapsa od taty. Powinien przewidzieć, że nie weźmie Ido z zaskoczenia, ale przynajmniej w głosie, którym doktor do niego zawołał, nie było złości. Normalnie też nie brzmiał, to inna sprawa. Hugo miał nadzieję, że to dlatego, że poszkodowany jeszcze nie do końca wyzdrowiał.

Przeszli się kawałek i Ido opowiedział Hugo, co się stało: jak cyborg pobił go dwa razy na przestrzeni kilku dni i doktor był zmuszony zabić go w samoobronie. Wspomniał nawet o tym, że Gerhad zwymyślała go od najgorszych, kiedy przyjechała po niego do ruin katedry, i zagroziła odejściem.

– Cieszę się, że nic panu nie będzie – powiedział Hugo, kiedy Ido skończył.

Ani słowa o Vectorze. Hugo czuł taką ulgę, że zbierało mu się na zawroty głowy.

Ido nie odpowiedział. Cisza zaczęła się niekomfortowo ciągnąć. Hugo nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć, a już w szczególności nic, co zabrzmiałoby normalnie, naturalnie i ani trochę dziwacznie.

– Wiem, że to byłeś ty, Hugo – powiedział cicho Ido. – Wiem, że to ty powiedziałaś Vectorowi o chipie.

Hugo prawie dostał zawału. Musiał przełknąć ślinę, żeby odzyskać zdolność mówienia, a i tak wtedy jego usta były zupełnie suche.

– Ja nie... To było... Po prostu tak wyszło. Nie wiedziałem. Byłem w trudnej sytuacji i potrzebowałem czegoś, co mógłbym... – Wiedział, że bełkocze, ale nie potrafił przestać. – Obili mnie ci kolesie z południowej dzielnicy i spóźniłem się z dostawą, i nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, po prostu...

– Nic się nie stało. – Ido wtrącił się w pół słowa. – Nie mam do ciebie żalu.

Hugo poczuł, że opada mu szczęka.

– Ale to była moja wina, że...

– To twoja wina, że Vector jest świnią? – spytał Ido. – Albo że moja była żona go wspiera, bo desperacko pragnie... – Zaśmiał się ponuro. – Wszystkich tych rzeczy, za które postanowiła się sprzedać.

– Miałem nóż na gardle – powiedział Hugo, zmuszając się, by mówić wolno. – Spóźniłem się z dostawą i Vector naprawdę się wkurzył. To była moja wina...

– Nie możesz obwiniać się za to, że niektórzy są tak chciwi, że nie obchodzi ich, kogo krzywdzą – wyjaśnił stanowczo Ido. – Czy kiedy o czymś opowiadasz tak po prostu, martwisz się, co osoba, z którą rozmawiasz, później zrobi z tą informacją?

– Jeśli rozmawiam z Vectorem, to jak najbardziej – powiedział Hugo.

Ido go przestraszył, wybuchając gromkim śmiechem.

– Ale przecież nie mogłeś przewidzieć, że wysła kogoś, by włamał się do kliniki i ukradł chip.

– Hm... – Hugo starał się nie widać, bo reakcja Vectora wielkim zaskoczeniem nie była. – Kiedy usłyszałem, że ktoś zabił cyborga i ukradł chip, byłem pewien, że to pan. Ale potem pana pielęgniarka zamknęła klinikę i powiedziała mi, że miał pan wypadek... Myślałem, że Vector... No wie pan.

– Nie odważyłby się – stwierdził Ido. – Chiren nie lubi go aż tak bardzo, a nie stać go, by ją stracić.

– Hę? – Hugo nie rozumiał.

– Nieważne, Hugo. To są bardziej skomplikowane sprawy sercowe, które pojdziesz w stosownym czasie.

Rozmowę przerwał im niemożliwy do pomylenia odgłos śmieci spadających

z Zalemu. Na szczęście stali w bezpiecznej odległości. Hugo przesunął wzrokiem od ziemi do zsypu i odniósł wrażenie, że leci więcej masywnych odpadków niż zwykle. Kiedyś nie będzie musiał tego oglądać. Ale wyznaczona przez Vectora cena wynosiła milion kredytów i nic poza tym się nie liczyło. Ido był dobrym człowiekiem, ale Vector pozostawał jedynym, który mógł spełnić marzenie Hugo.

– Muszę lecieć – powiedział do Ido. – Do zobaczenia, doktorze.

\*\*\*

Ido obserwował, jak Hugo oddala się przez zaspy śmieci. Wyglądało, jakby kierował się do ruin katedry. Czyżby mieszkał niedaleko nich?

Przypomniawszy sobie, o czym rozmyślał ledwie kilka minut temu, że Hugo jest taki inteligentny i pełen życia, a Ido mógłby mu zapewnić lepszą przyszłość, gdyby tylko pokazał chłopakowi, że mu na nim zależy. Teraz wydało mu się to fantazją niespełnionego człowieka, wymysłem kogoś, kto nie miał własnego dziecka, a wciąż próbował być rodzicem. Albo łudził się, że można być ojcem i jednocześnie nie mieć żadnych życiowych problemów.

Tak jakby dało się ich uniknąć. Dzieci nie spadały z nieba – tylko śmieci.

A mimo to Ido wciąż nosił w sercu nadzieję, wręcz patrzył na świat z optymizmem. Bo dlaczego nie, do cholery? Kto powiedział, że nie wolno się nastawiać pozytywnie? Każdy naukowiec wiedział, że szczęście sprzyja przygotowanym. Możliwe, że ani jutro, ani w następnym tygodniu, ani nawet w następnym miesiącu nie przytrafi mu się nic miłego. Ale kiedy to wreszcie nastąpi, będzie gotów.

# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej redaktorce, Elli Chappell, dzięki której pisanie tej książki sprawiło mi tyle przyjemności, mojemu synowi, Robowi Fennerowi, który dawno temu wprowadził mnie w świat mangi i anime, pokazując między innymi Alitę, oraz jego kochanej, utalentowanej dziewczynie, Justynie Burzyńskiej, za to, że jest po prostu niesamowita. Dziękuję wszystkim moim znajomym i przyjaciołom z daleka i bliska, którzy od lat podtrzymują mnie na duchu, i lekarzom oraz pielęgniarce z Ośrodka Onkologii im. Macmillana w Londynie, a w szczególności mojemu onkologowi, doktorowi McCormackowi. I przy okazji chciałabym powiedzieć, że uwielbiam naszą państwową służbę zdrowia.

## O AUTORCE

Pat Cadigan jest pisarką science fiction, fantasy i horrorów, zdobywczynią Nagrody Hugo, dwukrotną laureatką Nagrody im. Arthura C. Clarke'a i trzykrotną Nagrody Locusa. Spod jej pióra wyszła beletrystyczna wersja *Zagubionych w kosmosie* i jej kontynuacja, adaptacje dwóch epizodów *Strefy mroku* i *Komórki z Jasonem Stathamem* oraz adaptacja *Jasona X* wraz z kontynuacją. Oprócz *Miasta Złomu* jest też autorką oficjalnej adaptacji filmu.

# Spis treści

Strona tytułowa  
Strona redakcyjna  
Dedykacja  
Prolog  
Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Epilog

Podziękowania

O autorce